

JULIE MILLER

Bardzo dobry człowiek

Tytuł oryginału: One Good Man

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Co za dzień!

Mitch nacisnął dzwonek i czekał. Wcale nie miał ochoty na tę wizytę, ale kiedy człowiek, od którego zależał jego awans, zadzwonił i poprosił o osobistą przysługę, nie mógł mu odmówić.

Sprawdzenie, czy w jakimś domu wszystko jest w porządku, było sprawą tak rutynową, że w innym przypadku skierowałby tam po prostu umundurowany patrol. A właściwie zleciłby asystentce, żeby to ona wysłała tam patrol. Zaproponował nawet, że zamiast niego mogliby tam zajrzeć dwaj jego najlepsi detektywi, ale komisarzowi Reedowi bardzo zależało na zachowaniu dyskrecji.

Mitch schował do kieszeni elektroniczną kartę, którą otrzymał od komisarza. Dzięki niej dostał się na teren posiadłości. Zastanawiał się, po co właściwie kazano mu tu przyjść. Szef był bardzo tajemniczy i dostarczył mu tylko kilku absolutnie niezbędnych informacji.

- To posiadłość przyjaciółki mojej rodziny - powiedział. - Po prostu chcę mieć pewność, że nic złego się tam nie wydarzyło.

Nic złego? Na przykład co? Włamanie? Jakiś akt wandalizmu? Lunatykujący krewny, biegający na golasa i robiący wstyd rodzinie?

Po co ta cała dyskrecja?

Szczerze mówiąc, Mitch nie miał nic przeciwko takiej przysłudze. Brakowało mu bezpośrednich kontaktów z ludźmi, którzy naprawdę potrzebują pomocy policji. Zamiast tego spędzał większość czasu na rozmowach z dziennikarzami i kierowaniu administracją IV Dzielnicą Kansas City.

Nigdy jednak nie miał do czynienia z takimi domami. Ani z ich właścicielami.

Komisarz najwyraźniej nie do końca zdawał sobie sprawy, o co go prosi.

Mitch odsunął mankiet czarnej, skórzanej rękawiczki i spojrzał na zegarek. Osiemnasta. Chyba nikt nie kładzie się tak wcześnie. Może takie szare, listopadowe popołudnie mieszkańcy tej przypominającej gotycką fortecę rezydencji wolą spędzać w domu, popijając przy kominku wyborowy koniak.

Znów nacisnął dzwonek. Tym razem dzwonił dużo dłużej, niż wypadało. Mogliby chociaż kazać służbie otworzyć, pomyślał, czując, jak coraz bardziej marzną mu uszy.

- Chyba szukam wiatru w polu - mruknął pod nosem. Za chwilę wróci do swego dżipa, zadzwoni na prywatny numer Reeda i poinformuje go, że nikogo w tej fortecy nie zastał. Podejrzewał, że szef po prostu wystawia na próbę jego lojalność. Przecież w styczniu mianować ma swojego nowego zastępcę.

No cóż, Mitch Taylor nie umiał grać. Jeśli dostanie to stanowisko, bo ma najwyższe kwalifikacje, to istotnie, zasłużył na nie. Ale jeśli wybór ma mieć coś wspólnego z polityką, to nie ma szans.

Trzaski w ukrytym gdzieś interkomie przerwały te niewesołe rozmyślenia.

- Tak?

Mitch dopiero teraz dostrzegł głośnik i kamerę ukryte za framugą dębowych drzwi. Cofnął się o krok i wyjął z kieszeni identyfikator. Trzymając go przy twarzy, spojrzał w stronę kamery.

- Kapitan Mitch Taylor z komendy policji Kansas City. Chciałbym, jeśli to możliwe, zadać pani kilka pytań i sprawdzić teren. Mieliśmy anonimowy telefon, że coś tu jest nie w porządku.

Zgodnie z instrukcją nie wymienił nazwiska komisarza. Udawał, że to tylko rutynowe czynności policji. Był pewien, że identyfikator i pewny siebie głos przekonają kobietę, że to standardowa procedura. Schował legitymację do kieszeni i czekał, aż go wpuści.

- Nic się u nas nie dzieje - odpowiedziała kobieta. Zbyt szybko, żeby jej uwierzył.

O, cholera, jeśli Reed wysłał go do napadu bez żadnego wsparcia...

Sięgnął pod kurtkę i odpiął kaburę pistoletu. Starał się nadać swemu głosowi spokojne brzmienie.

- Gdyby zechciała pani podejść do drzwi... Chciałbym z panią porozmawiać.

Zanim interkom zamilkł, usłyszał jakieś gorączkowe szmery i szuranie, co tylko potwierdziło jego wcześniejsze obawy. Na pewno nie wszystko było tu w porządku. Nie spuszczać oczu z klamki, poprawił krawat. Nagle, poprzez dwie pary drzwi, usłyszał wyraźny głuchy odgłos czegoś dużego upadającego na podłogę i zaraz po nim stłumiony jęk.

Ręka znieruchomiała mu na węźle krawata.

- Proszę pani?! - zawołał. - Proszę pani, nic się pani nie stało?!

Odpowiedziała mu tylko głucha cisza. Instykt doświadczonego policjanta mówił mu, że coś jest bardzo, bardzo nie w porządku.

Szybkim ruchem wyciągnął pistolet z kabury.

- Proszę pani?! Cisza.

A niech to diabli. Przecież to miała być zwyczajna, rutynowa kontrola. Przedstawiam się, przepraszam, że przeszkadzam, i dobranoc. Akurat! Jeszcze tej nocy zadzwoni do komisarza i spyta, o co dokładnie chodziło.

Najpierw jednak musi zająć się tą kobietą.

- Wchodzę - ostrzegł.

Rękojeścią pistoletu stłukł grubą szybę pierwszych drzwi. Włożył rękę i otworzył je od środka. Drugie drzwi, drewniane, też zamknięte były na klucz. Mitch cofnął się, odbezpieczył broń i wystrzelił dwa naboje w zamek.

Drewno rozprysło się na wszystkie strony i drzwi zawisły na zawiasach. Mitch naparł na nie ramieniem i wpadł do środka.

W tej samej chwili w całym domu rozbłysły pulsujące światła i rozdzwonił się głośny alarm.

Z głębi domu usłyszał ostrzegawczy krzyk kobiety.

- Rutyna, dobre sobie - mruknął pod nosem. Przywarł plecami do ściany i posuwał się ostrożnie dalej,

oślepiany co chwila światłami alarmowymi. Tylko dzięki nim od czasu do czasu coś widział. Poza tym poruszał się po omacku. W pewnej chwili jedna z jego nóg natknęła się na coś wystającego. Schody.

Ale krzyk kobiety dochodził z parteru.

Macając ręką, posuwał się powoli w tamtą stronę. Nagle wymacał w ścianie niewielką wnękę, poczuł coś twardego, zimnego i gładkiego. Kiedy znów zabłysły światła i ujrzał przed sobą czyjąś twarz, chwycił pistolet w obie dłonie i wycelował. Przy kolejnym błysku światła aż zaklął. Miał przed sobą coś na kształt ołtarzyka z nagrodami, medalami i zdjęciami. Wpatrująca się w niego kobieca twarz widniała na oprawionej w ramki fotografii. Przeraziło go zdjęcie zgrabnej, złocistowłosej dziewczyny z bukietem kwiatów w jednej i medalem w drugiej ręce.

Zły na siebie, zamknął oczy i próbował usłyszeć coś ponad ogłuszającym wyciem alarmu. Ale w całym domu było cicho. Zbyt cicho!

Ściskając w lewej ręce pistolet, posuwał się w głąb domu.

Następna wnęka w ścianie okazała się otwartymi drzwiami. Wstrzymując oddech, Mitch ostrożnie zajrzał do środka.

Błysk światła był na tyle długi, że zdążył dostrzec jakiś przedmiot lecący w jego stronę. Zbyt jednak krótki, by jego twarz uniknęła z nim spotkania. Zaklął mocno i soczyście.

- Policja! Rzuć broń! - wyrecytował rutynową formułkę.

Wyciągnął przed siebie rękę i w nagrodę spotkał go kolejny cios. Tym razem na tyle silny, że wytrącił mu z ręki pistolet.

- Skurczy...

Kiedy znów rozbłysło światło, był gotów. Dostrzegł cień atakującej go postaci i rzucił się w jej stronę.

Wprawnym ruchem powalił przeciwnika na ziemię. Dla pewności przygwoździł go jeszcze kolaniem. Kiedy tamten jęknął i próbował się wyswobodzić, a nawet walnął go łokciem, przewrócił go na plecy.

- Prawo zabrania walki z policjantem - mruknął.

- O Boże! Niech mnie pan nie bije!

Na dźwięk tego głosu Mitch zamarł.

Kiedy po raz kolejny rozbłysły światła, przez ułamek sekundy dostrzegł długi, złoty warkocz.

Po chwili obraz zniknął w ciemnościach, ale tylko sprzed jego oczu. W pamięci pozostał.

Mitch przesunął kolano. Domyślał się prawdy, ale chciał się upewnić. Złapał przeciwnika za ramię i... natknął się na coś ciepłego i miękkiego.

Bez wątpienia była to kobieca pierś.

- Proszę pani?

Przy następnym błysku światła ujrzał bladą, przerażoną twarz kobiety. I wpatrzone w niego szare oczy.

- Boli - jęknęła. - Niech mi pan nie sprawia bólu. Przerażony, że rzeczywiście sprawił jej ból, Mitch puścił ją i patrzył, jak próbuje się podnieść.

- Ja się tylko broniłem - mruknął. - Od wielu lat jestem policjantem, ale po raz pierwszy mam za przeciwnika kobietę. Pani nawet nie zdaje sobie sprawy ze swojej siły.

Miał nadzieję, że ją tym rozśmieszy i uspokoi, ale kobieta nawet na niego nie spojrzała.

- . Nie wzywałam policji - szepnęła, mocno podenerwowana. - Skąd się pan tu wziął?

W rozświetlanych co parę sekund ciemnościach obserwował, jak z wysiłkiem próbuje usiąść, a potem przesuwa się na pupie i opiera o biurko. Rękami mocno objęła prawą nogę i zaczęła ją masować.

Chciał jej jakoś pomóc, czuł, że to on jest sprawcą jej cierpienia, ale wątpił, by doceniła jego altruizm.

No, tak, ale jest przecież policjantem. I nie przyszedł tu z towarzyską wizytą.

- Czy pani nazywa się Cassandra Maynard? Komisarz podał mu tylko jej imię, nazwisko i adres.

- Nie zapamiętałam pańskiego nazwiska - mruknęła i zabrzmiało to jak zarzut.

- Mitch Taylor - odparł, ignorując wyraźną ironię w jej głosie.

Odruchowo sięgnął do kieszeni na piersi. Była pusta.

- W walce z panią zgubiłem gdzieś mój identyfikator - usprawiedliwił się.

Kobieta spojrzała na niego tak samo uważnie jak poprzednim razem.

- Identyfikator o niczym nie świadczy - odparła szybko. Widać było, że cierpi. - Jestem Casey Maynard.

Podpierając się ręką i z wyraźnym trudem, usiadła nieco wygodniej.

- Czy mam wezwać karetkę?

- Nie, to minie. Oddychała z wysiłkiem.

Cholera, co się z nim dzieje? Jest tu jako policjant, a nie na randce w ciemno. A mimo to patrzy jak urzeczony na jej wspaniałe złote włosy splecione we francuski warkocz, na delikatny zarys kości policzkowych i podbródka. W tej samej chwili przypomniał sobie, że delikatny nie jest najlepszym określeniem dla tej niesamowitej kobiety. Przed chwilą stoczył z nią prawdziwą walkę.

- Dlaczego mnie pani zaatakowała? - spytał, odsuwając od siebie te niebezpieczne myśli. I niepotrzebne. I absolutnie nie na miejscu. - Za kogo mnie pani wzięła?

Casey potrząsnęła głową.

- To ja pierwsza będę zadawać pytania. Jak pan się, do cholery, tu dostał? Czego pan chce?

Wieczór nabrał jakiegoś surrealistycznego klimatu. Regularnie błyskają światła. W tle dzwoni alarm. Dwie osoby siedzą na wzorzystym perskim dywanie. Ofiara przesłuchuje gliniarza.

Mitch czuł, że tylko on może to wszystko uporządkować.

Wstał i poprawił ubranie.

- Wieczorem zadzwonił do mnie komisarz James Reed i poprosił, żebym sprawdził, czy wszystko w porządku w pani domu. Dał mi swój klucz do bramy. Mówił, że jego przyjaciel prosił, żeby miał oko na tę posiadłość. Bał się, że coś się może tu dziać.

- Wujek Jimmy zawsze był nadopiekuńczy. Wujek Jimmy?

Casey przechyliła się, chwyciła brzeg biurka i wstała z podłogi. Przytrzymując się ciężkiego, dębowego mebla, posuwała się ostrożnie dalej. Z każdym krokiem jej pełne, czerwone usta zaciskały się coraz mocniej. Czyżby przytrafiła się jej kontuzja? Na przykład kolana?

Mitch w mgnieniu oka znalazł się przy niej. Chwycił ją za łokieć, objął w pasie i podtrzymał.

Kiedy przyciągnął ją do siebie, zeszywniała.

- Nie!

Jeszcze nigdy nie widział tak upartej kobiety.

- Czy pani tego chce, czy nie i tak pani pomogę, więc nie warto protestować - głos Mitcha był cichy, ale zdecydowany.

Dziewczyna odprężyła się, ale tylko trochę. Wskazała głową w stronę obrotowego krzesła, przewróconego obok biurka.

- Muszę tylko usiąść.

Choć nadal wyraźnie oszczędzała prawą nogę, dumnie uniosła w górę głowę. Mitch podniósł krzesło i przytrzymał je, żeby mogła usiąść. Złoty warkocz musnął jego twarz, zapach wanilii pobudził zmysły.

Panna Maynard udawała herod - babę, ale w rzeczywistości była kobieca oraz dystygowana i nie potrafiła tego ukryć.

- Nie było to takie trudne, co?

Jeśli spodziewał się w nagrodę uśmiechu lub podziękowania, bardzo się rozczarował. Obróciła się na krzesło i wysunęła klawiaturę. Ekran stojącego na biurku komputera zamigał i Casey szybko wpisała kilka komend.

Światła w całym domu rozbłysły i już nie zgasły. Równie nagle przestał dźwięczeć alarm.

- Nic się tu nie dzieje, kapitanie.

Casey uniosła głowę i zdobyła się na lekki uśmiech.

- Przykro mi, że zmarnował pan czas. Nie mam pojęcia, skąd wujkowi Jimmy'emu w ogóle przyszło to do głowy. Proszę mu powiedzieć, że jestem mu wdzięczna za troskę.

Było to wyraźne pożegnanie. Co za wieczór! - pomyślał Mitch. Powalił na ziemię niewinną kobietę i gdyby chciała,

mogłaby pozwać go do sądu. A na pytania, których miał coraz więcej, nikt nie chciał mu odpowiedzieć.

- Miło mi było panią poznać - rzekł, nie kryjąc ironii. - Z pewnością przekażę pozdrowienia pani wujkowi.

W jasnym świetle bez trudu dostrzegł na dywanie swój identyfikator. Podniósł go i przypiął do kieszeni. Schylił się po pistolet leżący pod niskim stolikiem i włożył go z powrotem do kabury. Kiedy się podnosił, coś jeszcze zwróciło jego uwagę.

Spod narożnika czarnej skórzanej kanapy wystawał jakiś brązowy kij. Czy to tym w niego rzuciła?

Odwrócony plecami do Casey, Mitch czubkiem buta wysunął ów kij. Laska?

Obraz Cassandry Maynard, panienki z towarzystwa, która do swoich najbliższych przyjaciół zalicza także komisarza policji, wydał mu się trochę mniej idealny. Przyjechał do tej eleganckiej dzielnicy, spodziewając się spotkać ludzi, których styl życia tak bardzo chciała naśladować jego zmarła żona.

Po telefonie komisarza wyobrażał sobie, że zastanie pannę Maynard z pogardą spoglądającą na ludzi, którzy na życie zarabiają ciężką pracą. A tymczasem... okłamała go i uprzejmie kazała wracać tam, skąd przyszedł.

Znów spojrzał na laskę. Orzechowe, polerowane drewno, mosiężna rączka, dobra, artystyczna robota. Ale laska to laska, znak kalectwa. Dziwny u osoby tak młodej i z pozoru silnej fizycznie jak panna Maynard. Może miała jakąś operację lub odniosła kontuzję podczas treningu?

Trudne dzieciństwo spędzone na przedmieściach Kansas City nauczyło go walczyć o przetrwanie. Atakuj, zanim wróg pozna twoją słabą stronę - to była podstawowa zasada.

- No, to czemu właściwie komisarz Reed myślał, że coś może tu być nie w porządku? - Mitch wsunął laskę z powrotem pod kanapę.

Na twarzy dziewczyny tylko na moment pojawiło się zaskoczenie. Po chwili znów patrzyła na niego ze stoickim spokojem. Udawanym czy nie, ale jednak ze spokojem.

- Nie wiem. Dziwię się, że sam nie zadzwonił albo nie przyszedł.

- Może podejrzewał, że pani skłamię i powie, że wszystko w porządku i poradzi mu, żeby się o panią nie martwił.

Casey wzruszyła ramionami.

- Wszystko jest w porządku. Tylko drzwi zostały wyłamane. Przez pana.

Mitch zrobił krok w jej stronę.

- Coś dziś panią bardzo przestraszyło.

- Pan.

- Nie. Coś się stało, zanim się tu zjawiłem. - Przysunął się jeszcze bliżej i z satysfakcją zauważył, że panna Maynard z trudem zachowuje spokój.

Wszystkie domy w tej bogatej dzielnicy były starannie utrzymane, drzewa wokół nich przystrzyżone, drzwi frontowe świątecznie udekorowane, okna wymyte i oświetlone.

Wszystkie, oprócz posiadłości Maynardów. Potężna budowla była na wpół ukryta za wysokim, granitowym murem i czarną, kutą bramą. Stuletnie dęby rosnące wzdłuż podjazdu rzucały na podwórze cień, którego nie były w stanie rozproszyć nawet dwie lampy na werandzie. Jedno skrzydło budynku było w ogóle zamknięte. We wnętrzu panowały ciemności.

Kto zamknął tę księżniczkę w twierdzy?

Mitch nie pamiętał z dzieciństwa zbyt wielu bajek, ale tylko takie porównanie wpadło mu do głowy. Gdzie podziewa się ta rodzina, do której kazał mu zajrzeć komisarz? Gotów był się założyć o miesięczną pensję, że panna Maynard mieszka w tym ponurym zamczysku zupełnie sama.

- Czy jest pani zamężna? Albo mieszka pani z chłopakiem czy narzeczonym?

Krótkie, urwane parsknięcie potraktował jako przeczenie.

- A pani rodzice?

- Mam dwadzieścia osiem lat, proszę pana. Już nie mieszkam z mamusią i tatusiem.

A więc nie tylko on w stresie ratuje się ironią.

- Gdzie oni są? - Znów zrobił krok w jej stronę.

- Są już na emeryturze i spędzają zimy w cieplejszym klimacie.

Nie była to szczególnie konkretna odpowiedź, Mitch postanowił więc zmienić taktykę.

- Dlaczego mnie pani zaatakowała? - Był już przy biurku.

- Wzięłam pana za włamywacza. Goście zazwyczaj dzwonią najpierw do bramy, a wtedy ich wpuszczam.

Zignorował tę oczywistą aluzję. Oparł się rękami o blat biurka i nachylił ku niej. -

- Powiedziałem, że jestem z policji.

- Nic mnie nie...

Gwar głosów dochodzący od frontu budynku przerwał ten niewątpliwie interesujący pojedynek słowny. Zanim Mitch zdążył się odwrócić, do pokoju wpadło dwóch umundurowanych policjantów i od razu wycelowało w niego pistolety.

- Nie ruszać się - rozkazał jeden z nich.

Mitch spokojnie uniósł ręce do góry. Za sobą usłyszał stłumiony, ledwo słyszalny jęk. Kątem oka spojrzał na Casey. Wydawało się to niemożliwe, ale jej porcelanowa cera stała się jeszcze bielsza.

Co ją tak przeraziło? Broń? Przybyli policjanci? Mężczyźni jako tacy?

Coś w jego niebieskim mundurze ją przeraziło. Nie dlatego, że wzięła go za włamywacza. I nie dlatego, że ceni swoją prywatność.

On?

Boi się go? I walczy jak dzika kotka, by udowodnić, że tak nie jest.

Choć być może nie przyjmie jego gestu z wdzięcznością, Mitch uznał niesienie pomocy tej dziewczynie za swój obowiązek. Choć nadrabia miną, jest za słaba, żeby poradzić sobie z kolejnymi niespodziewanymi gośćmi.

Wskazał swój identyfikator i przedstawił się.

- Kapitan?

Policjant, który wcześniej kazał im podnieść ręce, nie był w stanie ukryć zakłopotania. Kiedy obaj schowali pistolety do kabur, Mitch opuścił ręce i podszedł w ich stronę. Nie miał do nich pretensji. Wykonywali tylko swoją robotę. Przyjechali na wezwanie i zareagowali właśnie tak, jak należało.

- Mam tu wszystko pod kontrolą. To był, zdaje się, fałszywy alarm. Ale nie zaszkodzi przeszukać teren, sprawdzić, czy ktoś się tu nie kręcił. I spróbować jakoś naprawić drzwi. - Mitch wiedział, że najlepszym wyjściem, by pozwolić człowiekowi ocalić dumę, jest dać mu coś ważnego do roboty.

- Tak jest!

Policjanci kiwnęli głowami i wyszli z pokoju. Mitch spojrzał na Casey. Miała zamknięte oczy i ciężko oddychała. W tym ogromnym wnętrzu wydawała się maleńka i bardzo krucha. Dopiero teraz zauważył, że jest to biblioteka z trzema ścianami wypełnionymi książkami. Rząd okien na czwartej ścianie wychodził na ogród. Jej biurko stało jak wyspa pośrodku pokoju. Piętrzyły się na nim góry papierów, stał faks, komputer i telefon.

Mitch zastanawiał się, czy Casey mieszka w tym pustym domu z własnego wyboru, czy też ktoś ją tu ukrył i zapomniał o niej.

- Na co pan tak patrzy? - Ostre pytanie Casey wyrwało go z tych rozmyślań. Znow była dumną księżniczką.

- Wieczór okazał się, co prawda, zmarnowany, ale całkiem przyjemny - zauważył z uśmiechem Mitch.

Casey uniosła brwi, a on miał wrażenie, że temperatura w pokoju spadła o dobre kilka stopni.

- To miał być komplement?

- Sam nie wiem. A lubi pani komplementy?

- Nie chciałabym pana odrywać od pańskiej pracy, kapitanie.

No nie, wystarczy.

- Niech się pani o mnie nie martwi. Pani wujek już się tym zajął.

- Tak naprawdę to nie jest mój wujek. Po prostu przyjaciel mojej rodziny.

Casey wsparła się na oparciach fotela i z trudem łapiąc równowagę, wstała. Kulejąc i wyraźnie oszczędzając prawą nogę, podeszła do kanapy. Mitch podziwiał jej determinację, ale nie zapominał, że cierpi i najprawdopodobniej jest w niebezpieczeństwie.

Podbiegł do niej, żeby choć przy ostatnich krokach trochę jej pomóc. Podniósł z podłogi laskę i podał ją Casey z galanterią.

- Przepraszam - rzekł cicho. - Komisarz czeka rano na mój raport. Co mam mu powiedzieć?

Była urażona. Czy dlatego, że potrzebuje laski, czy też dlatego, że to właśnie on ją jej podał?

- Proszę mu powiedzieć, żeby następnym razem sam się do mnie pofatygował.

Casey zacisnęła długie palce o wypielegnowanych paznokciach na mosiężnej rączce laski i zrobiła pierwszy krok. Byłaby pewnie upadła, gdyby Mitch wciąż jeszcze nie trzymał mocno drugiego końca laski.

- Jak mogę pani udowodnić, że z mojej strony nic pani nie grozi?

- Nie może pan. - Casey dumnie uniosła brodę i obrzuciła go lodowatym spojrzeniem.

Jej dolna warga leciutko drżała, Mitch zapragnął ją uspokoić. Tak jak mężczyzna może uspokoić kobietę. Poczł, że serce zaczyna mu szybciej bić i rozzłościł się na siebie za takie myśli. Szybko cofnął rękę i nerwowym gestem przeczesał włosy.

To Jackie zrobiła z niego kogoś takiego. Z początku twierdziła, że podoba jej się jego szorstkość i oddanie. Potem zaś wybrała wyższe sfery i pieniądze zamiast jego miłości.

Teraz Mitch jest już mądrzejszy. Wiele lat trwało, zanim przejrzał gierki żony i pozwolił jej odejść. Świadomość, że ta chłodna, wyniosła księżniczka wzbudza w nim takie same uczucia i pragnienia już przy pierwszym spotkaniu, doprowadziła go do furii.

- Mam nadzieję, że trafi pan do wyjścia, kapitanie. Skoro bez trudu pan tu wszedł.

Mitch aż zacisnął pięści, żeby nie chwycić jej za ramiona i nie wytrząsnąć z niej tej całej dumy, pogardy i ironii.

Obrócił się na pięcie i wyszedł na dwór, by zająć się w końcu prawdziwą policyjną robotą i sprawdzić, jak radzą sobie tamci dwaj policjanci.

Co za cholerny dzień! - pomyślał, zastanawiając się, jak powiedzieć komisarzowi, żeby się wypchał z taką robotą, nie tracąc równocześnie szansy na awans.

Co za cholerny dzień!

ROZDZIAŁ DRUGI

- Cassandro, kochanie, przecież wiesz, że najważniejsze jest dla mnie twoje dobro.

Casey przełożyła słuchawkę do lewego ucha, żeby ukryć pełne zniecierpliwienia westchnienie. Zastanawiała się, dlaczego po zapewnieniach Jimmy'ego wcale nie czuje się bezpieczniej, a tylko głupio.

- No tak, Jimmy, ale dlaczego, tak ni z tego, ni z owego, przysłałeś tu wczoraj policjanta? Wiesz, jak reaguję... - przerwała, szukając słowa, które podkreśliłoby, jak bardzo była przerażona - ..na nieznajomych.

James Reed westchnął z dezaprobatą, a Casey od razu wyobraziła sobie, jak po drugiej stronie linii spogląda na zegarek.

- Mitch to nie pierwszy lepszy policjant. Jest jednym z trójki finalistów, spośród których w przyszłym roku wybiorę swego zastępcę. To bardzo dobry i porządny człowiek.

I ma w sobie tę nieprawdopodobną siłę, z którą trzeba się liczyć, dodała w duchu Casey.

Wsparła czoło na rękę i westchnęła głęboko. W nocy źle spała i to nie tylko z powodu bólu promieniującego od prawego biodra aż po plecy - wspomnienia po zapasach ze wspomnianym policjantem.

Groźny jako przeciwnik. Groźny jako sprzymierzeniec.

A poprzedniego wieczora nie była w stanie powiedzieć, po której stronie ringu walczył.

- Dla mnie może to być nawet Eliot Ness. No więc, po co go do mnie przysłałeś?

Podwójna aspiryna i gorący okład uśmierzyły nieco ból fizyczny. Ale aż do świtu Casey, przewracając się w pościeli, próbowała zrozumieć, dlaczego niespodziewana wizyta Mitcha Taylora tak ją zirytowała.

Może sprawił to jego głos. Głęboki, męski, pełen szyderstwa, ale i wyzwania. Może jego oczy. Zapamiętała ich delikatny, brązowy kolor, podobny do barwy koniaku, który jej ojciec zwykł był sączyć wieczorami przy kominku.

Ale w sposobie, w jaki na nią patrzył, żadnej delikatności nie było. Jakby winna była czegoś więcej niż tylko obrazy policjanta.

A jeszcze teraz Jimmy unika odpowiedzi, których ona tak bardzo potrzebuje.

- Czytałaś poranną gazetę? - spytał.

Casey owinęła się szczelniej aksamitnym szlafrokiem, który narzuciła na flanelową nocną koszulę. Chłód w głosie Jimmy'ego był bardziej dotkliwy niż ten panujący w pokoju.

- Nie. Judith jeszcze nie przyszła. Nie chciało mi się samej iść do skrzynki.

- Nie chciałem cię denerwować. To może nic ważnego. Zauważyła, jak ostrożnie dobiera słowa i serce zaczęło jej szybciej bić.

- 'A myślisz, że mnie nie zdenerwowałeś, wysyłając tu policjanta? Przecież wiedziałeś, że jestem sama.

- Po prostu chciałem sprawdzić, czy jesteś bezpieczna.

- Przestań traktować mnie jak matę dziewczynkę. Powiedz mi...

- Jesteś przecież moją chrześniaczką. Obiecałem Jackowi i Margaret, że zawsze będę się tobą opiekował.

- Mama i tata już dawno powiedzieliby mi prawdę! Omal nie zadzwoniłam do nich i nie poprosiłam, żeby wrócili. - Cisza, jaka zapanowała po drugiej stronie, sprawiła, że pożałowała takiego wybuchu. - Przepraszam cię, Jimmy. Wiem, że chciałeś dobrze...

- Nie możesz do nich zadzwonić - przerwał jej wuj. Casey spróbowała jeszcze raz.

- Wiem, że jeszcze przez trzy miesiące będą w Europie, ale mogę ich jakoś znaleźć.

- Nie, nie możesz.

W dzieciństwie często karcono ją takim właśnie głosem. Ale przecież od dawna nie jest już małą dziewczynką.

- Do jasnej cholery, Jimmy, nie możesz mi dyktować...

- Emmett Raines.

Jeśli chciał ją ukarać za wybuch, nie mógł wybrać okrutniejszego sposobu.

Pomyślała o wiszącym w holu srebrnym medalu olimpijskim i że obok niego mógłby wisieć złoty, zdobyty cztery lata później. Pomyślała o rodzicach, którzy najpierw udawali, że nie żyją i którzy teraz, żeby żyć, muszą się ukrywać. Nawet przed nią. Pomyślała o jutrzejszym Świątce Dziękczynienia, które spędzi samotnie. Znowu!

Z powodu Emmetta Rainesa.

- Co z nim?

Trzaśnięcie kuchennych drzwi wyrwało ją z tych ponurych rozmyślań.

- Casey! Casey? - rozległ się w holu piskliwy głos.

W progu stanęła gospodyni Maynardów. W jej wodnistych, niebieskich oczach malował się strach.

- Chwileczkę, Jimmy - powiedziała do słuchawki Casey. - Właśnie przyszła Judith. Rozwalone drzwi na pewno ją zaniepokoiły. Pozwól, że jej wytłumaczę, co się stało.

Musiała odłożyć słuchawkę, by z pomocą obu rąk wstać i udawać spokojną. Judith McDonald była co prawda płatną pomocą domową, ale pracowała u Maynardów tak długo, że Casey uważała ją za przyjaciółkę.

- Nic ci się nie stało?

Gospodyni szybkim krokiem przeszła przez pokój. W jednej ręce trzymała gazetę, drugą podtrzymywała swój potężny brzuch.

- Uciekł z więzienia.

To krótkie zdanie było jak cios w splot słoneczny. Casey nie potrzebowała już dalszych wyjaśnień, by zrozumieć prawdę. Straszłą prawdę. Znała już powód wizyty Mitcha Taylora. Opadła na krzesło i ukryła twarz w dłoniach. Jeszcze przed chwilą miała nadzieję, że poznanie prawdy ją uspokoi. Stało się wprost przeciwnie.

Judith rozłożyła gazetę na biurku i wskazała palcem krótki artykuł na drugiej stronie. Casey szybko przemknęła wzrokiem po tekście i natychmiast podniosła słuchawkę.

- Dlaczego mi nie powiedziałaś, że Emmett Raines uciekł? Jimmy westchnął prawie równocześnie z nią.

- Szuka go cała policja stanowa. Nie ma tu już żadnej rodziny. Ze statystyk wnioskujemy, że będzie starał się uciec najdalej od Missouri jak się tylko da. Nie chciałem cię niepotrzebnie alarmować.

Ze statystyk? Ukochany przyszywany wuj powierza jej bezpieczeństwo statystykom? I wysyła tylko jakiegoś pewnego siebie gladiatora, żeby sprawdził, czy w posiadłości nic się nie dzieje? Na szczęście jej złość była silniejsza niż strach. Przynajmniej w tej chwili.

- Zeznawałam przeciwko temu człowiekowi w sądzie! W gazecie piszą, że zamordował jakiegoś napotkanego kierowcę i wyjechał z Jefferson City. I ty chcesz, żebym się nie denerwowała?

Judith pochyliła się nad biurkiem i ujęła ją za rękę. Casey przyjęła ten gest z wdzięcznością. Bardzo teraz potrzebowała przyjaznej duszy.

- Nic nie rób, Cassandro. Zostań w domu. Pozamykaj drzwi i okna. - Po raz pierwszy w czasie tej rozmowy spodobał jej się autorytatywny głos Jimmy'ego. - Poproszę Iris, żeby poodwoływała moje spotkania i będę u ciebie

najszybciej, jak się da. Wszystkim się zajmę, dziecinko. Obiecuję!

Casey odłożyła słuchawkę i przekazała polecenie Judith. Gospodyni natychmiast ruszyła na obchód domu, a Casey włączyła komputer i sprawdziła, czy dobrze działa domowy system elektronicznych zabezpieczeń.

Miło jej było, że Jimmy ceni ją na tyle wysoko, by dla niej odwołać jakieś spotkanie, ale równocześnie nie przyniosło jej to ulgi. Jeszcze nie. Może nawet nie nastąpi to nigdy.

Nikt nie rozumiał Emmetta Rainesa tak dobrze jak ona. I nikt nie zrozumie, dopóki nie stanie się jego ofiarą.

Zrezygnowała już z wyjaśniania, dlatego zamknęła się w domu, w którym się wychowała. Po procesie Emmetta pozwoliła, by prasa oddawała się spekulacjom na temat jej wycofania się z życia elity miasta. Strach przed dalszymi kryminalnymi reperkusjami. Żal po straconej karierze. Smutek po utracie rodziców.

Nie mogła im powiedzieć o swej niezwyklej fobii.

I absolutnie nie mogła ryzykować dalszych wizyt nieproszonych gości.

Zalogowała się do sieci i znalazła stronę, której szukała.

Żadnych wizyt nieznajomych.

Już ona to załatwi!

- Cześć, staruszkule!

Mitch burknął coś na to radosne powitanie i rzucając po drodze krótkie rozkazy, przeszedł przez biura komendy.

- Ginny! Chcę wiedzieć wszystko o Cassandrze Maynard. Panna z towarzystwa. Dwadzieścia osiem lat. Mogła niedawno mieć jakiś wypadek, więc sprawdź to w rejestrze.

Drobna blondynka oparła się o fotel.

- Casey Maynard? Córka sędziego?

- Znasz ją? - Mitch stanął jak wryty.

- Ze słyszenia - odparła Ginny. - Parę lat temu pisały o niej wszystkie gazety. Studiowałam wtedy w akademii policyjnej. Przerabialiśmy to na zajęciach. Jej ojciec, Jack Maynard, był sędzią przez prawie dwadzieścia lat.

- „Niewzruszony Jack”? - Mitch nie mógł uwierzyć, że sam wcześniej tego się nie domyślił.

- Albo „Nieprzekupny Jack”, jak wolisz.

Na Ginny zawsze można było polegać. Choć drobna i niepozorna, w dwójnasób nadrabiała brak dobrej kondycji fizycznej inteligencją i wspaniałą pamięcią.

- Była ranna, a potem sędzia i jego żona rzekomo zginęli w strasznym wypadku samochodowym. Dopiero parę miesięcy potem ujawniono, że ich śmierć została sfingowana, żeby mogli się ukryć. Jestem pewna, że sędzia Maynard od tamtej pory nie wrócił do sądu.

- Co to znaczy „ranna”? - Mitch przysiadł na jej biurku.

- To było kilka lat temu. O ile dobrze pamiętam, ktoś ją napadł.

- Słyszałem o niej. - Najnowszy nabytek Mitcha, detektyw Merle Banning, dopiero od trzech lat w policji, podszedł z kubkiem kawy i włączył się do dyskusji. - Pamiętam, jak moja mama mówiła mi o tej tragedii. Córka sędziego przygotowywała się do swojej drugiej olimpiady. Zdaje się, że była pływaczką.

Mitch skinął głową. Zrobiło mu się głupio, kiedy przypomniał sobie, jak szorstki był wobec Casey i jak ona broniła się przed nim wszelkimi dostępnymi środkami. Raz już ktoś zrobił jej krzywdę, nic dziwnego więc, że jest taka ostrożna i nieufna.

Tym bardziej trzeba jej pomóc. On sam nigdy nie zeznawał przed sędzią Maynardem, ale przypomniał sobie kilku dawnych znajomych, którzy mieli taką okazję.

- Sędzia miał reputację surowego, jeszcze długo przed wprowadzeniem nowego kodeksu karnego. Muszę koniecznie zobaczyć akta jego córki.

Wstał i położył rękę na ramieniu Merle'a. Wyczuwał, że to będzie poważna sprawa.

- Chcę wiedzieć wszystko, co mamy o Jacku Maynardzie.

- Wszystko?

Mitch zignorował wątpliwości Banninga.

- Chcę znać nazwiska wszystkich, których sądził. I daty.

- Wszystkich? To ogromny rejestr, Mitch. - Młody detektyw był tak zabawnie zaskoczony, że Mitch nie mógł się nie roześmiać.

- No, to bierz się do roboty.

- Tak jest! - Merle odstawił kubek i wszedł do sieci. Niejeden skazany z większym entuzjazmem wchodził do celi. W Mitchu odezwał się ojcowski instynkt, słabiutki, ale wyraźny.

- Jak Ginny skończy swoją pracę, poproś ją, może ci trochę pomoże.

Merle i Ginny ponad swymi komputerami wymienili porozumiewawcze spojrzenia.

- Będiesz miał to na biurku najszybciej jak się da - oznajmił trochę uspokoiony detektyw.

- Super!

Mitch przerzucił przez ramię swój płaszcz i spokojny, że robota, którą zlecił, będzie wykonana, podszedł do biurka swego porucznika.

- Cześć, Joe! Prosiłem o połączenie z komisarzem Reedem. Przełącz do mnie natychmiast, jak zadzwonią.

- Zrobi się.

Joe Hendricks wszedł za Mitchem do jego gabinetu i czekał, aż ten zdejmie marynarkę i rozluźni krawat. Mitch

usiadł, przejrzał kilka papierów i zaraz znów wstał. Był zbyt zdenerwowany, by usiedzieć na miejscu.

- Masz kawę. - Joe podał mu kubek pełen smolistej, parującej cieczy.

Z potężnej klatki piersiowej Mitcha wyrwało się głębokie westchnienie.

- To aż tak widać?

Ciemnoskóry detektyw uśmiechnął się i usiadł wygodnie na jednym z krzeseł.

- Wypij, a potem porozmawiamy.

- To brzmi złowieszczo. - Mitch wciągnął w nozdrza oszałamiający aromat, potem wypił kilka łyków i wreszcie usiadł. I pozostał na miejscu.

- No, to mów, co cię dziś gryzie?

Mitch objął dłońmi kubek i wpatrywał się w jego wnętrze. Ciemny płyn przypominał mu mrok wczorajszej nocy. To nie stres, zwyczajowo przecież związany z tą pracą, tak go rozzłościł, lecz poznana wczoraj dumna królewna, zamknięta w więzy.

Owszem, może go nawet podać do sądu, bo przecież się na nią rzucił. Ale nie to go najbardziej niepokoiło. Na dziewięćdziesiąt dziewięć procent był pewien, że tego nie zrobi. Gotów był się nawet założyć, że w ogóle nie będzie go chciała oglądać.

Ani nikogo innego.

Dlaczego myśli o niej jak o więźniu? Może z powodu tej nogi. Z relacji Ginny i Merle'a wynika, że to jakieś stałe kalectwo. Ale z pewnością nie to zrobiło na nim największe wrażenie, nie pozwoliło spać w nocy i zakłóciło codzienną rutynę poranka.

To jej oczy. Ciemne i głębokie. Widział w nich strach.

Strach przed nim.

Wypił potężny łyk kawy i omal nie poparzył sobie języka. Cholera, przecież nikt nie powinien się go bać. Nikt oprócz przestępców.

Co ona ma przeciwko glinom? Ciężko zapracował na swój identyfikator i rangę. Nie powinien się przejmować znieuwagami jakichś pańienek, które, mimo że są w niebezpieczeństwie, nie pozwalają sobie pomóc.

W ogóle nie powinien się nią przejmować.

I tu przypomniał sobie pytanie Joe'go..

- Komisarz bawi się ze mną w kotka i myszkę. Jeszcze nie rozgryzłem, o co mu chodzi.

- A co ma z tym wspólnego sędzia Jack? - Joe wskazał pokój, w którym nad komputerami siedzieli Merle i Ginny.

- Stary zadzwonił wczoraj wieczorem i poprosił, żebym sprawdził posiadłość sędziego Maynarda. Osobiście. Miałem zobaczyć, czy nic złego się tam nie dzieje.

- I co?

- O ile mogłem stwierdzić, to nic się tam nie działo. Dlatego próbuję zrozumieć, o co tu chodzi. Reed nie był szczególnie rozmowny. - Mitch rozłożył ręce w bezradnym geście. - Jediną osobą obecną w domu była córka sędziego. Moja wizyta wyraźnie jej nie zachwyciła.

Joe roześmiał się i potarł nasadę nosa, miejsce, w którym na twarzy Mitcha widniał piękny siniak.

- To kolejny twój podbój? Oczarowałeś ją i rzuciłeś? Mitch poczuł, że wbrew sobie i on się uśmiecha. Casey

Maynard rzeczywiście nieźle mu przyłożyła. Chyba po raz pierwszy w życiu dostał w twarz od kobiety.

- Różne rzeczy można o mnie powiedzieć, ale czarować chyba nie umiem.

- Ej, nie bądź taki skromny! Właśnie założyłem się o pięć dolców, że na nasz bankiet przyprowadzisz jakąś niezłą seksbombę.

Żarty kolegi wyraźnie poprawiły Mitchowi nastrój.

- Wy naprawdę nie macie nic do roboty?

Joe uśmiechnął się niewinnie.

- Większość chłopaków uważa, że przyjdiesz sam. A Ginny myśli, że z jakąś koleżanką z dawnych czasów.

- Nie marnuj forsy, Joe. Twój czwarty potomek chyba lada dzień pojawi się na tym świecie, co? A dzieciak to studnia bez dna.

- Fakt, że wkrótce zostanę znów ojcem, nastraja mnie bardzo romantycznie. Wiem, że masz jakąś piękną panią, którą przed nami ukrywasz.

- Do roboty, poruczniku - parsknął śmiechem Mitch. Joe udał obrażonego.

- A poranny raport?

Mitch prawie wypchnął go za drzwi.

- Najpierw muszę załatwić kilka telefonów. Dopiero potem mi powiesz. Ale tylko o najważniejszych sprawach. I jeszcze jedno...

Hendricks zatrzymał się i spojrzał na szefa spod oka.

- Wzmóż patrole w okolicy domu panny Maynard. Ale nikt nie ma prawa wejść do środka bez mojego pozwolenia.

- Tak jest! - Joe zasalutował.

- Dobry z ciebie człowiek.

- Moja żona też tak mówi - ucieszył się porucznik i zniknął za drzwiami.

Biedny Joe! Może się już pożegnać ze swymi pieniędzmi. Mitch nie miał zamiaru psuć sobie tego bankietu towarzystwem kobiety, która nie rozumie, jak bardzo ważna jest dla niego służba i awans. Która nie jest w stanie tego zrozumieć.

Kobiety wymagają uwagi. Świateł rampy. Chcą, by je rozpieszcząć. A jeśli stary, poczciwy Mitch Taylor z czwartej

komendy nie jest w stanie dać kobiecie tego, czego ona chce... No cóż, taka kobieta odchodzi. Tak jak Jackie.

Praca ocaliła go przed piekłem i dała szansę bycia kimś. Dała mu władzę i autorytet, na który zapracował krwią i potem.

Ale praca to kiepski towarzysz samotnych nocy. Nie śmieje się wraz z nim z jego pomyłek ani nie podtrzymuje na duchu. Nie zestarzeje się razem z nim.

Mitch westchnął głęboko, podwinął rękawy koszuli i zabrał się do pracy. Zauważył na ekranie komputera, że ma nowe wiadomości w skrzynce odbiorczej, więc zaczął je kolejno wyświetlać. Dopiero któraś z rzędu tak naprawdę zwróciła jego uwagę.

Kapitanie Taylor,

Więzień o nazwisku Emmett Raines uciekł z Jefferson City. Jeśli chce pan zmazać poczucie winy po wczorajszym wieczorze, proszą dać mi jak najszybciej znać, co policja Kansas City o tym wie.

Casey Maynard

- Poczucie winy? - Mitch prychnął w stronę ekranu. - Ona myśli, że ja czuję się winny?

Ignorował fakt, że poczucie winy prześladowało go od chwili, kiedy dowiedział się, że zastosował przemoc wobec kalekiej ofiary napadu, choćby nawet uzbrojonej w laskę. Jej zamglone oczy i pełne usta pojawiały się w jego snach przez całą noc. Dzisiejsza wiadomość od dumnej królowny jeszcze bardziej go zawstydziła. Musiał jej odpowiedzieć.

Wiadomość, którą wysłał, była równie zwięzła.

Zrozum, królowno, że tego rodzaju informacje są ściśle tajne. Rozmieszczone w twojej okolicy wzmocnione patrole mają wszystko pod kontrolą. Zainteresowanie ze strony poszukiwaczy sensacji tylko im to utrudni. A tak przy okazji, ilością formularzy, jakie musiałem wypełnić wczoraj

wieczorem, zmasażem wszelką winę, jaką mógłbym ewentualnie czuć.

Szczerze oddany sługa Mitch Taylor

Gotowe. Kliknął „wyślij” i odetchnął z satysfakcją. Przypomniawszy tej dumnej pani, jakie jest jego miejsce w jej życiu.

Potem zajął się papierami, czekającymi na niego na biurku. Pracował ciężko, ignorując dziwnie napięte mięśnie karku. Uznał, że to pewnie szalejące hormony są tego przyczyną. Casey Maynard rzeczywiście założyła mu za skórę.

Zbyt wiele do niej czuł i bynajmniej nie było to wyłącznie współczucie policjanta dla ofiary.

Jej wdzięk. Delikatny zapach. Ten niesamowity kolor włosów. To wszystko jest takie pociągające. Gdyby tylko nie była taka zimna, taka wyniosła.

I taka przerażona.

Mitch przerwał pracę. Czy o to właśnie chodzi? Był jej potrzebny. Przez parę chwil w każdym razie. Kiedy była zbyt słaba, by walczyć. I potem, kiedy pojawili się mundurowi.

Przez moment myślał, że go potrzebowała.

Ze złości walnął pięścią w blat biurka, rozrzucając papiery i wylewając kawę. Przecież dostał już kiedyś nauczkę, do cholery! Jackie też go potrzebowała. Kiedy rzucił ją chłopak, szukała kogoś odpowiedzialnego i silnego. Wielu ludziom był potrzebny z powodu swojej pracy. Miał służyć obywatelom. W tym był dobry.

Ale to mógł robić każdy porządny człowiek. Każdy policjant

To dlatego dumna królowa tak go irytuje. Urażona duma? Mitch aż parsknął śmiechem. Już od dawna czegoś takiego nie czuł. Pewnie po prostu miał zły dzień.

Trudno! Ale to się już nigdy nie powtórzy.

Wyciągnął z pudełka kilka chusteczek i wytarł plamy po kawie. Kątem oka dostrzegł migające na ekranie światełko. Wiadomość w poczcie elektronicznej.

Super! Akurat w chwili, kiedy wyperswadował już sobie wszelkie zainteresowanie dumną Casey.

Mitch, o jakich formularzach wspomniałeś? O raportach policyjnych? Uważam, że nie powinno się mnie w nic mieszać. Proszę nie umieszczać mojego nazwiska w żadnych raportach.

Casey

No, no. Łaskawie zechciała przejść z nim na ty.

Księżniczko, oddałem strzał i miałem do czynienia z podejrzaną sytuacją. To standardowa procedura. Twoje nazwisko musiało się znaleźć w raporcie, bo przecież to się zdarzyło w twoim domu.

Mitch

Od razu wysłał odpowiedź i czekał na jej reakcję. Nie sprawiła mu zawodu.

Wcale cię nie wzywałam.

Minęło kilka chwil i pojawiła się następna wiadomość.

A może porozmawiam o tym z Jimmym? Może da się zapomnieć o całej sprawie?

Czyżby myślała, że ma aż takie wpływy? Każdy funkcjonariusz zawsze pisze raport, kiedy użyje broni. Czy to wobec przestępcy czy tylko strzelając do zamka u drzwi. Dlaczego uważa, że dla niej może te przepisy zmienić?

Przepisy są przepisami. Porozmawiaj z „wujkiem Jimmym”. Jestem pewien, że w tej sprawie mnie poprze.

Tym razem praktycznie nie było przerwy.

Nie! Nie używaj mojego nazwiska. On mnie znajdzie.

- Znajdzie cię? - spytał na głos Mitch. Odpowiedź, jaką wysłał, była natychmiastowa i bardzo zwięzła.

Kto?

Nie odrywał wzroku od ekranu.

Emmett Raines.

Kim jest dla ciebie Emmett Raines? - wystukał Mitch. -
Czy wzięłaś mnie za niego?

Proszę!!!! - odpowiedziała.

Mitch powtórzył w myślach przeczytane imię i nazwisko, ale z niczym mu się nie skojarzyło. Może Emmett to jakiś były chłopak. Powiedziała, że uciekł. Może po prostu wszędzie widzi wrogów, nawet tam, gdzie ich nie ma.

Przypomniał sobie jej przerażone oczy, a także fakt, że to nie jego pomocy szukała.

Poproszę jednego z moich ludzi, żeby się tym zajął.

Choć jej błyskawiczna odpowiedź pojawiła się na ekranie komputera, miał wrażenie, że rozmawia z Casey osobiście, że patrzy na nią i widzi...

Nie! Zapomnij o tym! Zapomnij! Więcej nie przysyłaj tu nikogo. Sam też nie przychodź. I nie nazywaj mnie królową. Ani księżniczką!

Co takiego? Wiadomość urwała się nagle i Mitch domyślił się, że Casey się rozłączyła. Patrzył tępo w ekran, jakby chciał przekazać jej przez komputer swoje myśli. Nie był pewien, co bardziej go zdenerwowało. Świadomość, że panna Maynard chce dyktować mu, co ma robić i zamierza za jego plecami porozumieć się z jego szefem, czy odkrycie, że być może, tak jak reszta świata, i ona jest zwykłą, ułomną ludzką istotą.

Nie podoba jej się, jak ją nazywa. Reaguje na niego jak na człowieka. A może też jak na mężczyznę?

Ta krótka wymiana e - maili podekscytowała go tak samo jak wczorajsze z nią spotkanie w cztery oczy. Wyobrażał sobie, jak ciemnieją ze złości jej oczy. Jak dumnie unosi się do góry jej głowa.

I przypomniał sobie, jak prostując ramiona, próbuje ukryć paralizujący ją strach.

- Joe! - wrzasnął.

- Słucham, szefie?

- Przepraszam. - Mitch z poczuciem winy spojrział na stojącego w progu Joego. - Emmett Raines. Sprawdź depesze. Właśnie zwiął z więzienia w Jefferson. Muszę wiedzieć o nim wszystko, co mamy.

- Mam szukać czegoś konkretnego?

- Powiązań z Jackiem albo Casey Maynard. Coś mi tu nie pasuje. - Mitch spojrział na wygaszony ekran komputera. - Tylko jeszcze nie wiem, co.

Joe zapisał nazwisko Rainesa w notesie i wskazał stojący na biurku telefon.

- Na drugiej linii jest komisarz. Na razie! Mitch skinął mu głową i podniósł słuchawkę.

- Panie komisarzu...

- Mitch? Cześć! Darujmy sobie uprzejmości. Musimy porozmawiać.

- Zgadza się. Musimy.

- Co on sobie, do cholery, wyobraża? Że kim jest? - mruknęła przez zaciśnięte zęby Casey, wciąż jeszcze wściekła po komputerowej wymianie zdań z Mitchem Taylorem. Litery na ekranie komputera zlały się w jedno, zdjęła więc okulary, których używała do czytania i energicznie potarła zmęczone oczy.

Zazwyczaj artykuły na temat medycyny bardzo ją interesowały. Dziś jednak widziała w nich tylko bezsensowny, pseudonaukowy bełkot. Choć wiedziała, że zbliża się termin oddania pracy, zachowała tekst, nad którym pracowała, i wyłączyła komputer. Nie była w stanie się skupić, ale ten, kto zamówił u niej robotę, nie powinien przez to cierpieć.

Wsunęła buty i zawiązała je, do prawego przymocowała specjalną platformę i wstała ostrożnie. Poprzedniego wieczora nadwerężyła nieco chorą nogę, założyła więc na nią

ortopedyczne klamry i podeszła do okien, wychodzących na ogród.

Mąż Judith, Ben, nadal, tak jak w czasach, kiedy trenowała, opiekował się basenem, ale to, co kiedyś było symbolem sukcesu jej i rodziny, stało teraz pod szklaną kopułą jak świadectwo tego, co utraciła.

Symbol marzeń. Rodziny. Ufności.

Po ataku ciężko pracowała, by jej ciało wróciło do formy. Na nowo uczyła się chodzić. Wiele miesięcy ćwiczeń we własnej sali gimnastycznej i w basenie przyniosło pewne rezultaty. Wiedziała, że na więcej nie może już liczyć.

Nic jednak nie mogło odbudować jej zaufania ani uleczyć złamanego serca.

Szyba, przy której stała, zaparowała od oddechu, przetarła ją więc ręką. Zdawała sobie sprawę, że jej niepokój nie jest wyłącznie winą Mitcha.

Brakowało jej barw, których kiedyś tak pełne było życie. Brakowało fizycznej aktywności, wyzwania i celów, a także zdobywania nagród.

I to się już nigdy nie zmieni. Musi jeszcze bardziej się pilnować, bo inaczej Emmett ją znajdzie. Choć sprytnie zmylił pogoń i uciekł w przeciwnym kierunku, wiedziała, że wróci.

Akurat gdy o tym myślała, przy frontowej bramie zadzwonił dzwonek i Casey zeszywniała. Spojrzała na stojący na kominku zegar i odetchnęła z ulgą. Była dwunasta dziesięć. Nie jest sama. W domu są jeszcze McDonałdowie.

Prawie w tej samej chwili, kiedy jej oddech wrócił do normy, w drzwiach biblioteki stanęła Judith.

- Pan James Reed chce się z tobą widzieć - oznajmiła.

- Po co te formalności - zaśmiała się Casey.

- Z przyzwyczajenia. Mam przygotować dla niego obiad?

Smutek, jaki zazwyczaj widniał na twarzy gospodyni, rozproszył się nieco, kiedy zobaczyła, że jej ulubienica choć

przez chwilę będzie miała towarzystwo. Casey też się ucieszyła z przyjścia gościa, choć wiedziała, że głównym tematem rozmowy podczas wizyty Jimmy'ego będzie ucieczka Emmetta Rainesa z więzienia.

- Zapytam. Idź i wprowadź go przez kuchnię.

Kilka minut później uśmiechnięty komisarz policji, James Reed, siwowłosy, pięknie prezentujący się w czarnym garniturze, wszedł do biblioteki.

- Cassandro, witam.

Spotkała go w połowie drogi i wpadła w jego objęcia. Balansując na zdrowej nodze, objęła go za szyję i pocałowała w policzek.

- Jak to miło, że przyszedłeś.

Komisarz wypuścił ją z objęć i przytrzymał za łokcie.

- Mogę zostać tylko przez chwilę. Ale nie chciałem zawieść mojej kochanej dziewczynki.

Próbowała odpowiedzieć mu takim samym uśmiechem, ale nie była w stanie tego zrobić.

- Spodziewałam się ciebie trochę... wcześniej.

- W ogóle nie powinniśmy tu być - odpowiedział jej od progu głęboki, zmysłowy baryton.

Stojący w drzwiach Mitch Taylor był jeszcze wyższy, niż go zapamiętała. Kiedy wszedł do środka, pokój zrobił się maleńki jak dziupla. Był o kilkanaście centymetrów wyższy od jej przyszywanego wuja i dużo lepiej zbudowany. Nawet znakomicie skrojony garnitur nie był w stanie ukryć jego atletycznej piersi i bicepsów.

Patrzył na nią uważnie. Taksował koniakowobrazowymi oczami, mierząc od stóp do głów, aż zrobiło się jej gorąco.

Do tej pory tylko lekarz oglądał ją tak dokładnie. Zrobiła niepewny krok w bok.

- Dzień dobry, kapitanie.

- Bardzo cię skrzywdziłem? Boli?

Na dźwięk głosu Mitcha pełnego czułości i troski, serce Casey zaczęło szybciej bić. Próbowwała uspokoić się. Zdobyła się nawet na uśmiech.

- Jestem troszeczkę...

Chciała powiedzieć „obolała”, ale Jimmy miał już dość takiej uprzejmej konwersacji.

- Nic jej nie zrobiłeś. Ona zawsze chodzi z laską albo z tym aparatem.

Ten ostry komentarz przywrócił Casey do rzeczywistości. I do wszystkiego, co się z nią wiąże. Wyprostowała ramiona i uniosła głowę.

Kątem oka dostrzegła, że Mitch patrzy na Jimmy'ego, a potem znów zerka na nią.

- Powinnaś być w jakimś bezpiecznym miejscu. A w każdym razie pod całodobową opieką policji.

Łatwiej było się bronić, kiedy usłyszała ton jego głosu.

- Prosiłam, żebyś tu nie przychodził.

- Nie, rozkazałaś mi, księżniczko. - Mitch spojrzał na Jimmy'ego. - Ale to ten pan jest moim szefem.

Komisarz Reed skinął głową podwładnemu, wziął Casey pod rękę i poprowadził ją do kanapy.

- Chcemy z tobą porozmawiać, Cassandro.

Usiadł tuż obok i wziął jej rękę w swoje dłonie. Nie był to dobry znak.

- Nie chciałem, żebyś tak szybko dowiedziała się o ucieczce Rainesa, ale skoro to już się stało, możesz być pewna, że się tym zajmę. Raz go już zamknąłem i zrobię to znowu. Nie pozwolę mu krzywdzić mojej rodziny. - James Reed zakończył to oficjalnie brzmiące przemówienie i dodał bardziej serdecznym tonem: - Obiecałem twojemu ojcu, że będę się tobą opiekował. I jestem pewien, że Mitch to jedyny człowiek, jaki może mi w tym pomóc.

Casey spojrzała na Mitcha, który próbował się jakoś wpasować w obity brokatem fotel. Kręcił głową, jakby już wątpił w sens tego pomysłu. Nie był to dobry znak.

- Co takiego? Będzie tu przychodził co wieczór i straszył mnie jak ostatnio? - Casey próbowała obrócić to wszystko w żart.

Jimmy mocno zacisnął palce na jej dłoni.

- Nie, kochanie. Przydzielam ci go jako osobistego ochroniarza.

ROZDZIAŁ TRZECI

Casey zatrzymała stoper, kiedy wyciągnięte palce dotknęły ściany basenu. Ciemnowłosa nimfa wynurzyła się z wody, opryskała buty Casey i usiadła na brzegu basenu.

- Jak wypadłam? - spytała, ciężko dysząc, Frankie Reilly.

- Nie najgorzej. - Casey rzuciła dwunastoletniej wnuczce Bena i Judith ręcznik. - Ale ja w twoim wieku w tym samym czasie przepływałam dodatkową odległość:

Tego popołudnia trudno jej było zdobyć się na uwagę należną podopiecznej. Ale przecież nie codziennie plątał się po jej domu prawie dwumetrowy policjant. Jego czujne oczy przez cały czas obserwowały wszystko, co działo się w samym domu i na zewnątrz. Wyglądał tak groźnie, że żaden morderca czy choćby wariat nie śmiałyby nawet pomyśleć, by się tu zjawić.

Pod kopułą basenu było gorąco i wilgotno, a jednak Casey poczuła, że drży i otuliła się ramionami. Choć, mając w swojej posiadłości tak imponującego obrońcę, powinna się czuć bezpiecznie, bała się. Nawet jeszcze bardziej, niż kiedy dowiedziała się o ucieczce Emmetta.

Siedem lat temu też czuła się bezpiecznie w towarzystwie ochroniarza. Tak bezpiecznie, że nie zauważyła, jak perfekcyjnie Emmett Raines umie się maskować i przebierać. A potem było już za późno...

Za późno, kiedy uświadomiła sobie, że jej ochroniarz to Emmett Raines, groźny przestępca.

- Casey? - Frankie pociągnęła ją za ramię, odrywając swoją trenerkę od pełnego skupienia studiowania potężnej postaci Mitcha. - Chcesz, żebym jeszcze raz popłynęła?

Na szczęście to dziewczynka przyłapała ją na gapieniu się na policjanta, a nie on sam.

- Przepraszam cię bardzo. Może na razie wystarczy. Praca nad kondycją jest ważna, ale kolacja też.

Frankie wciągnęła na siebie nylonowy dres i nachyliła się do Casey.

- Niezły jest ten policjant, co? - szepnęła. Konspiracyjny ton wypowiedzi tak młodej dziewczyny zaskoczył Casey.

- Oczywiście jak na starszego faceta - dodała Frankie. Casey zacisnęła wargi.

- „Niezły” to chyba nie jest najwłaściwsze słowo. „Onieśmielający” raczej.

- No, nie udawaj. Widziałam, jak na niego patrzysz. Dokładnie tak samo jak on na ciebie.

- Co takiego?

Frankie wzruszyła ramionami, jakby wyjaśnienie było aż za proste, a Casey chyba oślepla.

- Poza dziadkiem to jedyny facet, z którym widziałam cię sam na sam.

- Nie bywam z nim sam na sam. - Casey próbowała się jakoś bronić przed zadziwiającą filozofią nastolatki.

- Właśnie. - Instynkt Mitcha podpowiedział mu, że to on jest tematem rozmowy. Jego głęboki głos nawet w połowie tak nie niepokoił Casey, jak jego bystre spojrzenie. - Jestem tylko wynajętym służącym.

Ton jego głosu był wyraźnie zaczepny i Casey zastanawiała się, dlaczego. Owszem, dał jej wyraźnie do zrozumienia, że nie marzył o tym, żeby być jej ochroniarzem, ale to przecież nie był jej wybór. Jimmy nawet nie chciał słuchać jej protestów. Nie udało jej się przekonać żadnego z nich, że bezpieczniejsza będzie sama.

Dlaczego więc wciąż robi do tego aluzje? Przecież musi czuć, że gdyby się stąd wyniósł, odetchnęłyby z ulgą.

- Prawda, królewno?

- Nie wiem czemu, ale mam wrażenie, że mówiąc tak do mnie, nie masz na myśli bohaterki bajek.

Mitch rozejrzał się dokoła.

- Gdybym ci powiedział, że ta gotycka budowla, z tyloma pozamykanymi pokojami i szklanymi ścianami jest strasznie trudna do upilnowania, to przeniosłabyś się ze mną do czegoś bezpieczniejszego?

- Nie.

Frankie w tej akurat chwili postanowiła podzielić się z nim swą obserwacją.

- Czy wiesz, że jest tu ukryta klatka schodowa, która prowadzi z góry aż na dół do kuchni?

Mitch skrzywił się, a rozbawiona jego miną dziewczynka wybuchnęła śmiechem.

- Mogłem się tego spodziewać.

- Był tu też tunel, łączący basen z głównym domem. - Mała była w swoim żywiole. - Ale skoro nikt już tam nie mieszka, dziadek zabił go deskami.

- No, no, no! Coraz lepiej. - Mitch spojrzał na Casey. - I ty się tu czujesz bezpieczna?

- Czułam się. - Casey wyraźnie dała mu do zrozumienia, że to przez niego czuje się niepewnie w swoim sanktuarium.

- Co ty masz przeciwko policjantom? Komisarz powiedział, że mam tu być, więc jestem. - Mitch skrzyżował ramiona na piersiach. Wyglądał równie potężnie, jak granitowe mury otaczające jej posiadłość.

Casey nie dała się zbić z tropu i dumnie uniosła głowę.

- Znam policjantów i pracowałam z nimi przez całe moje życie - mówiła, patrząc mu prosto w oczy. - I wbrew temu, co sugerujesz, nie jestem jakąś snobką, która patrzy na nich z góry, bo jest córką sędziego.

- To dlaczego mnie tu nie chcesz? - Mitch prawie dotykał jej czubkiem nosa.

- Bo obawiam się.

Czego? Jego? Mężczyzn? Tego, o czym jej przypomina? Co przy nim czuje?

- Co cię tak przeraża, królewno?

Casey zacisnęła usta i próbowała jakoś rozszyfrować kłębiące się w niej uczucia.

Mitch był tak blisko, że czuła delikatny, korzenny zapach jego wody po goleniu. Budził w niej coś od tak dawna uśpionego, że z trudem nawet to rozpoznawała.

Był taki męski!

Lubił się z nią spierać. A gdyby nagle uciszył ich kłótnię pocałunkiem?

Już od tak dawna nikt jej nie całował...

- A więc nie zamierzasz mi odpowiedzieć?

Mitch cofnął się o krok, spojrzał w sufit i odetchnął głęboko. Czyżby i on zupełnie nieoczekiwanie dał się oczarować nastrojowi chwili?

Casey też głośno oddychała. Ta chwila milczenia pozwoliła jej zebrać myśli. Ale zamiast racjonalnych argumentów pojawił się wręcz fizyczny ból. Jak mogła się czegokolwiek spodziewać? Co mężczyzna tak pełen życia i pewny siebie jak Mitch Taylor miałby zobaczyć w takiej kalekiej pustelnicy jak ona?

Poczuła, że się czerwieni i odwróciła głowę. Zobaczyła uśmiechającą się znacząco Frankie.

- O, pardon! - Frankie skinęła głową w stronę gabinetu. - Telefon.

Casey obrzuciła ją karcącym spojrzeniem i ruszyła w stronę gabinetu, wdzięczna losowi, że chroni ją nie tylko przed wścibstwem Frankie, ale i odrywa od jej własnych, niezbyt miłych, myśli.

Mitch był jednak pierwszy. Zanim dotarła do biurka, on już trzymał rękę na słuchawce.

- Mitch, to tylko...

- Nie. - Uciszył ją ostrzegawczym gestem. - Dopóki nie zainstalują tu odpowiedniej aparatury podsłuchowej, tylko ja będę otwierał drzwi i rozmawiał przez telefon i domofon.

Zdecydowanie podniósł słuchawkę i odwrócił się do niej tyłem.

- Taylor, słucham.

Casey uśmiechnęła się do siebie. Nie chce jej informacji, to jego strata. Frankie dała jej kuksańca w bok i też się zaśmiała.

- Rozumiem. - Mitch wciąż mówił ostrym, służbowym tonem, ale widać było, że już się odprężył. - Przekażę im.

Kiedy odłożył słuchawkę, Frankie natychmiast pospieszyła z wyjaśnieniem.

- To prywatna, domowa linia dziadka. Nie ma stąd wyjścia na miasto.

Rozbawiona Casey uśmiechała się już szeroko. Z satysfakcją zauważyła, że i Mitch patrzy na nią trochę inaczej.

- Judith mówi, że właśnie wyjęła z pieca gorące ciasteczka i naląła nam po szklance mleka - przekazał im wiadomość Mitch.

- Owsiane ciasteczka? - zainteresowała się Frankie. Casey poczuła, że do ust napływa jej ślinka.

- Tak.

- Super! Idziemy!

Frankie chwyciła kurtkę, wybiegła z hali i ruszyła ścieżką w stronę domu.

Casey i Mitch też narzucili na siebie okrycia, zamknęli za sobą drzwi basenu i ruszyli za nią, choć dużo wolniej. Mitch wyraźnie dostosowywał swój krok do kuśtykania Casey.

- Wiesz co? - rzekł. - Jeśli naprawdę coś ci grozi, to chyba najlepiej by było, gdyby wszyscy o tym pamiętali i odpowiednio się zachowywali.

Casey podniosła kołnierz wełnianej kurtki i wzruszeniem ramion skomentowała jego uwagę. Nie bardzo wiedziała, jak wytłumaczyć swoje doświadczenia z Emmettem Rainesem i to, że przez lata nauczyła się jakoś sobie z tym radzić. Ograniczyła się do rady, jaką bardzo dawno temu dał jej Jimmy.

- Czuję się dużo lepiej, dużo pewniej, jeśli moje życie ma stały porządek.

Mitch zdecydowanie potrząsnął głową.

- To usypia twoją czujność. Brak rutyny utrudni twojemu wrogowi zbliżenie się do ciebie.

- Czujna jestem przez cały czas, panie kapitanie - Casey nawet nie próbowała ukryć ironii. - Zawdzięczam to twojej obecności.

Doszli już do garażu, którym przechodziło się do kuchni. Casey chwyciła za klamkę, ale Mitch ręką zablokował jej drzwi.

- Nie musisz mnie lubić, księżniczko. Ani szanować tego, co robię. Ale wiedz jedno. Jestem dobry w swoim fachu. I nawet bez twojej pomocy zrobię to, co muszę. Jednak z twoją pomocą byłoby łatwiej. Nam obojgu.

W jego spojrzeniu było wyraźne ostrzeżenie. Casey poczuła, że musi się cofnąć. Nie mogła stać tak blisko niego.

- A jakiego rodzaju pomocy się ode mnie spodziewasz? Nie wyniosę się stąd. Znam tu każde miejsce jak własną kieszeń, a pracujących tu ludzi jeszcze lepiej.

- Mogłabyś odpowiedzieć mi na kilka pytań.

Mitch wsunął ręce do kieszeni i wyglądał już trochę mniej groźnie, ale nie osłabiło to jej czujności.

- Na przykład?

- Powiedz mi, co tak wyjątkowego jest w Rainesie, że ani ty, ani komisarz nie zajmiecie się jego ucieczką, posługując się standardowymi metodami? Nie ty jedna byłaś świadkiem

na jego procesie. Czemu jest dla ciebie takim zagrożeniem? Wolałbym usłyszeć o tym od ciebie, niż dowiedzieć się z policyjnego raportu.

Casey poczuła się bardzo niepewnie, ale jeszcze wciąż nadrabiała miną.

- Ale niech się pani nie martwi, panno Maynard. Jestem po pani stronie. Nawet pozwolę pani przed udzieleniem mi odpowiedzi zjeść ciasteczka.

Mitch otworzył drzwi i puścił ją przodem. Nawet pomógł jej zdjąć kurtkę, ale ona ani na chwilę nie dała się zwieść takiej galanterii. Przez cały czas pamiętała, że Mitch spodziewa się od niej odpowiedzi, których nie dała dotąd nikomu poza Jimmym.

Owszem, był wobec niej miły. Przy stole czarował nie tylko Frankie, ale również Bena i Judith. Ale Casey, wdychając smakowite aromaty, czuła, że jest zdenerwowana.

Bo kiedy McDonaldownie pojedą już do siebie na Święto Dziękczynienia, ona zostanie w domu sama z Mitchem Taylorem.

A wtedy, pomyślała, z trudem przetykając kęs pysznego ciasteczka, zacznie się przesłuchanie.

- Jesteś pewna, że nie zmienisz zdania i nie przyjedziesz do nas na weekend? - Ben McDonald wypuścił Casey z objęć. Na jego twarzy malowała się ojcowska troska.

Casey poklepała go po ramieniu i uśmiechnęła się.

- Jestem pewna. Będziecie mieli dom pełen gości, a ja i moje problemy zepsują wam tylko nastrój.

- Dziecinko, wychowaliśmy cię od małego razem z twoimi rodzicami. Wiesz, że będziesz mile widziana.

- Wiem.

To Ben i Judith byli z nią w szpitalu po ataku, bo rodzice, dla ich własnego bezpieczeństwa musieli się ukryć i nie mogli jej odwiedzać.

Casey nie chciała sprawiać im więcej kłopotów. Przedtem zbyt cierpiała, zbyt była zagubiona i wystraszona, by protestować, kiedy oznajmili, że zostaną z nią w domu, mimo że zasłużyli sobie już na odpoczynek i emeryturę. Teraz jednak jest już zdrowa. Przynajmniej na tyle, na ile to możliwe. Jest odpowiedzialną, dorosłą osobą. I jest im winna dużo więcej niż hojne wynagrodzenie.

- Dam sobie radę! Naprawdę.

Może i było to kłamstwo, ale powiedziała je z całym przekonaniem, na jakie mogła się zdobyć, żeby ich uspokoić.

Ben skinął głową. Wyraźnie nie wierzył jej tak, jakby chciał, ale zaakceptował jej decyzję. Zapiął kurtkę i zwrócił się do Mitcha, stojącego w drzwiach biblioteki.

- Zamontowałem nowe drzwi, tak jak pan polecił i zmieniłem kody wejściowe, żeby za pomocą samego klucza nie można się było dostać do środka.

- Bardzo dziękuję - odparł Mitch.

- Chciałbym panu pokazać, co wymyśliłem jako zabezpieczenie bramy frontowej.

- Odprowadzę państwa i dokładnie za wami - wszystko pozamykam.

Co prawda Mitch zazwyczaj wolał sam wydawać rozkazy i polecenia, ale idąc razem z Benem korytarzem, słuchał jego instrukcji i gawędził z nim, jakby byli równoprawnymi partnerami.

Casey była wdzięczna, że Mitch okazywał McDonaldom taki szacunek, a równocześnie zachowywał zawodową pewność siebie. Dzięki temu jej opiekunowie na pewno byli trochę spokojniejsi, zostawiając ją pod jego kuratelą. Nie po raz pierwszy zastanawiała się, dlaczego ona nie może liczyć na ten sam rodzaj uwagi. Czyżby tak bardzo urażony był poleceniem Jimmy'ego? Czy jest dla niego symbolem zadania, którego nie powinno się zlecać oficerowi policji? Czy też

może istniejący między nimi antagonizm jest bardziej osobistej natury?

Judith położyła jej rękę na ramieniu, wyrywając z tych niewesołych rozmyślań.

- Na pewno nie chcesz, żebym wpadła jutro i przygotowała ci coś do jedzenia?

- A ja mogłabym popływać w piątek zamiast w poniedziałek, jeśli wolisz - zaproponowała Frankie.

Casey roześmiała się i podziękowała za obie propozycje.

- Wesołych Świąt. Dla was wszystkich.

Mocno przytuliła do siebie najpierw Judith, potem Frankie.

- Przygotowałam mi tyle jedzenia, że starczy dla pułku wojska. Na pewno dam sobie radę. A teraz idźcie do domu i cieszcie się świętami.

- Ale dasz nam znać, gdybyś czegoś potrzebowała? - upewniła się Judith.

- Oczywiście - zapewniła ją Casey.

- Wiesz, Mitch jest naprawdę super! - dodała swoje Frankie. - On się tobą zajmie.

- Na pewno.

Casey nie podzielała entuzjazmu dziewczynki. Nie wątpiła, że Mitch wykona swoje zadanie. Szkoda tylko, że to ona musi płacić za to tak wysoką cenę - emocjonalną.

Judith i Frankie, machając dłońmi na pożegnanie i posyłając ostatnie pocałunki, wyszły wreszcie, a Casey pozostała sama w złowieszczej ciszy swojego domu.

Wcześniej też bywała sama. Od czasu ataku całkiem nieźle sobie radziła z samotnością. W weekendy, w święta.

Rodzice byli w podróży po Europie, a Jimmiego pochłaniało życie towarzyskie, związane z jego polityczną karierą, więc po prostu nie miała wyboru. Musiała nauczyć się radzić sobie sama.

Zresztą to tylko kwestia spojrzenia. Zazwyczaj pocieszała się tym, że jest bezpieczna i cieszyła się ciszą, a jeśli tylko wynalazła sobie dość zajęć, to nawet nie miała czasu, by tęsknić za tym, czego mieć nie mogła.

Jeśli nie liczyć obecności atletycznie zbudowanego ochroniarza, nadchodzące czterodniowe święta zapowiadały się zupełnie zwyczajnie. Gdyby tylko Mitch zrezygnował z tych bolesnych pytań, które chciał jej zadać.

Odsuwając od siebie niepokojące myśli, Casey usiadła przy biurku, wyciągnęła pudełko z papeterią i pogрузzyła się w pracy.

Czekała na nią całkiem spora sarta listów i kart pocztowych do przejrzenia. Głównie od starych przyjaciół rodziny, z życzeniami lub zaproszeniami do nich na święta. Doceniała ich troskę i zamierzała wszystkim podziękować, ale zdecydowanie odmówić.

Rodzinne święta w czyimś domu wydawały jej się jeszcze bardziej samotne i smutne.

Przede wszystkim zaś, zostając tutaj, nie stanowi zagrożenia dla nikogo więcej. To Jimmy ją tego nauczył. Po tym, jak podczas procesu Emmetta Rainesa tak bardzo zawiodła, pocieszała się, że przynajmniej tyle może zrobić, by chronić rodzinę i przyjaciół.

Raz nie udało jej się go zidentyfikować. Ale już nikt więcej nie zapłaci za jej pomyłkę.

Casey rozcięła kolejną kopertę. Zostawiła ją na koniec, bo na kopercie był jakiś firmowy stempel. Znała takie duże koperty, bo często pomagała matce w jej zajęciach i podejrzewała, że to zaproszenie na jakąś imprezę charytatywną. Oczywiście też zamierzała odmówić, ale zamiast listu typu „bardzo dziękuję za pamięć, ale niestety...”, zamierzała po prostu wysłać czek.

Wyjęła sztywną kartkę ze złotym nadrukiem Pierwszego Banku Rolnego Kansas City i rozłożyła ją, żeby sprawdzić, o jaką sumę proszą. Ze środka wypadł zwinięty kawałek zwykłego, białego papieru. Jakiś prywatny liścik?

Nie był to jej bank, zdziwiła się więc, że komuś chciało się pisać do niej osobiście. Zaciekawiona, rozwinęła papier.

Widniała na nim tylko jedna linijka tekstu.

Dom, który zbudował Jack, rozpadnie się jak domek z kart.

Casey rzuciła papier na biurko, jakby był rozżarzoną węgielką. Odepchnęła od siebie podkładkę do pisania, zrzucając przy okazji na podłogę kilka książek, jakieś papiery i telefon.

Oddychając urywanie, z wysiłkiem podniosła się z fotela. Podtrzymując się blatu, obeszła biurko, po drodze szybkimi, gwałtownymi ruchami szarpała rzepy, przytrzymujące klamry usztywniające jej nogę. Potem zrzuciła krępującą ją urządzenie i opadła na kolana. Wzięła do ręki przewrócony telefon i błyskawicznie nakręciła numer Jimmy'ego.

- Sekretariat komisarza Reeda.

- Iris? - Dzięki Bogu był to ktoś, kogo znała.

- Cassandra? To ty? Jak się masz?

Casey ciężko oparła się o biurko, przyciągnęła lewą nogę do piersi, objęła ją rękami i ramieniem przycisnęła słuchawkę do ucha. Zignorowała uprzejme powitanie Iris, asystentki komisarza Reeda.

- Jest jeszcze Jimmy? Muszę natychmiast z nim porozmawiać.

- Jest w tej chwili na służbowej kolacji. Mogę mu przerwać tylko w związku z jakąś bardzo ważną sprawą.

- To jest bardzo ważna sprawa. Właśnie dostałam wiadomość od... - Casey przerwała i z trudem przełknęła ślinę.

Chciała, by przynajmniej jej głos brzmiał spokojnie. -
Napisano coś takiego: „Dom, który zbudował Jack...”

- Casey? Już jestem.

Dobiegający z kuchni głos Mitcha uspokoił ją na tyle, że mogła trochę logiczniej myśleć.

- „Dom, który zbudował Jack...” - Dopiero teraz Casey usłyszała swoje słowa i wydały jej się tak idiotyczne i głupie, że przerwała zawstydzona. Na miłość boską, przecież ma dwadzieścia osiem lat.

- To jakiś dziecięcy wierszyk, prawda? - Spytała Iris, kiedy milczenie Casey się przedłużało.

Casey usłyszała odgłos zamykania kuchennych drzwi i kroki Mitcha w holu.

A przynajmniej tak jej się wydawało.

Ogarnął ją paniczny strach, obrazy z przeszłości zmieszały się z teraźniejszością.

- Tak - odparła odruchowo i natychmiast zapomniała o Iris. Cała była skoncentrowana na domu. Na bibliotece, w której się znajdowała. Na odgłosie kroków.

Szybko odłożyła słuchawkę i rozejrzała się dokoła, szukając czegoś, czym mogłaby się bronić. Niestety, w pobliżu nie było niczego takiego, a ona przecież nie mogła szybko się przemieszczać. Gotowa na wszystko, oparła się więc tylko o biurko.

Tym razem będzie sprytniejsza.

Będzie musiała być sprytniejsza.

- Wszystko w porządku?

Ciemnowłosy gladiator pojawił się w progu biblioteki. Szybko zorientował się w sytuacji, zauważył porozrzucone rzeczy i ją siedzącą pod biurkiem. Z zaciśniętymi zębami, z oczami miotającymi błyski rzucił się w jej stronę, blokując jedyną drogę ucieczki.

- Mówiłem ci, żebyś nie odbierała telefonu. Powietrze przeszył pełen przerażenia jęk Casey. Plecami przywarła do biurka. Mężczyzna, który wyglądał jak Mitch przystanął w pół kroku.

- Casey? - zawibrowało w powietrzu jej imię.

Spojrzała mu prosto w oczy, szukając w nich czegoś znajomego. Przerażenie odbierało jej zdolność logicznego myślenia.

Oddychała szybko, krótko, urywanie.

Jest jej wrogiem czy obrońcą?

Powoli, podtrzymując się biurka, podniosła się, ale cały czas nie odrywała od niego wzroku. Tak czuła się bezpieczniej i pewniej. Woląca, żeby to on pierwszy spuścił oczy.

- Mógłbyś podać mi laskę? Jest w stojaku przy drzwiach. Mitch wahał się przez chwilę, potem odwrócił się i powoli, jakby bał się, że mu ucieknie, podszedł do drzwi. Przyniósł laskę i podał jej wyciągniętą ręką, jakby nie chciał się do niej za bardzo zbliżać. Kiedy ujęła rączkę, nie wypuścił jednak końca laski.

- Powiesz mi, co się dzieje?

Casey dostrzegła w jego oczach dziwne ciepło i coś jeszcze, coś, co bardziej niż jakiegokolwiek inne uczucie podniosło ją na duchu - nieufność, podejrzliwość?

Ośmielona tym nieoczekiwanym zachowaniem Mitcha wyciągnęła rękę i dotknęła jego lewego policzka. Mitch zeszywniał, ale nie odsunął się. Czuła jego ostry zarost i silny zarys szczęki. Przesunęła ręką po jego twarzy, a potem spojrzała na swoje palce i powąchała je. Nie było na nich śladu makijażu. Pachniały znajomym, korzennym płynem po goleniu.

- Mitch? - Odetchnęła z ulgą. - To ty? To naprawdę ty? Nie analizując, dlaczego to robi, wyciągnęła rękę i objęła

go w pasie, pod rozchyloną marynarką. Nie zastanawiała się, czy poddał się temu z poczucia obowiązku, czy też rzeczywistej troski. Poczwała tylko niesamowitą ulgę, kiedy otoczył ją ramionami i mocno przytulił do siebie.

- Powiesz mi, co się dzieje?

Casey potrząsnęła głową i wtuliła twarz w jego marynarkę. Uspokoił ją nawet zawieszony pod jego pachą pistolet. A najbardziej ręka, która kreśliła teraz małe kółka na jej plecach.

- Musisz ze mną porozmawiać, księżniczko.

- Jeszcze nie teraz - szepnęła. - Trzymaj mnie tylko, żebym wiedziała, że to ty.

- Trzymam cię. Casey pokręciła głową.

- Mocniej - szepnęła jeszcze ciszej.

Jeśli w ogóle było to możliwe, jego ramiona zacisnęły się jeszcze mocniej, a jego broda spoczęła na czubku jej głowy. Czuła jego spokojny oddech i przyniosło jej to ukojenie.

Nigdy nie wątpiła w siłę i zdecydowanie Mitcha. Teraz, w jego ciepłych i delikatnych objęciach, po raz pierwszy od wielu dni, może nawet lat, czuła się naprawdę bezpieczna.

I czerpiąc z niego tę siłę i spokój, zdała sobie sprawę także z innych doznań.

Wilgotne, wieczorne powietrze nadało wełnianej marynarce Mitcha szczególny zapach. Czuła bicie jego serca i jej własne wkrótce zaczęło bić tym samym rytmem.

A potem zaczęło reagować także całe jej ciało, wszystkie miejsca, których Mitch dotykał. Te, których nie dotykał, także. Policzek, piersi, ramiona, uda i...

Już nie działał na nią uspokajająco. Nie był już jej ochroniarzem ani nawet miłym policjantem na służbie. Był mężczyzną. A ona kobietą.

Gwałtownie wysunęła się z jego objęć. Spojrzała na papiery leżące u jej stóp i przypomniała sobie błyskawicznie, dlaczego szukała ukojenia w ramionach Mitcha.

- Kto dzwonił? Wołałem już od kuchennych drzwi. Wzięłaś mnie za kogoś innego? Za kogo, Casey?

Seria tych wysoce zawodowych pytań przywróciła ją do rzeczywistości. Łatwiej jej było myśleć o Mitchu jako policjancie. Nie był już mężczyzną, przy którym czuła i pragnęła rzeczy, do których nie miała prawa. Skoro on mógł tak łatwo odsunąć od siebie to, co ich na moment połączyło, to ona również potrafi opanować się tak szybko. Skoro chce być gliniarzem, to ona będzie jego chłodną, dobrze wychowaną podopieczną.

Najpierw odpowiedziała na pytanie najprostsze.

- Próbowałam zadzwonić do Jimmy'ego. Ale rozmawiałam tylko z jego asystentką. - Czubkiem laski rozsunała leżące na podłodze papiery i wskazała kartkę z przerażającym wierszykiem.

- To było w popołudniowej poczcie.

Mitch przyklęknął i przez chwilę wpatrywał się w białą karteczkę i wypisane na niej słowa. Patrzył uważnie, ale kartki nie dotykał.

- Od Rainesa?

- Tak przypuszczam. Było w kopercie razem z kartą z miejscowego banku.

Mitch jeszcze raz przeczytał tekst, jakby chciał go zapamiętać. Potem wyjął z kieszeni plastikową torebkę, włożył do niej kartkę i wstał.

- Ten dziecięcy wierszyk brzmi chyba trochę inaczej, prawda?

- Tak, ale mój ojciec ma na imię Jack. - Casey też znów spojrzała na złowieszcze słowa. Ciekawa była, czy Mitch też

widzi w nich nienawiść. - Myślisz, że to może być ostrzeżenie?

- Wszystko jest możliwe. Oddam to do naszego laboratorium. Może znajdą jakieś odciski palców. Masz kopertę, w której to przyszło?

- Tak.

Schował ją razem z kartką do kieszeni, a potem po raz kolejny zaskoczył Casey swoją troskliwością. Uklęknął i zaczął zbierać strącone przez nią z biurka przedmioty.

Nachyliła się nad nim, położyła mu rękę na ramieniu i wyjęła mu z rąk telefon.

- Nie musisz po mnie sprzątać.

- Przecież policja po to właśnie jest, szanowna pani. Utrzymywanie porządku to nasz obowiązek.

Casey spojrzała mu w oczy i nie mogła się nie roześmiać. A więc może te kilka dni sam na sam z Mitchem Taylorem nie będą takie straszne?

Poszedł na kompromis wręczając jej podkładkę, koszyk na korespondencję i kilka kartek, by sama odłożyła je na biurko.

W tej samej chwili Casey poczuła, że naprawdę zaczyna mu ufać. Trochę, nie całkiem, ale jednak.

Pamiętając, co czuła w jego ramionach, wiedziała, że z czasem zaufa mu całkowicie;

Podniósł z podłogi okulary w drucianej oprawie, które w czasie niedawnej bójki upadły na podłogę i włożył je na nos. Założył krawat, który zdjął z szyi mężczyzny. W łazience znalazł lustro i poprawił okulary.

Nawet nie przypuszczał, jak wielką przyjemność sprawi mu fakt, że znów właśnie on wszystko kontroluje. Był pewny siebie, ale spokojny. Pośpiech to zły doradca.

Otworzył pudełko i wyjął z niego dwie tubki teatralnego podkładu do makijażu. Potrzebował czegoś jasnego, z niewielką domieszką żółci. Leżący w drugim pokoju

mężczyzna całe swoje życie pracował w zamkniętych pomieszczeniach, nie miał najlepszej cery.

Zmieszał kolory w zagłębieniu dłoni i zaczął nakładać sobie puder na twarz długimi, pewnymi pociągnięciami. Równocześnie ćwiczył miny, aż znalazł tę właściwą. Tak właśnie wyglądał młody urzędnik, do którego przed dwoma dniami się zgłosił, żeby otworzyć konto. Przyjazny, ale mający pewnego rodzaju poczucie wyższości. Był zbyt zaabsorbowany zaklejaniem kopert, by zająć się nim tak, jak na to zasługiwał.

Co za idiota! Bez najmniejszego trudu udało mu się wsunąć do jednej z kopert przygotowaną kartkę.

A potem ten kretyn popełnił błąd, odmawiając mu otwarcia rachunku.

Nikt nie będzie mu już mówił, co może, a czego nie może.

Będzie z niego bardzo dobry urzędnik bankowy. Może nawet lepszy od tego martwego pacana, leżącego na podłodze w salonie.

Kiedy skończył charakteryzację, wyglądał prawie jak brat bliźniak tego idioty. Uznał to za dobry znak. Uśmiechnął się, poszedł do kuchni i przeszukał szafki oraz szuflady. W końcu znalazł to, czego szukał.

Zajrzawszy do wbudowanego pudła na chleb, aż się roześmiał. Facet był taki przedsiębiorczy. Na pewno uważał się za smakosza. Wydał setki dolarów na ten zestaw profesjonalnych kuchennych noży i pewnie nie wiedział, do czego połowa z nich służy.

Ale on wiedział.

Wybrał dwa noże i wrócił do salonu.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Mitch wyciągnął z szafy poduszkę i rzucił ją na koc, rozłożony na skórzanej kanapie. Sypiał już w mniej wygodnych miejscach - za kierownicą dżipa, kiedy kogoś śledził, we wspólnym łóżku z dwoma kuzynami, kiedy wychowywał się w domu wuja w mieszkaniu nad sklepem - ale nigdy jeszcze nie czuł się tak niezręcznie.

I bynajmniej nie dlatego, że onieśmiał go bogaty wystrój tego prawie pałacu. Nie! Sprawiała to pewna wyniosła złocistowłosa panna z oczami pełnymi lęku i cierpienia, którą pragnął wziąć w ramiona i bronić przed wszelkim złem tego świata.

Tak bardzo o tym marzył.

A nie powinien!

Casey ulepiona jest z tej samej gliny, co jego zmarła żona. To dumna kobieta. Wyniosła.

Tak niepodobna do niego, syna policjanta, wychowanego przez dalszą rodzinę, która sama ledwo wiązała koniec z końcem.

A mimo to pragnął tej kobiety. Choć pora była nieodpowiednia, a cała sytuacja co najmniej niejasna.

Zdjął pas z pistoletem i położył go na półeczce nad kominkiem. Ogień prawie już wygasł, ale jemu wciąż było gorąco w tym pokoju, w którym Casey najwyraźniej spędzała większość czasu. Zrzucił koszulę i usiadł, żeby zdjąć buty.

Najmniej martwił się, jak zmieści się na tej niewielkiej kanapie.

Nie zamierzał zaprzyjaźnić się z panną Maynard. Zakładał, że będzie tak samo nadęta i protekcyjna jak komisarz Reed. I z pozoru taka była. Ale teraz wiedział już, że pod maską chłodu kryje się szczerłość i dobro. Zauważył to, kiedy trenowała Frankie i zegnała się z McDonaldami.

A kiedy z taką ufnością padła w jego ramiona, zapomniał, dlaczego tu jest. Zapomniał, że jest gliną.

A raczej, w tej konkretnie sprawie, chłopcem na posyłki pana komisarza.

Nie pragnął ofiarować Casey ochrony profesjonalisty od dwudziestu lat pracującego w policji. Pragnął zanurzyć twarz w słodkim, waniliowym zapachu jej włosów. Chciał unieść brodę Casey i sprawdzić, czy jej wargi smakują równie słodko. Chciał osłonić ją tak, jak wilk chroni swoje małe, jak dzieciaki ulicy bronią swego terytorium, jak mężczyzna broni swojej kobiety.

Dziękował Bogu za późną porę i papiery do przejrzenia, które podrzucił mu Merle Banning. Teczka akt Emmetta Rainesa. Jeśli ani zmęczenie, ani policyjne raporty nie odsuną jego myśli od śpiącej po drugiej stronie holu Casey Maynard, to wspomnienie katastrofy, jaką było jego małżeństwo powinno wystarczyć i zniechęcić go na dobre do tej pięknej panienci z dobrego domu.

Może jej ostry języczek przypomni mu, gdzie jest jego miejsce i jego prawie czterdziestoletnie ciało zacznie zachowywać się, jak na taki wiek przystało. Nie jest już przecież napalonym nastolatkiem.

W płócienniej torbie, którą zawsze trzymał w dżipie, miał ubranie na zmianę i szczoteczkę do zębów. Rozebrał się więc do bielizny i włożył znoszone dżinsy.

Wieszając na krześle marynarkę i spodnie, parsknął śmiechem. Wyobraził sobie reprimendę, jaką dostałby od Casey, gdyby w świąteczny poranek zastała w kuchni nagiego mężczyznę, pijącego kawę.

Gdyby udało mu się mieć przed oczami obraz takiej dumnej Casey, może mógłby zapomnieć o uczuciach, jakie w nim wzbudzała. A także o wybujałych ambicjach, o których,

jak sądził, dawno już zapomniał. Wiedział przecież, kim jest i gdzie jest jego miejsce.

- Mitch?

Śmiech zamarł mu w gardle, łącznie z iluzją, że uda mu się stłumić te wszystkie niebezpieczne uczucia. Zanim zwrócił się w jej stronę, jakoś udało mu się przybrać obojętną minę. Gdyby jeszcze tak łatwo mógł panować nad emocjami.

Casey stała w drzwiach. Na ramiona opadała jej burza złotych włosów. Wspierała się o laskę, jakby była zbyt zmęczona, by utrzymać swoją zazwyczaj dumną postawę. Jej oczy zaś patrzyły wprost na jego nagą pierś.

Czując, jak pod tym spojrzeniem robi mu się gorąco, Mitch wciągnął powietrze głęboko do płuc.

- Mam nadzieję, że ci nie przeszkodziłam - powiedziała cicho. Jej głos drżał.

- U ciebie wszystko w porządku? - W swoim głosie Mitch też usłyszał lekkie drzenie. Kobieta nie powinna tak patrzeć na mężczyznę, chyba że chce...

- Tak, w porządku. Chciałam tylko sprawdzić, czy ci tu wygodnie. Może wolałbyś nocować w którymś z pokoi na piętrze?

Mitch pokręcił głową. Czuł, że jest to coś więcej, niż zwyczajna pogawędka, ale pozwolił Casey prowadzić rozmowę, tak jak chciała. Poddał się jej i nie naciskał.

- Nie ma powodu specjalnie ich otwierać. Tu mi dobrze. Akurat.

- Chciałam wyjaśnić to, co się stało wcześniej.

Casey westchnęła i odwróciła wzrok, dając mu do zrozumienia, że jego nagość jest dla niej kłopotliwa.

Podziałało to na niego jak kubeł lodowatej wody. Sięgnął po koszulę i włożył ją na siebie. Zapiął nawet kilka guzików. Chyba zwariował, myśląc, że jego sponiewierane, stare ciało może być dla niej atrakcyjne. Jak mógł pomyśleć, że rumieni

się z zainteresowania, a nie z zakłopotania i odrazy. Aż nadto wyraźnie nie odwzajemniała tego, co czuł do niej on. Przyszła, żeby porozmawiać z policjantem, nie z mężczyzną. Na szczęście, w roli gliniarza jest dużo lepszy.

- Właśnie zabierałem się do czytania - odparł cicho. Zły mógł być przecież tylko na siebie. - Ale to może poczekać. Usiądź. Masz za sobą męczący dzień.

Uśmiechnęła się nieśmiało, prawie z wdzięcznością. Wolno podeszła do fotela i usiadła. Mitch rozsiadł się na kanapie. Krótkie wahanie Casey szczerze go zaniepokoiło.

- Chcę cię przeprosić. Tak naprawdę to wcale nie myślałam, że jesteś nim - zaczęła od swojego rodzaju przeprosin.

Mitch dopiero po chwili zrozumiał jej słowa.

- Wzięłaś mnie za Emmetta Rainesa, tak?

Spojrzała mu prosto w oczy. Głos jej drżał, ale głowa dumnie uniesiona była do góry. Co za kombinacja pewności siebie i dumy z kruchością i słabością.

- Jak już pewnie zauważyłeś, czasami stają mi przed oczami sceny z przeszłości. Nie wiem, gdzie jestem i z kim.

Mitch ze zrozumieniem kiwnął głową.

- Ofiarom przemocy często się to zdarza. Szczególnie, jeśli wiedzą, że ich prześladowca jest znów na wolności.

- Ale w moim przypadku jest coś więcej... - Casey szukała właściwych słów, a Mitch cierpliwie czekał. Widział, że nie jest jej łatwo. - Emmett stale się przebiera i maskuje. Jest w tym mistrzem. Potrafi nałożyć odpowiedni makijaż, zmienić głos, sposób zachowania i idealnie naśladować kogoś innego.

- Nie byłaś w stanie go zidentyfikować? - W myślach Mitch próbował poskładać wszystkie znane mu już fakty: z akt policyjnych, artykułów prasowych i wspomnień kolegów policjantów, w jedną, logiczną całość.

- Podczas procesu nie. Siedział i patrzył na mnie, a mnie się wszystko pomieszało. Wyglądał zupełnie inaczej i... - Casey westchnęła głęboko, a potem słowa potoczyły się już wartkim strumieniem. - W którymś momencie w ciągu dwudziestu czterech godzin przed atakiem na mnie Emmett zabił mojego ochroniarza, policjanta nazwiskiem Steven Craighead. Podszył się pod niego i zajął jego miejsce. A ja niczego nie zauważyłam. Dopiero jak wyciągnął nóż i...

Casey mocno zacisnęła powieki, jakby chciała wymazać to wspomnienie z pamięci. Mitch pragnął wziąć ją w ramiona i pocieszyć, ale bał się, że ją wystraszy. Wsadził więc ręce do kieszeni i mocno zacisnął je w pięści.

Kiedy po chwili otworzyła oczy, malowało się w nich takie przerażenie, że Mitch aż zeszytywniał. Zaklął pod nosem, ale ani drgnął.

- Pocałowałam go na dobranoc. Tamtego ostatniego wieczora, zanim zamknęłam się w swoim pokoju. Ale czy całowałam Steve'a, czy Emmetta Rainesa?

Mitch odczekał chwilę, by jego gniew nieco opadł.

- Założę się, że zrobiono z tego wielką sprawę.

- Każde z nas, mama, tata i ja, miało swego osobistego ochroniarza. Działalność ojca to powodowała. Steve i ja byliśmy przyjaciółmi. Znał rozkład moich treningów i nie przeszkadzały mu dziwne godziny pracy. - Tak mocno ścisnęła rączkę laski, że aż zbiały jej palce. - Poprosiłam, żeby przydzielono mi właśnie jego. Wcześniej nawet kilka razy się z nim umówiłam. Ale tamtego ranka pewne zmiany zauważyłam dopiero wówczas, kiedy było już za późno. Ten drań był nieco wyższy od Steve'a, więc się zgarbił. Miał ciemniejsze włosy. Wydaje mi się, że rozpoznałabym Emmetta Rainesa, gdybym go teraz zobaczyła, ale.

- Nie ufasz już własnej spostrzegawczości.

Mitch wreszcie zrozumiał jej zakłopotanie. Wstał i zaczął spacerować po pokoju, próbując zebrać myśli i ułożyć je w jakąś logiczną całość.

Jedna tylko rzecz w tej całej sprawie wydała mu się jasna. Uklęknął przed Casey, a kiedy zeszywniała, nie cofnął się. Wiedział, że ona musi mu uwierzyć.

- Nie możesz się mnie bać, Casey. Nie będę w stanie cię chronić, jeśli zaczniesz mnie unikać czy wątpić w to, że twoje bezpieczeństwo jest dla mnie najważniejsze.

- Wiem. Dzisiaj... - Casey nawet zdobyła się na uśmiech. - Masz charakterystyczny głos, prawdziwą policyjną kaburę i pistolet, ale mimo to przez chwilę nie byłam pewna, czy to ty.

W tej chwili nie była już dumną, zadzierającą nos królową, lecz biedną, przerażoną istotą, potrzebującą pomocy. Jego pomocy.

- I co z tym zrobimy? - spytał cicho.

Casey sięgnęła do kieszeni szlafroka i wyjęła niewielkie, aksamitne pudełeczko.

- Chcę ci dać coś, co będziesz mógł stale nosić przy sobie. Nie ma drugiej takiej rzeczy, więc zawsze ją rozpoznam, a przez nią ciebie. Nawet wówczas, gdy znów wrócą do mnie tamte koszmary.

- Świetny pomysł. A co to takiego?

Ta pochwała dodała jej sił.

- Należała do mojego ojca. - Casey otworzyła pudełeczko i podała mu małą, srebrną spinkę, jaką mężczyźni czasem noszą w klapie marynarki. - Zamówiłam ją specjalnie na jego pięćdziesiąte urodziny. To miniaturowa kopia mojego medalu olimpijskiego.

Mitch gotów był się założyć, że to srebro najwyższej próby. Artystyczna robota. A co najważniejsze, pamiątka po ojcu.

- Nie mogę tego przyjąć.

Casey położyła spinkę na jego dłoni i mocno objęła go za rękę,

- Proszę! Przecież muszę ci ufać, żebyś mógł mnie chronić, prawda? Myślę, że tata by się zgodził.

Na taki prezent czy na jego usługi?

Zimowy, lodowaty wiatr hulał za oknem, pokój oświetlał tylko gasnący żar kominka i jedna, jedyna lampa. Byli tu jak w sanktuarium, bezpieczni i spokojni.

W wysoko zapiętej pod szyję koszuli nocnej Casey wyglądała bardzo skromnie. Ale puszysty, błękitny szlafrok, którym się okryła odmładzał ją i sprawiał, że wydawała się bardziej zwyczajna i dostępna.

Lata, kiedy Mitch czuł się nikomu niepotrzebny zdały mu się mniej bolesne i może trochę zapomniane. Sprawiał to podarunek Casey, ten wspaniały dowód jej zaufania.

Mitch spojrzał na jej niczym nie upiększone usta. Podeszedł do niej i stanął tuż obok Casey.

- Mitch?

W jednej sekundzie odsunął od siebie głupie myśli, zacisnął pięści, cofnął się i znów zaczął spacerować po pokoju.

Głos, który Casey kiedyś określiła jako charakterystyczny, był teraz celowo pozbawiony wszelkiego wyrazu.

- Dziękuję ci. Możesz być pewna, że zawsze będę ją nosił. Zawsze.

- Ja... No, dobrze. Lepiej już pójdę.

Patrzył jak odchodzi - lekko kulejąc, ale z wyprostowanymi ramionami i uniesioną głową. Prawie słyszał, jak zaciska zęby za każdym razem, kiedy przenosi ciężar na prawą nogę. Pozostał jednak na miejscu i nie próbował jej pomóc. Nie ufał w tej chwili samemu sobie. Nie teraz, kiedy miesza się w nim gniew, współczucie i pożądanie. Nie mógł się do niej zbliżyć. Zresztą nie przypuszczał, by

potrzebna jej była jego pomoc - była dużo silniejsza, niż podejrzewał komisarz, jej służba czy ona sama.

Przy drzwiach przystanęła i odwróciła się ku niemu.

- Dziękuję ci, że mnie wysłuchałeś. I potraktowałeś mnie poważnie.

Dopiero ten dodatek wyrwał go z zamyślenia.

- A jest jakiś powód, dla którego nie powinienem?

- Nie. Dobranoc, Mitch.

- Dobranoc, księżniczko.

Dopiero kiedy drzwi się za nią zamknęły, uświadomił sobie, że znów ją nazwał księżniczką. Musiał jednak przyznać, że tym razem z zupełnie innego powodu. Casey Maynard bez wątpienia miała klasę wiążącą się z tym przydomkiem.

Zgoda, ta dziewczyna pochodzi z innego świata niż on. Należy do tej bogatej grupy społecznej, do której jego żona zawsze chciała należeć. Ale klasa Casey to dużo więcej niż dolary. Było to wyraźnie wyczuwalne w sposobie, w jaki mimo bólu chodziła. I w sposobie, w jaki traktowała otaczających ją ludzi.

Nawet jego.

- Dziękuję - powiedziała przed chwilą. Ile to razy komuś wpadło do głowy, by mu podziękować? W dodatku nie było jeszcze za co.

Mitch położył spinkę na kominku obok swego pistoletu. Otworzył teczkę z aktami Rainesa i zabrał się za czytanie.

Zaskoczyła i zaniepokoiła go niewielka ilość zawartych w niej faktów. Zdobył się na niezbędny w takiej sprawie dystans i czytał podany przez Casey opis wypadków. Poza nim nie znalazł niczego, co potwierdzałoby jej opinię o Emmecie Rainesie jako o sprytnym potworze. Raport policjanta, który go aresztował, znajdował się w oddzielnej teście. Postanowił rano poprosić o nią kogoś ze swych podwładnych.

Odszukał w teczce informację o Darlene Raines, bliźniaczej siostrze Emmetta, która w czasie ataku na Casey sądzona była za wymuszenie i zabójstwo. Jedna jedyna notatka na ten temat była równie zwięzła i ogólnikowa.

Mitch opadł na oparcie, trzymając w ręku grubą kopertę. Nie mógł pozbyć się uczucia, że zabrakło w niej czegoś bardzo istotnego. Czy tylko z powodu niedopatrzienia? Czy też ktoś zrobił to celowo?

Odłożył kopertę i zdjął koszulę. Zgasił światło i czekał, aż nadejdzie sen.

Wiedział już, że sam będzie musiał znaleźć te brakujące elementy.

Bank jutro jest zamknięty, ale pójdzie tam w piątek. Może znajdzie coś, co wiąże się z wierszykiem wysłanym przez Rainesa. Do tej pory nie było żadnych dowodów, że to on go wysłał. Sam komisarz nie wierzy, by Raines próbował dotrzeć do Casey. Wyznaczył Mitcha, by się nią opiekował raczej po to, by wypróbować jego lojalność, niż z przekonania o grożącym jej realnym niebezpieczeństwie. Zresztą skoro podczas procesu nie potrafiła go zidentyfikować, czemu miałyby polować na nią teraz?

Dziękuję, że potraktowałaś mnie poważnie.

Casey była przekonana, że Emmett Raines będzie próbował się do niej zbliżyć.

Zwróciła się o pomoc do Mitcha.

A ponieważ go prosiła, nie mógł jej odmówić.

I ponieważ jest przekonana o grożącym jej niebezpieczeństwie, przekonany o nim jest i on.

Casey próbowała się poruszyć, ale ten ogromny ciężar, jaki czuła w prawej skroni, nie pozwolił jej na to. Znieruchomiła, wsłuchując się w swój ciężki oddech i urywane jęki bólu.

Chciała się podeprzeć i usiąść, ale jej ręce nie funkcjonowały. Ostry ból przeciął nadgarstki.

Otworzyła oczy.

Taśma klejąca? Unieruchomił jej ręce taśmą?! A ten ból w głowie? Przydusił ją. Tymi plastikowymi kajdankami. Wrzynały się jej w skórę, dusiły.

Potem straciła przytomność.

Oprzytomniała dopiero przed chwilą.

- Steve? - wymamrotała. Przed oczami mignął jej niebieski mundur. - Co się stało? - próbowała sobie przypomnieć.

- No, nareszcie! Wróciłaś do mnie.

Casey zmrużyła oczy. Patrzyła na pochylonego nad nią mężczyznę. Pierwszą rzeczą, jaką zauważyła, były jego oczy. Prawie bezbarwne, lodowate. Był dosyć przystojny... Taki słodki facet. Steve umie być słodki.

Nie Steve!

Coś groźnego błysnęło w jego ręku. Nóż!? Długi, ostry.

Zamknęła oczy.

- Nie, nie - skarcił ją mężczyzna. Steve? Nie, nie Steve. - Nie odchódź. Musimy porozmawiać o tatusiu.

Casey próbowała się skoncentrować. Ogarnęła ją panika, więc nie było to łatwe. Kim jest ten człowiek? Co stało się ze Stevem? Czy ten facet powiedział jej, czego od niej chce? Może tylko o tym zapomniała?

Coś zimnego dotknęło jej szyi.

- Nie wiem, czego chcesz! - krzyknęła przez zaciśnięte gardło.

I wtedy się uśmiechnął i był to najokrutniejszy uśmiech, jaki w życiu widziała. Zadrzała, kiedy wolno przesunął ostrze na jej pierś.

Leżała na podłodze w samym kostiumie kąpielowym, ze spętanymi nadgarstkami, przygwożdżona jego kolaniem

miażdżącym jej biodro, całkowicie bezradna. Od samego jego dotyku było jej niedobrze.

Musnął nożem jej brzuch, potem przesunął jego ostrze na udo. Podświadomie czuła, że nie zamierza jej zgwałcić. W jego zachowaniu nie było nic seksualnego. Właściwie nie miało ono nic wspólnego z nią.

Musiał dostrzec to w jej twarzy... bo uśmiech zniknął z jego twarzy. Popatrzył na nią szyderczo. Przewrócił ją na brzuch i chwycił za kostkę.

- Posłuchaj uważnie, panienko. Oto co chcę, żebyś powiedziała tatusiowi.

Nóż przeciął skórę tuż nad ścięgnem Achillesa.

Obudził ją jej własny krzyk.

Nieprzenikniona ciemność nocy i zmierzwiłone prześcieradła pętające jej nogi sprawiły, że poczuła się jak w jakiejś śmiertelnej pułapce.

- Casey!

Gdzieś w ciemności rozległ się niski, męski głos.

- Ratunku! - Casey walczyła z krępującym ją prześcieradłem. - Ratunku!

Drzwi do jej pokoju otworzyły się i w progu zamajaczyła potężna męska postać. Rozbłysło górne światło. Casey, przerażona, wbiła się plecami w oparcie łóżka. Potężna postać bezszelestnie zbliżała się w jej stronę. Casey otworzyła usta do krzyku, ale z jej gardła nie wydobył się żaden dźwięk.

Zapaliła się stojąca na nocnym stoliku lampka i rzuciła błogosławione światło na twarz intruza. Casey w pełnym przerażenia milczeniu patrzyła na jego ciemne, zmierzwiłone snem włosy, na niesamowicie szerokie nagie ramiona i pierś, na niedopięte dzinsy. W lewej ręce ścisnął groźnie wyglądający pistolet. W prawej, w dwóch palcach, małą srebrną spinkę.

- Mitch.

Ledwo wypowiedziała jego imię, w oczach mężczyzny pojawił się znany już jej błysk. Zerwała się na kolana, wyciągnęła do niego ręce i padła mu w ramiona.

- Casey, na miłość boską! Nic ci nie jest?

W połowie pytania głos mu się załamał... Objął ją mocno i przytulił do siebie.

- Mitch, Mitch! - powtarzała.

Szlochała bez łez z nadzieją, że przyniesie jej to ulgę.

- Uspokój się, maleńka. Już dobrze! To tylko zły sen. To nie zdarzyło się naprawdę.

Naprawdę był to Mitch! Tylko on mógł dać jej spokój, swoją siłę i pocieszenie. Poczowała, że stopniowo zwalnia uścisk i jego pokryta odciskami dłoni delikatnie gładzi jej plecy. Uspokojona jego szeptanymi pocieszeniami też już nie przywierała do niego tak mocno.

- Przepraszam. Nie chciałam cię tak przerazić. Tak strasznie się bałam. - Jej wargi delikatnie muskały jego szyję.

Mitch puścił ją tylko na moment, by zabezpieczyć broń i odłożyć pistolet na nocny stolik obok srebrnej spinki i posadził Casey sobie na kolanach.

Przytulił jej głowę do swej piersi, wsunął palce w jej włosy i delikatnie masował spięte mięśnie jej karku. Cały czas szeptał uspokajająco.

- Przestraszyłaś mnie, księżniczko. Już jakoś ułożyłem się na tej starej kanapie i prawie zasypiałem, kiedy usłyszałem twój krzyk.

Nie wspominał o tym, co jeszcze czuł, tylko mocniej ją przytulił. Casey wcale to nie przeszkadzało. Wiedziała tylko, że nareszcie jest bezpieczna.

Odetchnęła z ulgą, zapominając o wątpliwościach, jakie miała wcześniej co do swoich uczuć i reakcji na bliskość Mitcha.

- Dobry w tym jesteś.

- W odstraszeniu złoczyńców? - szepnął wprost do jej ucha i przyspieszył tym samym bicie jej serca.

- Nie. W trzymaniu mnie w objęciach. Już od tak dawna nikt mnie tak nie tulił.

Położyła rękę na jego piersi. Jasnobrązowe włoski łaskotały jej skórę. Dokładnie tak, jak to sobie wyobrażała, patrząc na niego jeszcze w bibliotece. Omal wtedy nie zapomniała celu swojej późnowieczornej wizyty.

Teraz też prawie zapomniała, czemu Mitch z nią tu jest. Próbowwała leciutko się odsunąć, a on natychmiast zwolnił uścisk. Mogła się odchylić i spojrzeć na jego twarz.

- Przepraszam, że sprawiam ci tyle kłopotu.

- Wcale mi to nie przeszkadza.

Wzruszona czułością brzmiącą w jego głosie, Casey pogładziła go po policzku, kciukiem dotykając kącika ust.

Czekała na jego pocałunek. Wręcz go do tego zapraszała.

Potrzebna jej była siła i ciepło tego mężczyzny. Jednego i drugiego miał aż nadto.

Jego wargi musnęły tylko jej czoło. Przyjacielskim, uspokajającym gestem. Głupia była, myśląc, że mógłby dać jej coś więcej. Zsunęła się z jego kolan i usiadła pośrodku łóżka.

- Przepraszam, że cię obudziłam. Jesteś zmęczony. Musisz się wyspać.

Mitch wstał, schował do kieszeni pistolet i spinkę.

- Nie ma sprawy. To część mojej pracy. Opowiedz mi, co ci się śniło.

Zaskoczona jego prośbą, spojrzała na niego, ale on już był przy oknie i sprawdzał, czy jest porządnie zamknięte. Przez chwilę, z przechyloną głową, uważnie nasłuchiwał.

- Przypomniałam sobie, jak ten człowiek mnie zaatakował. Z początku wydawało mi się, że to Steve. Poczulałam się zdradzona. A potem nagle zrozumiałam, że to nie on i... - Na wspomnienie groźnie błyskającego noża mocno

zacisnęła powieki. - Chyba rozmowa o tym wywołała te wspomnienia.

- Pewnie w ogóle wiele rzeczy przypomina ci teraz o tamtym incydencie.

Patrzyła, jak Mitch chodzi po pokoju, ubrany, a właściwie ubrany w same dżinsy i...

Co się z nią dzieje? Zna tego człowieka niecały tydzień, nawet się z nim nie całowała, a już marzy, jakby to było, gdyby na chwilę zapomniał o swoich obowiązkach i po prostu się z nią kochał...

Oczywiście, on nigdy tego nie zrobi. Fantazje, nocne koszmary i paranoja nigdy nie zainteresują takiego mężczyzny. Owszem, obejmował ją, przytulał, szeptał do ucha czułe słowa, ale tylko po to, żeby ją uspokoić.

Cóż, taką już ma naturę. Opiekuje się pokrzywdzonymi, broni ich i chroni. A ona jest tylko jedną z ofiar.

- Przepraszam! - Jego głos wyrwał ją z rozmyślań. Znów stał w drzwiach, w ostrym świetle już nie tak groźny, ale nie mniej potężny.

- Przepraszam?

- Za to, co omal się nie stało. Mówiłaś, że tamtego wieczora, przed atakiem, Steve cię pocałował. Nie chciałem ci o tym przypominać.

Przepraszają ją za to, że jej nie pocałował?

- Ale...

- Dom jest bezpieczny, więc spróbuj się trochę przespać. Casey siedziała bez ruchu, z kolanami podciągniętymi pod brodę. Starła się zrozumieć, dlaczego Mitch czuł się zobowiązany do przeprosin. On w jednym końcu pokoju, ona w drugim, byli jakby zawieszeni w czasie i przestrzeni.

- Cholera! - mruknął.

- Coś się stało?

- Nie zaśniesz, prawda?

- Spróbuję.

- Nie, nie dasz rady. Za bardzo się boisz, że twój sen wróci. - Szybkim, zdecydowanym krokiem podszedł z powrotem do łóżka. - Wcale ci się nie dziwię. Posuń się.

- Co takiego?

Mitch odłożył pistolet na stolik i chwycił za prześcieradło w nogach łóżka.

- Przesuń swój tyłeczek i zrób mi miejsce.

- Nie ma mowy!

Zignorował jej protest, więc musiała przesunąć się na brzeg łóżka. Nie wyobrażała sobie, że Mitch mógłby jej dotykać.

Ułożył się wygodnie, wygładził przykrycie i okrył ją aż pod brodę.

- Mitch, nie musisz tego robić. Nic mi nie jest.

Jej protest był raczej błaganiem. Poczowała, jak do oczu napływają jej łzy. Miała za sobą siedem lat strachu, samotności i ukrywania prawdziwych uczuć.

Mitch nigdy nie pozwalał jej się chować. Przed strachami, przed przeszłością, przed uczuciami.

Zamarła, kiedy wziął ją w ramiona. I choć dzieliło ich kilka warstw wełny, bawełny i flaneli, czuła jego siłę i ciepło.

- Dlaczego to robisz? - spytała cicho. W duchu modliła się, by okazało się, że to drzemiący w nim mężczyzna troszczy się o nią tak czule, a nie świadomy swoich obowiązków policjant.

- Czujesz się bezpieczna w moich ramionach, prawda? Nie zmrużyłbym oka, czekając na twój następny krzyk. - Zostawił zapaloną lampkę na nocnym stoliku, widziała więc jego uważne spojrzenie. - Potrzebny ci jest w tej chwili ktoś, kto by cię trzymał w objęciach i wygląda na to, że ja jestem jedynym w tym domu, kto może to zrobić. Obiecuję, że będę grzeczny.

Ujął ją pod brodę, chciał, żeby na niego spojrzała, by mu uwierzyła. Nie mogła - dostrzegłby w jej oczach żal i rozczarowanie.

- Chcę to zrobić.

Gdyby ją teraz pocałował, jej radość byłaby całkowita. Wiedziała jednak, że musi zadowolić się małymi rzeczami, cieszyć tym, co dostaje i nie prosić o więcej.

Zamknęła oczy i ułożyła głowę w zagłębieniu jego ramienia.

- Niczego się nie bój, Casey. Żaden bandyta nie zakłóci dziś twoich snów.

Niespodziewanie Casey ziewnęła, cieszyła się ciepłem jego ciała i uspokajającymi zapewnieniami. Pytania o motywy jego postępowania zdawały się w tej chwili nieistotne.

Już prawie drzemała, kiedy przed oczami znów stanął jej Mitch. I mały, zraniony chłopczyk, jakiego dostrzegła w jego oczach, kiedy dawała mu spinkę ojca. Dziecko, które nie wierzy, że zasługuje nawet na taki skromny prezent.

- Mitch?

- Tak?

- A kto ciebie przytula, kiedy się boisz? Jego śmiech był sztuczny, wymuszony.

- Śpij, księżniczko! To ja tu jestem obrońcą.

Mimo zmęczenia Casey wsparła się na łokciu i zażądała szczerzej odpowiedzi.

- Pytam poważnie. Nie wiem nawet, czy masz żonę albo dziewczynę. Czy jest ktoś, kto się o ciebie troszczy, kiedy ty zajmujesz się innymi?

Milczał tak długo, że myślała, że już jej nie odpowie.

- Moja żona umarła na raka pięć lat temu. Nie mam nikogo na stałe.

Mówił tak bezbarwnym głosem, iż Casey wyczuła, że mówi jej coś ważnego. Znów wtuliła się w jego ramię.

- Twoja żona miała szczęście, że spotkała kogoś takiego jak ty.

- Znalazła sobie innego opiekuna.

Mięśnie jego ramion zeszywniały, jakby chciał przyciągnąć ją bliżej, ale bał się, że jej się to nie spodoba.

- Przysięgałem jednak, że będę z nią na dobre i na złe. Dla ciebie zrobię to samo. Dopóki będę ci potrzebny.

Jego szorstka odpowiedź wiele jej powiedziała.

Jest człowiekiem, który dotrzymuje słowa. Zdecydowanym obrońcą. Lojalnym wobec osoby czy sprawy, bo dał komuś słowo.

I samotnym. Może równie samotnym jak ona.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Casey westchnęła i przeciągnęła się w swoim wygodnym, ciepłym łóżku. Co za szczęście, pomyślała. Ani trener, ani rodzice nigdy nie pozwalali jej wylegiwać się tak długo. No, może w święta.

Odgarnęła włosy z twarzy i zmrużyła oczy. Dziś jest święto. Święto Dziękczynienia. Nie ma trenera. Rodzice są w podróży. Nie ma dziś treningu.

Było jej bardzo, bardzo dobrze. Judith musiała zajrzeć do niej wczesnym rankiem i przykryć dodatkowym kocem.

Judith nie pracuje w święta.

Casey była już coraz przytomniejsza. Ma cały dom dla siebie. Już nie trenuje. Rodzice wrócą dopiero wówczas, kiedy...

- Nie jesteśmy rannym ptaszkiem, co?

Zaspany głęboki głos. Czyj to głos?

Była już całkiem przytomna. Próbowwała usiąść, ale coś jej nie pozwoliło. Ciepłe, silne ramiona Mitcha.

A przed sobą miała jego koniakowe oczy i leniwy, pełen zadowolenia uśmiech. Zupełnie mu nie przeszkadzało, że właściwie na nim leży. Wydawał się nawet szczęśliwy. Jak długo patrzył na nią, kiedy spała? Jak długo ona...

Jej ręce i ramiona oparte były o jego pierś. Jej brzuch, osłonięty tylko cienką flanelą koszuli, grzało ciepło jego ciała. Zawstydzona, próbowała zasłonić piersi.

Mitch tylko szerzej się uśmiechnął.

Na szczęście wszystkie guziki koszuli były dokładnie zapięte. Ale niżej było dużo gorzej. Rąbek koszuli sięgał jej zaledwie do bioder, a jej kaleka noga spoczywała między udami Mitcha.

Co za upokorzenie. Gniew był jej jedyną bronią.

- Co ty robisz w moim łóżku?

Casey odsunęła się od niego gwałtownie, pociągnęła za sobą koce i prześcieradło i przesunęła na skraj łóżka.

- Wyłaż stąd natychmiast!

Z twarzy Mitcha zniknął uśmiech. Powoli, jakby wyśmiewał jej gwałtowny ruch, przesunął się na przeciwny skraj łóżka i wstał. Casey chwyciła poduszkę, skrywając się przed jego wszechwidzącym spojrzeniem.

Do tylnej kieszeni dżinsów włożył pistolet, do ręki wziął szpilkę jej ojca. Patrzył na Casey, trzymając ją w palcach. Zrozumiała, co chciał jej powiedzieć.

Dała mu ją na znak zaufania.

A jej dzisiejsze zachowanie świadczyło o czymś zupełnie przeciwnym.

- Jak sobie życzysz, księżniczko.

Jego słowa przeszły ją jak lodowaty dreszcz.

Przyjęła przecież jego pocieszenie. Pragnęła ukojenia. Szukała schronienia w jego ramionach.

Nawet jakby próbowała dać mu coś w zamian. Ale nigdy nie będzie mogła...

Jednak to, co wydawało się prawdziwe w ciemnościach nocy, zniknęło w świetle dnia.

Czuła, że winna jest mu wyjaśnienie. Ale przecież sam widzi, z kim ma do czynienia. Ma przed sobą zranioną kalekę, która już nigdy nie będzie kobietą. W której żaden mężczyzna kobiety nie zobaczy.

- Dzięki za wczorajszą pomoc - wyjąkała z trudem. - Ale teraz chciałabym, żebyś wyszedł.

- Wedle rozkazu.

Ton jego głosu zmroził ją do szpiku kości. Kiedy drzwi się za nim zamknęły, rzuciła w niego poduszką, a sama opadła na łóżko. Przeklinała swoją nogę, swoje parszywe szczęście, a przede wszystkim Emmetta Rainesa.

Gdyby w tak gwałtowny sposób nie wtargnął w jej życie, byłaby prawdziwą, namiętą kobietą. Nauczyła się już ukrywać swoje niedoskonałości przed resztą świata. Ale jak długo będzie w stanie ukrywać je przed Mitchem?

Mitch przełączył telewizor z powrotem na stację emitującą mecz i zastanawiał się, czy temperatura w Detroit jest naprawdę niższa niż tu, w bibliotece.

Casey pracowała przy komputerze, a on czuł się jak dzieciak z pierwszej licealnej na pierwszej szkolnej dyskotecie, rzucający nieśmiałe spojrzenia w stronę ładnej koleżanki. Zupełnie tak samo odwracał wzrok, kiedy na niego spoglądała.

Judith McDonald przygotowała najwspanialszy świąteczny posiłek, jaki w życiu jadł, nawet odgrzany w mikrofalówce. Mimo to soczysty indyk, smakowite jarzyny i ziemniaki ciążyły mu jak kamień w żołądku. Nie miał serca skazywać na ten sam los sernika, który czekał na niego w lodówce.

Tegoroczne święta okazały się takie same jak wszystkie do tej pory. Zazwyczaj w te dni pracował, żeby koledzy mogli spędzić je z rodzinami. Choć był w dzinsach i oglądał mecz, ani na chwilę nie zapominał, że mimo wszystko jest w pracy.

Casey powiedziała mu bardzo jasno i wyraźnie, że dla niej pracuje. Budząc się rano w jej łóżku, złamał swoje zasady. Biorąc ją w objęcia, kiedy wpadła w panikę - nie.

A co najgorsze - sprawiło mu to ogromną przyjemność.

Chłopaki z przedmieścia i panny z towarzystwa mają ze sobą niewiele wspólnego. Już raz się o tym przekonał. Z Jackie.

Z Casey jednak zapominał o tych niepisanych zasadach. A przecież mogli razem siedzieć przy stole, przy wspólnym posiłku, ale nie musieli rozmawiać. Mogli być w tym samym pokoju, grzać przy tym samym kominku, ale nie łączyły ich

żadne zainteresowania. I mogli obudzić się w jednym łóżku, wtuleni jedno w drugie, ale zaraz potem woleli o tym zapomnieć.

Leżąc rano w łóżku, Mitch cieszył się na wspólnie spędzony dzień. Poprzedniego wieczora Casey rzuciła mu się w ramiona jak kochanka. Zaufała mu i podarowała rodzinną pamiątkę. Z nastaniem dnia jednak zdegradowała go do statusu płatnego ochroniarza.

Cholera, nie mógł nawet zapytać jej o Emmetta Rainesa!

Od czego powinien zacząć? Nie wiedział, w jaki sposób ten drań ją napadł. W aktach sprawy był tylko suchy, drobiazgowy wykaz obrażeń i ran, jakie jej zadał. Podduszenie. Rany cięte twarzy i szyi. Liczne nacięcia nożem wzdłuż całej prawej nogi, łącznie z uszkodzeniem nerwów. Na samo wspomnienie tego opisu zrobiło mu się słabo.

Rewanż? Tak, tylko to jedno słowo przyszło mu do głowy.

A teraz ten zbrodniarz przebywa na wolności? Mitch oparł łokcie na kolanach i zanurzył twarz w dłoniach. Słyszając o czymś takim, zaczynał żałować, że jest policjantem. Zresztą z tego samego powodu nim został.

Pomoc w wymuszeniu. Włamanie. Groźby. To też miał Raines na swoim koncie.

Nic wielkiego w porównaniu z ostatnią zbrodnią. Musi odpowiedzieć za zabójstwo policjanta i ten okrutny napad na Casey. Mitch wiedział, że najpierw musi znaleźć na niego jakiś sposób, powiązać w jedną całość przestępstwa, jakich ten człowiek dokonał. I to na przestrzeni siedmiu lat.

- Rozejm?

Pod jego nosem pojawił się kawałek smakowitego sernika. Jego zapach w połączeniu ze zmysłowym szeptem sprawił, że zapragnął czegoś, co ukoi raczej jego duszę niż żołądek.

Westchnął i spojrzał w smutne, szare oczy. Czyżby i Casey miała już dość milczenia?

- Za domowy sernik zgodzę się na wszystko.

Casey uśmiechnęła się, podała mu talerzyk oraz widelec i usiadła na przeciwległym brzegu kanapy. Mitch połknął swój kawałek w mgnieniu oka, ona zaś, zamyślona, dłużyła w swoim kawałku ciasta.

Zapytała o mecz i dopóki nie zjadła i nie odstawiła na bok talerzyka, rozmawiali o jakichś obojętnych sprawach. O czymś takim marzył.

Czuł jednak, że za jej uprzejmością coś się kryje.

I miał rację.

- Czy nie wolałbyś gdzieś indziej spędzać tych świąt? Czy jest takie miejsce? - spytała. Podwinęła pod siebie lewą nogę, a Mitch miał wrażenie, że gdyby nie rusztowanie na drugiej nodze, chętnie zwinęłaby się w kłębek.

Zachowywała się wobec niego przyjaźnie, więc udawał, że dystans, jaki z takim zdecydowaniem między nimi zachowuje, nie sprawia mu przykrości.

- I tak się mnie nie pozbędziesz, więc nawet nie pytaj.

- Nie o to mi chodziło. - Rozejrzała się po pokoju, a potem spojrzała mu w oczy. - Przepraszam za dzisiejszy poranek. Zaskoczyłeś mnie, to prawda. Ale byłam niemiła i niewdzięczna i... przepraszam cię. Pytam o to, czy masz jakąś rodzinę, kogoś, z kim może wolałbyś dzisiaj być.

A ciekawe, gdzie jest dziś kochany wujek Jimmy, pomyślał pozornie tylko bez związku z jej pytaniem Mitch. Nawet nie zadzwonił. No tak, ale rządzący i możni tego świata myślą raczej o pozorach, a nie o prawdziwych uczuciach.

W jej głosie był smutek, więc i jemu zrobiło się smutno. Czuł, że musi ją jakoś rozbawić. Choć tyle mógł dla niej zrobić. Na razie.

- Byłem zaproszony na oglądanie meczu i coś słodkiego do Joe'go Hendricksa. To mój podwładny. Porucznik. Ale on i jego żona wkrótce spodziewają się dziecka, więc wyobrażam

sobie, ile się tam kłębi różnych babć i cioć. O dziadkach i wujkach nie wspominając. Tu mam przynajmniej pewność, że wystarczy dla mnie ciasta.

Jej cichy śmiech był dla niego wspanialszą nagrodą niż dyplom za wzorową służbę. Ośmielił go też do walki z dzielącymi ich różnicami.

- Widziałaś kiedyś, jak zapalają światła na choinkach przed hotelem Plaza? - spytał, spoglądając na zegarek. Do tego ważnego corocznego wydarzenia pozostało niecałe trzydzieści minut.

Casey zdziwiła ta niespodziewana zmiana tematu.

- Oczywiście! Przecież się tu wychowałam. To zaledwie dwie przecznice stąd.

Mitch spojrzał na nią spod oka.

- Myślałem, że wy, bogacze, znikacie stąd na Święto Dziękczynienia, żeby uniknąć spotkania z turystami, prowincjuszami i mieszkańcami przedmieść, którzy zjeżdżają na wasz teren na ten pokaz.

- Na nasz teren?

- Dzielnica, w której się wychowałem, jest daleko stąd. - Wstyd i zazdrość, jakie kiedyś czułem, należały już do przeszłości, ale Casey jednak zauważyła w jego głosie pewien żal. - W Święto Dziękczynienia zawsze jednak starałem się tu przyjechać. To jedyne lampki na choince, jakie widywałem. Pamięć o nich musiała mi wystarczyć aż do Bożego Narodzenia.

- Nie obchodziliście w domu świąt? Rozbawiło go jej niewinne pytanie.

- Owszem, kiedy byłem bardzo mały - odparł i roześmiał się. Jego śmiech zabrzmiał nostalgicznie.

- A później?

- Kiedy zamieszkałem z ciotką i wujem, przestało to mieć już dla mnie znaczenie. Nigdy nie mieliśmy niczego

specjalnego. W niektórych latach nie stać nas nawet było na choinkę. Ale zawsze dostawałem jakiś prezent. Talię kart z piłkarzami albo paczkę gumy do żucia. Wuj Sid bardzo o to dbał.

- Musiał cię bardzo kochać.

- Owszem, starał się. Ale miał sześcioro własnych pociech. Ja zawsze byłem dzieciakiem numer siedem.

- A co się stało z twoimi rodzicami?

Wspomnienie dusznego, letniego wieczoru i siedzącego naprzeciwko niego umundurowanego policjanta przemknęło mu przez głowę. Aż zamrugnął powiekami, by je od siebie odpędzić.

- Mój tata też był gliniarzem. Pewnego wieczora razem z mamą wybrali się do kina. Wracając do domu, wpadli na piwo. W trakcie napadu na ten bar tata próbował interweniować i...

- Zginęli oboje? - Casey nachyliła się i wyciągnęła rękę w jego stronę. Jej palce zatrzymały się jednak parę centymetrów od niego.

Mimo to Mitch poczuł promieniujące od nich ciepło i zatęsknił za ich pieśczołą. Za tą samą pieśczołą i pocieszeniem, które Casey dała mu poprzedniego wieczora, ale z jakiegoś nieznanego mu powodu dziś dać nie chciała. Może nie chciała ponownie zniżyć się do jego poziomu, a jej uprzejme zainteresowanie było wyrazem raczej współczucia niż szczerego zainteresowania.

Widząc jednak w jej oczach toczącą się walkę emocji, zmienił zdanie. Nie ujął. Jednak jej dłoni, nie chciał jej do niczego zmuszać. Może Casey potrzebuje czasu...

Zamiast tego wstał i wyniósł do kuchni talerze. Już dawno pogodził się ze śmiercią rodziców. Jednak w takich chwilach jak ta ogarniał go żal. Za tym, co było. I za tym, co mogło być. Za utraconymi rodzinnymi świętami. Że nikt nie cieszył się

wraz z nim jego karierą. I że mama i tata nigdy nie poznają ludzi, którzy są dla niego ważni. ,

Stojąc przy zlewie, spojrział przez okno na przykryty szklaną kopułą basen otoczony martwym ogrodem i granitowym murem.

To znów kolejne więzienie, pomyślał.

Casey też pewnie doświadczyła samotności podczas świąt i nie miała z kim dzielić się radością ze swoich osiągnięć. Kobieta tak pełna ognia i tak inteligentna jak ona nie powinna z własnej woli zamykać się za tymi murami. Kiedy zrozumiał, jak tragiczne łączą ich więzy, wpadł mu do głowy pewien pomysł.

Wyszedł do holu, którym szła powoli, niosąc kubki w rękach.

- Czy z twojego domu widać Plażę?

- Z piętra tak. - Casey spojrzała na niego niepewnie. - A czemu o to pytasz?

Mitch wyjął jej z rąk kubki i odstawił je na półkę ze sportowymi trofeami. Słyszac pytanie, uśmiechnął się i ód razu poczuł się lepiej.

Podbiegł w stronę drzwi wejściowych i stanął u stóp schodów. Ciekawość Casey go nie zawiodła. Za chwilę stała obok niego.

- Co ty kombinujesz?

- Możesz wejść na górę?

Casey spojrzała na pokryte wykładziną schody.

- Meble są w pokrowcach, a pokoje pozamykane. Ale nie na klucz.

Spojrział na nią uważnie, jakby chciał sprawdzić, czy też, jak on, drży z podniecenia.

- Nie, nie to miałem na myśli...

Ujął ją za łokieć, a ona uniosła głowę i spojrzała na niego badawczo.

- Nie wiem, jak inaczej to powiedzieć.

Mitch trochę mocniej zacisnął palce na jej ramieniu. Bał się, iż Casey uzna, że złamał zasady rozejmu i odsunie się od niego.

- Chodzi mi o to, czy w sensie fizycznym dasz sobie z tym radę.

Casey natychmiast spuściła oczy.

- O!

Jej reakcja tylko wzmogła determinację Mitcha. Nie na darmo miał za sobą dwadzieścia lat służby w policji. Bez walki nigdy się nie poddawał.

- Powinniśmy jakoś uczcić dzisiejsze święto, nawet jeśli skazani jesteśmy na siedzenie w domu. Naprawdę widziałas kiedyś ceremonię zapalania lampek?

Casey wzruszyła ramionami.

- Wbrew temu co się wam, „chłopakom z przedmieścia”, wydaje, niektórzy z nas, bogaczy, też lubią obchodzić święta. Widziałam to wiele razy.

- To obejrzyj dziś razem ze mną - zaproponował odważnie.

- Chyba do Bożego Narodzenia nie wdrapię się na piętro. Była przerażona. Jej niepewność spowodował strach.

Mitch zaś w jednej chwili zapomniał o gniewie. Nie zważając na protest, włożył jej rękę pod swoje ramię i dziarsko ruszył ku poręczy.

- Co za zbieg okoliczności - uśmiechnął się zachęcająco. - Jestem wolny aż do Bożego Narodzenia.

Nie był pewien, czy się uśmiechnęła, czy nie. Widział tylko czubek jej głowy i poczuł, jak sztywnieje na widok co najmniej dwudziestu stopni.

- Nie chcę, żebyś się spóźnił - mruknęła.

- Nie spóźnię się. - Mitch przycisnął łokciem jej rękę. - I ty też nie.

Patrzył z podziwem, jak prostuje ramiona i odrobinę unosi głowę. Potem poczuł, jak się o niego opiera i unosi nogę na pierwszy stopień. Był jej znów potrzebny. Wiedział, że w tej chwili jest jedynym człowiekiem, który może jej pomóc.

Casey odetchnęła głęboko i weszła na drugi stopień.

Bardzo jej w tej chwili współczuł. Dla niego wchodzenie po schodach to po prostu codzienna czynność. Ona jednak zawczasu musiała się zastanowić, gdzie postawić zdrową nogę, by utrzymać równowagę, zanim przeniosła ciężar na chorą nogę. Przez moment myślał nawet, czy nie wziąć jej na rękę i nie wnieść na górę. Fizyczny kontakt na pewno sprawiłby mu przyjemność, ale podziwiał jej determinację i nie chciał jeszcze bardziej zawstydzić tej dzielnej dziewczyny.

Kiedy jednak dotarli na podest, nie mógł się już oprzeć. Wziął ją na rękę i obrócił się dokoła.

- Tak jest! - krzyknął. - Wiedziałem, że dasz sobie z tym radę!

Kiedy w końcu postawił ją na podłodze, oddychał z takim samym trudem jak ona. A kiedy wsparła się o niego całym ciężarem ciała, kiedy poczuł jej uda i piersi, kiedy zobaczył jej rozchylone usta...

Musiał ją pocałować. Jeśli zaraz jej nie pocałuje i nie pozbędzie się tej obsesji, chyba eksploduje.

Ale wtedy Casey rozluźniła pięści i odrobinę się od niego odsunęła. Jak mogła...? Czy naprawdę nie czuła tego, co on?

Wypuścił ją z objęć i stworzył między nimi dystans, którego Casey tak wyraźnie pragnęła. Stłumił pożądanie i urazę. To akurat przyszło mu bez trudu.

Jackie, zanim dopadł ją rak, często z nim tak grała. Przyciągała go do siebie, rozpaliała do czerwoności, a potem pod byle pretekstem odpychała.

Bo był brudny i spocony po całonocnej pracy nad jakąś sprawą i bała się, że zniszczy jej ubranie. Bo wrócił po długiej

delegacji i na nowo musiała przywyknąć do jego obecności. Albo po prostu nie była w nastroju.

Znał te wszystkie wymówki. I nauczył się udawać, że go nie ranią. Może Casey nie robi z niego takiego idioty jak Jackie. Ale nawet dla takiego podstarzałego gliniarza do wynajęcia jasne było, że ona nie pragnie go w taki sposób, jak on jej. W każdym razie nie teraz.

A może już nigdy.

- Mamy panoramiczne okno wychodzące na Plażę - Casey brodą wskazała mu kierunek. - Mama gotowała nam kakao i w każde Święto Dziękczynienia siadywaliśmy przed tym oknem i oglądaliśmy ceremonię zapalania świec. Niesamowity widok...

Mitch patrzył, jak Casey ostrożnie idzie wzdłuż balustrady do rzędu ogromnych okien. Nawet z tego miejsca widział zachmurzone niebo nad budynkami Plazy, dzieła J.C. Nicholasa, światowej sławy architekta. Budynki otoczone były fontannami i eleganckimi butikami.

Casey zdjęła prześcieradło z jednego z foteli, sięgnęła, by odsłonić następny i... zachwiała się. Chwyciła się oparcia i zgięła w pół. Powietrze przeszył bolesny jęk.

- Casey! - Mitch był przy niej w ułamku sekundy. Objął ją i podtrzymał. - Coś sobie zrobiłaś?

Casey tylko przecząco pokręciła głową. Zauważył, że prawą pięścią masuje biodro, odsunął ją delikatnie i sięgnął pod jej sweter. Wymacał palcami gulę twardych jak kamień mięśni.

- Tutaj? - spytał. - Tu boli?

Znów w milczeniu kiwnęła głową. Mitch poprzez cienki materiał spodni fachowo masował bolące miejsce. Casey jęknęła i chwyciła go za rękę.

- Spokojnie, skarbie. Ból zaraz minie.

Zacisnęła rękę na jego dłoni, jakby samodzielnie nie była w stanie stać. A on pracował nad jej mięśniami... Aż do skutku.

Potem, kiedy jego pomoc nie była już potrzebna, nadal trzymał ją w objęciach. Wstydził się swojego egoizmu, ale oszołomił go zapach Casey. Czuł, że powinien ją przeprosić. To przez niego przecież cierpiała.

- Przepraszam - szepnął. - Nie chciałem... Nie powinienem cię na to namawiać.

- To moja wina. - Casey potrząsnęła głową. - Kiedy jestem zmęczona, mięśnie nogi nie pracują, jak powinny. Oszczędzam ją i potem czuję to w biodrze i plecach.

Czuł się podle. To on jest winien jej bólu. Gdyby jej tak nie zachęcał... Nie podpuszczał... Gdyby tak bardzo jej nie pragnął.

- Mitch, patrz! - Tym razem nie był to okrzyk bólu, lecz dziecięcej radości i podniecenia.

Spojrzał ponad jej głową i ujrzał miliony małych zielonych, czerwonych i białych światełek, rozświetlających dachy, okna i drzwi zespołu hotelowego.

- Co za cud... Dziękuję ci!

Z zachwytem obserwował jej zmienioną twarz. Twarz szczęśliwego dziecka. Nigdy jeszcze święta nie miały dla niego takiej magii, jak teraz, kiedy ich zapowiedź oglądał nie własnymi, lecz jej oczami.

Oddałby wszystkie swoje święta za to, że może dzielić tę chwilę z Casey i cieszyć się jej szczęściem.

- Wesołych świąt - szepnął jej do ucha.

A potem nie mógł już się powstrzymać i przywarł wargami do jej szyi, do ciepłego zagłębienia tuż pod jej uchem.

Dreszcz, który poczuł, mógł być jej, mógłby być też jego własnym spazmem. Jej palce zacisnęły się mocno na jego ramieniu, a on ssał teraz delikatnie koniuszek jej ucha.

- Chcę cię pocałować, księżniczko. Casey odwróciła głowę.

- Dlaczego... Dlaczego tak mnie nazywasz? - Jąkała się, jakby jego dotyk uniemożliwiał jej logiczne myślenie.

Ale znów przytuliła się do niego.

- To rzeczywiście jest bajka - szepnął jej do ucha. - A ty stałaś się moją królewną.

Tym razem po raz pierwszy nazwał ją tak z zupełnie innej przyczyny. Jego odpowiedź wyraźnie sprawiła jej przyjemność. Przeciągnęła się jak kotka, a on delikatnie musnął językiem jej obojczyk. Czuł, że go nie odtrąci.

Po chwili ręką musnął jej pierś.

- Chcę cię pocałować - powtórzył. Cieszył się tym, co miał, ale chciał więcej, dużo więcej.

Z leciutkim skinieniem głową, Casey podała mu usta. Miały smak cukru i wanilii. Całował ją mocno i gorąco.

- Mitch? - W jej głosie brzmiał strach. Odsunął ją od siebie i zanurzył ręce w jej włosach.

- Przepraszam - szepnął. - Zabolało cię, tak?

- Nie, to nie to. - Jej oczy błyszczały jak lampki na choinkach ustawionych przed Plazą. - Po prostu chyba wyszłam z wprawy.

- Wcale nie, królewno - uśmiechnął się Mitch. - Wszystko jest dokładnie takie, jakie powinno być. Cudowne.

Wynagrodziła go, z ufnością wtulając się w jego ramiona. I zaskoczyła, wspinając się na palce i całując prosto w usta.

- Wesółych świąt, Mitch. Cieszę się, że jesteś tu ze mną. Przez chwilę stali tak bez słowa, rozkoszując się wzajemną

bliskością. Mitch pozwolił sobie nawet marzyć, że będzie to trwało wiecznie. Nagle poczuł, że Casey sztywnieje, że wraca jej dawne napięcie.

- Co się stało?

Dziewczyna wysunęła się z jego objęć i cofnęła się. Czar prysł. Wrócili do rzeczywistości. Drżała.

- Powinnam się już położyć. Wczoraj też mało spaliśmy. Mitch nie potrafił przestawić się tak samo łatwo. Choć stała kilka kroków od niego, nadal czuł ciepło jej ciała.

- Dobrze się czujesz? - spytał niepewnie. Może jednak coś ją boli.

- Jestem po prostu zmęczona. Przygotować ci poduszki i prześcieradła?

Skąd w niej ta nagła zmiana? - zaniepokoił się Mitch.

- Sam później je wezmę. Chyba jeszcze trochę popatrzę na światła. Ale ty, jeśli chcesz, możesz iść. Chyba że potrzebujesz mojej pomocy.

- Skoro weszłam na te schody, to jakoś zejść na dół. Znow była dumną księżniczką.

- Dobranoc.

- Dobranoc.

Kiedy ucichł odgłos jej kroków i usłyszał trzask zamykanych drzwi sypialni, Mitch podszedł do okna. Oparł się o framugę i patrzył na tysiące ludzi spacerujących wokół Plazy, oglądających świątecznie udekorowane wystawy, słuchających muzyki, cieszących się rozpoczęciem świątecznego sezonu.

Chodzili parami albo całymi rodzinami.

A on stał tu w oknie. Sam.

Wciąż podniecony po pocałunku Casey, oparł czoło o chłodną szybę. Jak daleko posunęłyby się w przeprosinach za dzisiejszy poranek? Jak bardzo chciałyby go pocieszyć po tym, co usłyszała o jego rodzinie?

Takiej namiętności nie można udawać. Jej pocałunek był szczery. Jej czułość prawdziwa. Casey na pewno nie udawała, prawda?

Co z niego za idiota! Samotny, podstarzały, napalony idiota.

- Mitch!

Krzyk Casey zmroził jego krew.

- Mitch!

Pokonując po cztery stopnie naraz, zbiegł na dół. Po drodze sprawdził, czy w klapie ma podarowaną przez nią spinkę i pożałował, że od leżącego na kominku w bibliotece pistoletu dzieli go tak ogromna odległość.

- Casey!

Wpadł na nią w holu. Biegła ku niemu, jak on ku niej. Chwycił ją za ramiona i podtrzymał, kiedy się zachwiała. Dosłownie oparł ją o ścianę i zgiął nieco kolana, by móc spojrzeć jej w oczy.

- Co się stało, maleńka? Co się stało?

Panika w jej oczach i papierowa bladość skóry przeraziły go śmiertelnie. Ale stał tuż obok niej. I nie było to wspomnienie czegoś z przeszłości.

- Mów, Casey - szepnął, by nie przerazić jej jeszcze bardziej.

- Tam. - Wskazała ręką swój pokój. - Na toaletce. Właśnie szykowałam się do łóżka...

Mitch wpadł do pokoju. Casey natychmiast pobiegła za nim.

Okna w sypialni i w przyległej łazience były szczelnie zamknięte. Druga szuflada toaletki wysunięta. Na podłodze leżała brązowa koperta, a obok niej biała kartka papieru.

Mitch podbiegł, uklęknął i wziął ją do ręki.

- O Boże, jak on się tu dostał? - mruknął. Zaraz potem nastąpiła seria niecenzuralnych przekleństw. Przeklinał własną nieostrożność i drania, który przesłał Casey ten list.

Na zwyczajny biały papier naklejono wycięte z gazety zdjęcie Casey. Zrobiono je ponad dziesięć lat temu. Casey była na nim uśmiechnięta, w kostiumie kąpielowym, z medalem na szyi, rozpromieniona. Młoda, szczupła, pełna życia.

Ale jej twarz ktoś pociął na strzępy.

A pod fotografią napisał na komputerze kolejny wers dziecięcego wierszyka.

A to opuszczona biedna panienska, która umarła w domu, który zbudował Jack.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Casey skuliła się na krześle i niewidzącymi oczami wpatrywała się w leżące przed nią pismo. Po drugiej stronie biurka stał Joe Hendricks, podwładny Mitcha, i czarował kogoś przez telefon.

- Wiem, że jest święto, Elliot - mówił. - Ale, o ile dobrze pamiętam to co mi mówiłeś o kuchni swojej żony, chyba niewiele stracisz przeszukując dla mnie te kartoteki.

Casey skupiła się na trzeciej stronie pisma, na jej górnym prawym rogu. Próbowwała nie widzieć jeszcze dwóch policjantów wchodzących do biblioteki.

- Tak - Joe roześmiał się do słuchawki. - Zdecydowanie wolałbym widzieć w kostnicy ciebie niż siebie.

W kostnicy? Casey myślała, że zwariuje. Jej nerwy były w takim stanie, że wszystko kojarzyło jej się ze śmiercią i wszystko wywoływało przerażenie. Do tej pory przez cały wieczór posłusznie wypełniała kolejne polecenia. Kazano jej zostać w domu. W domu, do którego dostał się Emmett. Wysyłano ją z jednego pokoju do drugiego, zawsze w towarzystwie któregoś z policjantów, zawsze z dala od ścieżki, którą poruszał się w swym śledztwie Mitch. Chciał prześledzić szlak, jakim mógł się poruszać Emmett, odtworzyć zajęcia jej całego dnia i stwierdzić, dokładnie kiedy i jak facet się tam dostał.

Ta przymusowa bezczynność przypomniła jej czasy szkolne, kiedy to z powodu naderwania mięśnia barku musiała opuścić cały miesiąc treningu. Była wściekła, patrząc jak koleżanki poprawiają swoje czasy i wzmacniają formę, podczas gdy ona siedzi na ławce i może co najwyżej podawać im ręczniki. Wiedziała, że to wszystko dzieje się dla jej dobra, ale miała świadomość, że nic nie robiąc, tak samo nie osiągnie niczego.

O Boże, ależ pragnęła coś zrobić, cokolwiek, natychmiast, coś, co pomogłoby pozbyć się tego niesamowitego strachu! W szkole lekarz drużyny zapewniał ją, że wróci do zdrowia i do pływania, że to tylko kwestia czasu. Ale teraz niczego nie była pewna. Wątpiła, czy Emmett Raines kiedykolwiek zniknie z jej życia.

Drgnęła, kiedy ktoś głośno zatrzasnął frontowe drzwi.

- Hej, przestań wreszcie!

Dopiero wówczas, kiedy Joe zasłonił słuchawkę i spojrzał na nią zdziwiony, uświadomiła sobie, jak głośno jej lewa noga stuka w krzesło.

- Co przestań? Przecież nic nie robię!

Ton jej głosu, ostry, nieprzyjemny, jej samej się nie spodobał.

- Przepraszam. Nie chciałam ci przeszkadzać.

- Nie ma sprawy - rzekł, ale wyraźnie nie był tego pewny. Nadal patrzył na nią zatroskany. Machnęła więc ręką i zdobyła się na uśmiech.

- Dziennikarz, tak?

- Stary przyjaciel. - Joe z ulgą przyjął zmianę tematu, ale nie spuszczał z niej wzroku. - Mam do niego zaufanie. Od lat podsuwam mu różne informacje, ale zawsze mogę liczyć na jego dyskrecję.

Casey nie mogła sobie przypomnieć ani jednego dziennikarza, którego mogłaby nazwać dyskretnym. Wszyscy szukali jakiegoś nowego aspektu starej historii i zamęczali pytaniami, zupełnie nie szanując jej prywatności.

- Skoro tak mówisz... - mruknęła. Nie wierzyła mu, ale wolała nie dyskutować.

- Czy mam zawołać Mitcha? - Joe wyraźnie bardzo serio traktował zleczone mu zadanie. Miał pilnować jej jak oka w głowie.

- Nie!

To Mitch sprawił, że jej dziwny, ale jakoś uporządkowany świat zachwiał się w posadach. Choć się wzbraniała, dotarł jakoś do niej, zmniejszył jej ból siłą swoich ramion i namiętym pocałunkiem. Sprawił, że znów zaczęła czuć. Czuć ból. Tęsknić za tym, czego mieć nie mogła.

Minęły prawie dwie godziny od chwili, kiedy otworzyła tę kopertę i straciła wszelką nadzieję, że jej życie kiedykolwiek wróci do normy. Wściekłość i strach, jakie wtedy poczuła, trochę zmalowały, ale nie wspomnienie słów Mitcha: „Chcę cię pocałować”, nie wspomnienie jego pieszczot.

- Nie, nie potrzebuję Mitcha.

Czegoś jednak potrzebowała. Czegokolwiek. To czekanie było nie do zniesienia. Ekipa Mitcha przejęła jej dom, przeszukując go od piwnic po dach, dla bezpieczeństwa stale usuwając ją z drogi. Czuła, że straciła kontrolę nad swoim życiem.

- Napijesz się kawy?

Nie było to wiele, ale przynajmniej czymś by się zajęła. Odsunęła krzesło i wstała.

- Coś mi mówi, że dziś nikt z nas wcześniej się nie położy.

Joe uśmiechnął się i nareszcie przestał jej się przyglądać z taką czujnością.

- Nie odmówię.

- Ale ostrzegam, że parzę bardzo mocną kawę.

- Jestem gliną - zaśmiał się Joe. - Dla nas żadna nie jest za mocna.

Wdzięczna mu była za poczucie humoru, na jakie zdobył się w takiej trudnej sytuacji. Czuła się winna, że przez nią nie może spędzić świąt z rodziną. Ale równocześnie cieszyła się, że ma przy sobie tego wieczoru kogoś tak spokojnego i pogodnego jak on. Przydałoby jej się więcej takich przyjaciół jak Joe. Bo tak się przy nim czuła - jakby był jej starym przyjacielem.

I dzięki niemu rzadziej myślała o Mitchu.

Teraz, kiedy w końcu miała coś do roboty, od razu odzyskała panowanie nad sytuacją.

- Już się robi.

- Nie żałuj cukru - poprosił Joe, kiedy go mijiała. - Może i szkodzi na żołądek, ale nie dbam o to.

- Masz to jak w banku.

Joe wrócił do rozmowy z dziennikarzem. Starał się znaleźć źródło, z którego pochodził przysłany przez Emmetta wycinek. Casey poinformowała go, kiedy mniej więcej zdjęcie mogło być zrobione. Żeby jednak podać mu konkretne źródło, musiałyby przejrzeć własne zeszyty z wycinkami, a większość jej pamiątek związanych z karierą pływacką zamknięto w nie używanym skrzydle domu, gdzie leżały pokryte kurzem i pajęczyną. Kumpel Joe'ego z „Kansas City Star” gwarantował zdecydowanie szybszą odpowiedź.

Choć kuchnia nigdy nie była jej ulubionym pomieszczeniem, tylko tu, przynajmniej przez chwilę, mogła się poczuć swobodnie, z dala od czujnych spojrzeń trzech policjantów, którzy zjawili się w jej domu pół godziny po telefonie Mitcha. Stojąc przy zlewie, widziała światła trzech latarek, penetrujących okolice basenu. Kiedy dwa z nich zawróciły w stronę domu, cofnęła się szybko. Znowu poczuła się śledzona.

Nie mogła powstrzymać wspomnienia błyskających wokół czerwonych i niebieskich świateł, kiedy sanitariusze wnosili ją na noszach do izby przyjęć szpitala św. Łukasza. Odurzona środkami przeciwbólowymi, półprzytomną oślepiały flesze reporterów, walczących o najlepsze zdjęcie okaleczonej córki sędziego.

Poczuła bolesny skurcz w żołądku. Chwyciła się blatu, żeby podtrzymać kontakt z realnym światem i mocno zacisnęła powieki, żeby zmazać ten przerażający obraz.

- Myśl o terażniejszości. Tylko o terażniejszości - powtórzyła jak mantrę słowa swego psychoterapeuty.

Uniosła odrobinę powieki i skupiła się na bulgoczącym ekspresie do kawy. Zwyczajne odgłosy wody przepływającej przez filtr podziały na jej zmysły jak balsam.

- Myśl o terażniejszości.

Stopniowo zwolniła zaciśnięte ręce i przeniosła wzrok na nóż, którym wcześniej kroić ciasto. Podeszła do zlewu, tym razem nie patrząc już w okno, i umyła go pod gorącą wodą. Dopiero teraz mogła normalnie oddychać.

- Myśl o terażniejszości.

Usłyszała otwieranie i zamykanie drzwi do garażu, a potem czyjeś kroki i szmer głosów.

- Jak Merle zabije wejście do tunelu, postawcie tam straż.

- Tak jest!

Rozmowa urwała się, kiedy policjanci weszli do kuchni. Casey zakręciła kran i sięgnęła po ścierkę.

- Gdzie Joe?

Niski głos Mitcha odezwał się tuż za nią. Zadrżała i nóż z łoskotem wpadł do zlewu.

- Żyję tu i teraz - szepnęła do siebie. - Rozmawia przez telefon w bibliotece - dodała głośno.

Nareszcie. Nareszcie jej głos brzmiał znów normalnie. Sięgnęła po nóż.

- Nie powinien zostawiać cię samej. - Głos Mitcha był lodowaty.

Casey mocno zacisnęła rękę na trzonku noża i odwróciła się do niego.

- A co to za różnica? Ty byłeś ze mną przez cały czas, a Emmett i tak się włamał do mojego domu.

- Casey...

Jej ręce drżały - za strachu, ale i ze złości.

- Miałeś mnie chronić, ale nie ochroniłeś. Ani Steven. Ani ty.

- Nawet nie wiesz, jak mi z tego powodu przykro.

- Przykro!

Mitch ledwo dostrzegalnie kiwnął głową, a towarzysząca mu drobna policjantka opuściła kuchnię.

- Przyznaję, spieprzyłem dziś sprawę. Ale podejmuję odpowiednie kroki, by to naprawić.

- Naprawić? Emmett był w moim pokoju. - Casey akcentowała każde słowo machnięciem reki. Mitch ostrzegawczo zmrużył oczy, ale celowo to zlekceważyła. - Byliśmy w domu, a on wszedł do mojego pokoju.

Dzieląca ich odległość zniknęła w ułamku sekundy. Poczowała ból w nadgarstku, zanim jeszcze zorientowała się, że to dłoń Mitcha. Wykręcił jej rękę i wyrwał nóż.

Dopiero wtedy dotarło do niej, że go zaatakowała. Oстрыm kuchennym nożem. Tak jak Emmett! Zrobiło jej się niedobrze.

- Nie chciałam cię skrzywdzić. - Słowa przeprosin zabrzmiały głośno w ciszy panującej w pomieszczeniu.

- Wiem. - Mitch podniósł nóż i schował go do szuflady. - Muszę ci powiedzieć, że to bardziej zrozumiała dla mnie reakcja niż odgrywanie wyniosłej księżniczki, którą naśladowałaś do tej pory. Zasłużyłem na ochrzan. A ty byłaś taka słodka i uprzejma, że zacząłem się o ciebie martwić. Teraz, kiedy zaczęłaś być sobą, czuję się dużo lepiej.

Zauważyła, że próbuje odwrócić jej uwagę, ale nie była jeszcze w stanie żartować.

- Przepraszam - wyjąkała zawstydzona i odwróciła się do zlewu.

- Nawet nie myśl o przeproszaniu. Masz prawo czuć to, co czujesz.

Poczowała, że staje tuż przy niej. Poczowała zapach mrozu, którym przesiąknięta była jego kurtka. Szerokie ramiona, w

których już raz instynktownie szukała pomocy, zasłoniły jej widok. Chciała zaprzeczyć i jeszcze raz znaleźć ukojenie w jego objęciach. Nie mogła.

Zawiódł ją. Choć czuła się przy nim bezpieczna, mimo wszystko jednak ją zawiódł.

- Emmett był w moim domu. W moim pokoju. Grzebał w moich rzeczach:

Mówiła o Emmecie, jakby to tłumaczyło wszystko, co się w niej działo. Było to jednak tłumaczenie, które Mitch zdawał się rozumieć.

- Przykro mi, że do tego dopuściłem. Nie mogę się pogodzić z myślą, że znów się boisz.

- Nic na to nie poradzę. Ten szalenciec jest na wolności. Po chwili milczenia Mitch wziął ją za rękę. Delikatnie

masował zaczerwienione miejsce. Kiedy lewą ręką chciała go odsunąć i przerwać ten zadziwiająco uspokajający kontakt, przytrzymał tę rękę także.

- Jesteś zimna jak lód.

Poddała się i patrzyła jak zahipnotyzowana na jego silną, a równocześnie niewiarygodnie delikatną dłoń.

- A więc Emmett dostał się przez tunel łączący basen z domem?

Musiała wiedzieć. Może pomogłoby jej to zrozumieć, co się stało i żyć z tym dalej.

Mitch ani na chwilę nie przerwał masażu. Odpowiedział jej z typową dla policjanta finezją.

- Odchylił kilka z tych desek, które przybił Ben. Potem poszedł zamkniętym korytarzem pod schodami, o którym mówiła nam Frankie. Dotarł do garderoby przy twojej sypialni. Nie przypuszczam, żeby w ogóle był w głównej części domu.

- Jakim zamkniętym korytarzem? - Casey wyrwała mu z dłoni swoje ręce i odsunęła się.

- Myślałem, że znasz ten stary dom jak własną kieszeń.

- Schody ukryte za kuchenną ścianą prowadzą na piętro. Wzdłuż parteru nie ma niczego. - Casey rozejrzała się po nowoczesnej kuchni. Zastanawiała się, w jakich jeszcze labiryntach czy nie znanych zakamarkach Emmett może się ukrywać.

W oczach Mitcha zauważyła te same podejrzenia.

- Razem z Merlem próbowaliśmy odtworzyć drogę do twojej sypialni.

Casey skuliła ramiona, czując, że ogarnia ją chłód, który jego dłonie na moment rozproszyły.

- Muszę się stąd wydostać. Nie wytrzymam ani chwili dłużej w tej śmiertelnej pułapce.

- Jeszcze dziś cię stąd zabiorę. Obiecuję. - Mitch położył jej ręce na ramionach. - Wyniesiemy się stąd, jak tylko wszystko tu zabezpieczymy. Zostawię tylko Joego. Niech nadzoruje pracę ekipy śledczej.

Desperackim gestem Casey chwyciła go za klapy kurtki. Chciała, żeby zrozumiał, iż ona naprawdę nie może tu zostać. Ani chwili!

- Czemu nie możesz mnie zabrać już teraz? Dlaczego nie możemy gdzieś wyjechać, zniknąć gdzieś za miastem? Czy nie możemy znaleźć jakiegoś hotelu?

- Nie wyjedziemy stąd, dopóki nie znajdę dla ciebie jakiegoś naprawdę bezpiecznego miejsca. Moi przyjaciele już czegoś szukają.

- A co mam robić teraz? Czekać na ciebie i twoich przyjaciół? Robię to już siedem lat, żeby wreszcie poczuć się bezpiecznie! Nie wytrzy...

- Księżniczko!

Uciszył ją jego głęboki, poważny głos. Zwróciła uwagę na jego usta. Męskie. Bardziej kuszące niż obietnica bezpieczeństwa.

- Będiesz bezpieczna. Ale musisz we mnie uwierzyć. Powinna się odsunąć, kiedy tylko uświadomiła sobie jego intencje. Zdrowy rozsądek i instynkt samozachowawczy, niestety, zawiodły.

Zamiast tego mocno chwyciła go za klapy marynarki i nie zaprotestowała, kiedy jego usta dotknęły jej warg. Tym razem całował ją delikatnie i uspokajająco, jakby prosił, by mu zaufała.

- Taylor! Co ty wyprawiasz z moją dziewczynką?

Casey drgnęła jak oparzona. Mitch zeszywniał.

- Jimmy? - Poznała głos intruza, ale wydawał się zupełnie nie na miejscu. Wuj był ostatnią osobą, której się tu teraz spodziewała.

- Wytlumaczę się później, komisarzu. Nie powinniśmy już więcej kłopotać Casey.

I całe szczęście.

Casey podbiegła do wuja.

- Jak się cieszę, że cię widzę. - Objęła go w pasie i wtuliła twarz w jego marynarkę. - Naprawdę.

- Cassandro. - Komisarz poklepał ją po plecach. - Słyszałem, że mieliście jakieś problemy.

- Emmett tu był! Odkrył stary tunel i dostał się do mojego pokoju, kiedy my byliśmy na górze.

Materiał marynarki wuja pachniał koniakiem i drogimi cygarami. Casey chciała pozostać w tym ojcowskim uścisku i zapomnieć raz na zawsze o tym, co ciągnęło ją do Mitcha. Jimmy jednak obrócił ją ku niemu i objął ją ramieniem.

- To tak się nią opiekujesz? - warknął wrogo przez zaciśnięte zęby.

Obaj mężczyźni stali teraz naprzeciwko i nie spuszczaali z siebie wzroku.

Co się dzieje? - zaniepokoiła się Casey. Przecież obaj są policjantami z tej samej komendy. Czyż nie są po tej samej stronie? Po jej stronie?

- Myślę, że teraz już wszystko jest pod kontrolą - powiedziała uspokajająco.

- Wyznaczyłem cię do tej roboty, Taylor - mówił dalej Jimmy, jakby w ogóle jej nie słyszał. - A nie po to, żebyś wszystko sknocił. Czy zdajesz sobie sprawę, że w związku ze styczniowymi awansami cały czas jesteś pod obserwacją?

Mitch zignorował tę złośliwą uwagę. Zignorował też próbę załagodzenia sytuacji przez Casey.

- Czy wie pan jaki dziś dzień, komisarzu? - spytał.

- Dzień, w którym omal nie byłem zmuszony ukarać cię za niesubordynację.

- Jimmy! - Casey puściła wuja i stanęła obok Mitcha. Dopiero teraz zdała sobie sprawę z obecności zgromadzonych w progu widzów, policjantów: Joe Hendricksa, Ginny Rafferty, Merle'a Banninga i...

- Iris.

Asystentka wuja, ubrana w futro z norek, wyglądała bardziej na jego narzeczoną niż sekretarkę. Była kobietą po pięćdziesiątce, z idealną cerą.

- James się zaniepokoił, kiedy przekazałam mu twoją wiadomość na przyjęciu u gubernatora. Wyszedł prawie natychmiast. Nic ci się nie stało?

Casey pokręciła głową.

- Otrzymałam tylko list. Emmett się z nami bawi. Jeszcze nie chce się pokazać.

Jakaś trudna do sprecyzowania myśl pojawiła się w jej głowie i zanim zdążyła ją zrozumieć, zniknęła.

- To tam pan był, komisarzu? - Niski, ostry głos Mitcha przywrócił ją do rzeczywistości. - Zamiast spędzać święta z

najbliższymi? Albo chociaż zadzwonić i sprawdzić, czy Casey nic nie jest? Dziwnie łatwo pan o niej zapomina.

- Ja pracuję, Taylor! Staram się zdobyć fundusze, jeśli tak cię to interesuje - odparł Jimmy.

- James, gubernator czeka.

Ubrana w rękawiczkę dłoń Iris spoczęła na ramieniu komisarza.

- Detektywie Banning, czy to wy wpuściliście komisarza i panią Webster przez bramę? - spytał Mitch, ani na moment nie spuszczać wzroku z Jimmy'ego.

- Nie.

Mitch szedł do przodu, akcentując każde słowo kolejnym krokiem.

- To wobec tego jak się pan tu dostał?

- Mam kartę elektroniczną, otwierającą bramę do całej posiadłości. Przecież muszę dbać o bezpieczeństwo Casey.

Mitch zatrzymał się kilkanaście centymetrów od niego. Między nimi stała Casey, ale żaden z nich jej nie zauważył.

- Mitch! - syknęła ostrzegawczo.

- Ile takich kart pan ma? - spytał. - Wydawało mi się, że swoją mi pan dał wówczas, kiedy miałem tu zajrzeć we wtorek.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - warknął przez zaciśnięte zęby Jimmy.

- Dodatkową trzymamy w sejfie w naszym biurze. Na wszelki wypadek. Na przykład taki jak ten - odezwała się pośpiesznie Iris.

- Spodziewał się pan czegoś takiego? I nie uważał pan za stosowne mnie o tym poinformować?

- Gdybyś właściwie wykonywał swoją pracę, nie byłoby powodu w ogóle poruszać sprawy dodatkowych kluczy do tej posiadłości. - Komisarz nachylił się w stronę Mitcha, zmuszając Casey, by się usunęła. - Dałem ci to zadanie jako

szansę, żebyś się sprawdził, a ty wszystko spieprzyłeś. Żałuję, że cię popierałem...

- Dosyć! - krzyknęła Casey. Wyprostowała się i palcem stuknęła pierś Jimmy'ego. - Twoja troska o moje dobro jest wzruszająca. Wracaj na swoje przyjęcie. Skoro nie przyszedłeś tu, żeby mnie zobaczyć, to nie potrzebuję tu nikogo.

Jimmy otworzył szeroko usta i, chyba pierwszy raz w życiu, zaniemówił. Mitch skinął głową w stronę holu.

- Słyszał pan, co mówi panna Maynard. Nie chce pana tutaj widzieć.

Casey natychmiast z furją rzuciła się na niego.

- A ty... - Jego też stuknęła palcem w pierś. - Dobrze wiem, że wcale nie kłóćcie się o mnie. Nigdy więcej nie mów za mnie! Sama dam sobie radę. Tylko moje ciało jest kalekie, rozum zaś mam w porządku.

Ten gwałtowny wybuch przyniósł jej ulgę. Kiedy po chwili znów się odezwała, jej głos był dużo spokojniejszy.

- Jeśli macie ochotę, możecie kłócić się dalej, ale ja jak na jeden wieczór mam dość popychania i usuwania na bok.

- Nie chciałem.

- Cassandro...

Ignorując ich obu, zdecydowanym krokiem wyszła do holu. Dopiero wtedy zwolniła i odetchnęła z ulgą. Ręką przeczesła potargane włosy. Wydawało jej się, że słyszy głos matki, karcącej ją za to, że straciła nad sobą panowanie. Zaraz potem stanął jej przed oczami ojciec. Puścił do niej oko, jakby gratulował zdecydowania. Z pewną satysfakcją pomaszerowała do biblioteki.

Stanąła przy oknie i patrzyła na pusty ogród, dla bezpieczeństwa oświetlony. Co za ironia... Nie zdało się to przecież na nic. Emmett wszedł tu mimo to. Miała na sobie sweter, ale drżała. Nie tylko z zimna.

Jak mogła być tak nieszczerą z samą sobą? Przyznawała się do swoich lęków przed światem, ale nie próbowała z nimi walczyć, lecz kryła się za murami z żelaza i kamienia. Kiedy dowiedziała się, że dla Jimmy'ego jest tak mało ważna, było jej przykro, ale próbowała go usprawiedliwić, bo był przecież jedyną jej rodziną.

Kiedyś przysięgła sobie, że nigdy nie straci czujności. Przy Mitchu o tym zapomniała. Szukała u niego ukojenia, ale i czegoś więcej. Czegoś, czego w swoim stanie w ogóle nie powinna się spodziewać.

Trudno, na jakiś czas musi przekazać mu kontrolę nad swoim życiem.

Ale nigdy nie odda mu kontroli nad swoim sercem. Ledwo to postanowiła, usłyszała uwodzicielski, zmysłowy głos Mitcha.

- Nic złego mnie nie spotka, jak wejść?

Stał w progu, pochylony, z poszarzałą twarzą, wyraźnie zmęczony. Nie zamierzała utrudniać mu pracy. Byle tylko udało jej się zapanować nad uczuciami...

. - Jimmy i Iris już poszli?

- Parę minut temu. Kazałem Merle'owi zamknąć za nimi drzwi.

- Wszystko gotowe do drogi. Czekamy tylko na ciebie, stary. - Joe wsunął głowę przez drzwi.

- Dzięki.

Porucznik zniknął, a Mitch przekroczył próg, zachęcony brakiem odpowiedzi na swoje pytanie.

- Poprosiłem Ginny, żeby spakowała ci kilka rzeczy.

- Spakowała? A więc wreszcie dokądś jadę?

- W bezpieczne miejsce. Tak trzeba było zrobić już dawno.

- Przygotowane przez twoich przyjaciół?

Przyjął jej ironię bez protestu, jakby czuł, że zasłużył sobie na karę.

- Przez przyjaciół, którzy nie są gliniarzami. Może będziesz więc mogła im zaufać.

Smutek w jego oczach kazał jej pożałować tych drwin.

- Chcę ci ufać.

- Ale mi nie ufasz - stwierdził po prostu. - To twój wybór. Ja mimo to wykonam swoje zadanie. - Westchnął ciężko i uśmiechnął się. Blado, słabo, niewesoło. - Teraz będziemy robić tak, jak ja każę. Mam już dość gierk komisarza.

- Moje życie to nie gra.

- Właśnie.

Casey przez chwilę się wahała. Zgodzić się czy nie? Nie chciała, by Mitch ją zranił. Ale przecież pragnęła ocalić życie.

- Dokąd mnie zabierzesz?

- Do siebie. - Mitch ponurym spojrzeniem omiół pokój. Casey przypomniała sobie jego kąśliwe uwagi o „wyższych sferach”. - Proszę cię, żebyś porzuciła luksusy tego mauzoleum i przeniosła się ze mną do mojego domu.

- To może być niebezpieczne dla twojej rodziny.

- Ludzie, których nazywam rodziną, są twardzi i sprytni. Ani ty, ani twój „wujek Jimmy” nie dorastacie im w tym względzie nawet do pięt. Wuj Sid prowadzi sklep mięsny i kiedy wraca do domu, śmierdzi zwierzęcym łojem. - W jego oczach było wyraźne ostrzeżenie. - Nawet nie próbuj wyśmiewać się z człowieka, który uczciwą pracą zarabia na życie! Ale za to zawsze wie, gdzie spędzam wolny czas. I na pewno nie wysłałby kogoś obcego, by za niego pilnował jego bliskich, kiedy groziłoby im niebezpieczeństwo.

Jego słowa bolały. Bolała sugestia, że ona mogłaby patrzeć z góry na członków jego przyszywanej rodziny. Czy naprawdę uważa ją za taką księżniczkę z kawałkiem lodu

zamiast serca. Ale dlaczego chce ją zabrać do siebie, do swojego domu?

- No nie wiem - powiedziała z wahaniem. - Nie chcę tu zostać, ale.

- Nie masz wyboru.

A więc nie udało jej się pokazać mu, gdzie jest jego miejsce. A w każdym razie nie do końca. Jego autorytatywny ton wcale jej się nie spodobał. Potem jednak przypomniała sobie swoją własną radę. Może się wpakować nieproszony i przejąć kontrolę nad jej życiem. Ale nie sercem. Oczywiście, jeśli mu na to nie pozwoli.

Może jednak jej los jest, mimo wszystko, w jej własnych rękach.

- Pójdę pomóc Ginny w pakowaniu.

Mitch poprawił swój granatowy krawat, rozparł się w fotelu i rozejrzał dokoła. Pierwszy Bank Rolny w centrum Kansas City wyglądał całkiem przyzwoicie. Skórzane meble i mosiężne ozdoby świadczyły o zamożności i tradycji. Sam budynek o dobre dziesięć pięter przewyższał niewielki bank, w którym Mitch ulokował swoje pieniądze. Miało się wrażenie, że pożyczek udziela się tu tylko sprawdzonym i zamożnym klientom.

Przedstawiciel klasy robotniczej, zarabiający na życie ciężką pracą, na pewno nie byłby tu mile widziany. Mitchowi udało się sforsować drzwi przy pomocy identyfikatora, a dzięki wysokiej randze w policji przyjęto go bez uprzedniego umawiania. Czuł jednak, że gdyby przyszedł jako klient, a nie prowadzący śledztwo, potraktowano by go jako intruza, jako natręta, którego z uprzejmym uśmiechem należy jak najszybciej wyprowadzić.

W takim banku jak ten mógł mieć konto komisarz Reed. Casey czułaby się tu jak w domu. Miała stokroć więcej klasy niż cała ta armia uprzejmych urzędników w prążkowanych,

granatowych garniturach. Gotów był się założyć o miesięczną pensję, że gdyby się tu pojawiła, biliby się o to, kto ma ją obsłużyć.

Ale czemu myśl o tych wszystkich mężczyznach walczących o względy Casey przyprawiła go o skurcz żołądka? Zostawił ją śpiącą w jego mieszkaniu - w jego łóżku - długo przed wschodem słońca.

Wiedział, że pilnuje jej Merle Banning i jego najstarszy kuzyn, Brett Taylor, więc łatwiej mu przyszło ją zostawić i zająć się poważnym śledztwem, zamiast leżeć na kanapie w salonie i udawać, że śpi.

Rozmiar łóżka nie był tym razem problemem. Wszystko, co stanowiło skromne umeblowanie, zrobione było na wymiar Mitcha. Delikatne pochrapywanie wyraźnie zmęczonej Casey nie pozwalało mu zasnąć. Wciąż miał przed oczami jej obraz, kiedy wparadowała w jednej z jego flanelowych koszul z zapytaniem, czy Ginny zapakowała jej szlafrok.

Zupełnie nieświadoma tego, jak działa na niego widok jej ciała, jej oczu, uśmiechu, złotych włosów.

Musiał coś powiedzieć albo zmienić wyraz twarzy, bo nagle oblała się rumieńcem. Z początku myślał, że z zawstydzenia. Potem jednak dotarło do niego, że odwróciła się, żeby ukryć przed nim swoją kaleką nogę. Nie ufała mu.

Cieszył się, że jest w jego domu. Że śpi w jego koszuli. Szkoda, że to tylko chwilowe rozwiązanie. Casey nigdy nie będzie pasowała do jego świata. Ani on do jej.

- Chłopaki z przedmieścia i księżniczki z wyższych sfer nigdy nie będą mieli ze sobą nic wspólnego.

Przypomniawszy sobie tę okrutną uwagę, którą kiedyś usłyszał z ust Jackie, kiedy oskarżył ją o romans. Parę godzin później opuściła podmiejski dom, który dla niej kupił i przeniósł się do eleganckiej willi kochanka.

Wbrew rozsądkowi pragnął Casey. Chciał jej dotykać, czuć całym ciałem. Trzymać ją w objęciach. Kochać. I być przez nią kochanym.

- Detektyw Taylor? - pytanie zadane przez jednego z urzędników banku wyrwało go z tych pięknych, choć nigdy nie mających się spełnić marzeń.

Zaklął pod nosem i po chwili znów był policjantem. A właśnie policjantom Casey najtrudniej było zaufać.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Utwierdzony w swej nie najlepszej opinii o tym banku i jego pracy, Mitch wstał, by przywitać się z urzędnikiem z referatu pożyczek.

- Kapitan Taylor - poprawił referenta, ujmując jego twarą, pokrytą odciskami, ale wymanikiurowaną dłoń.

Dziwne, pomyślał. Albo facet jest nowym nabytkiem tego eleganckiego banku, albo ma jakieś szczególne hobby, na przykład stolarkę.

- Przepraszam. Jestem David Zimmer. Sekretarka poinformowała mnie, że ma pan do mnie kilka pytań.

Serdecznym, zapraszającym gestem wskazał Mitchowi krzesło.

Mitch rozpiął marynarkę i wrócił na miejsce. Pan Zimmer był mężczyzną w nieokreślonym wieku. Z oczami przysłoniętymi grubymi okularami w drucianej oprawce, mógłby mieć zarówno trzydzieści jak pięćdziesiąt lat. Porządnie ostrzyżone blond włosy i szczupła, w dobrej formie figura też niewiele więcej o nim mówiły.

Mitch zapamiętał sobie to pierwsze wrażenie, ale na głębsze zastanawianie się nie miał czasu.

- O ile dobrze zrozumiałem, to pan był w tym roku odpowiedzialny za wysyłanie w imieniu banku próśb o wsparcie inicjatyw charytatywnych?

- Tak. Przygotowałem listę. Zaakceptowałem treść wysyłanego listu. Koordynowałem wykonanie przez naszych urzędników. W tym roku nawet sam przygotowałem kilka kopert. Grypa nas w tym miesiącu porządnie dziesiątkowała i chwilami mieliśmy poważne problemy z personelem.

Mitch wyciągnął notatnik i coś w nim zapisał.

- Pan też miał grypę?

- Nie było mnie przez kilka dni - odparł Zimmer. - Poczte wysyłano podczas mojej nieobecności.

- Czy kiedy wkładał pan listy do kopert, miał pan z kimś kontakt? Może zajrzał do pana któryś z urzędników? Albo klient?

Zimmer sięgnął po kalendarz i przez chwilę studiował daty. Mitch oparł nogę o nogę i studiował Zimmera. Facet może i od niedawna pełni tę funkcję, ale już jest mistrzem w ukrywaniu prawdziwych myśli i odpowiedzi pod uprzejmym, zawodowym uśmiechem. Jak wytrawny polityk wiedział już, jak powiedzieć gliniarzowi to, czego chce, nie ujawniając nic ponad to, co konieczne.

- Popatrzmy... - Zimmer wskazującym palcem stuknął w notes. - W poniedziałek zjawił się u mnie jakiś dziwny człowiek. Prosił o kredyt, ale musiałem mu odmówić. Nie przedstawił wystarczającego zabezpieczenia.

- Czy to ma jakiś związek z wysyłaniem tych listów? Bankowiec wzruszył ramionami.

- No, cóż, właśnie tym byłem zajęty, kiedy wszedł. Z pozoru był bardzo uprzejmy, ale kryła się za tym wyraźna ironia i sarkazm. Zastanawiałem się, czy nie wezwać ochrony, ale nie wydał mi się w gruncie rzeczy groźny. Odszedłem na moment od biurka, żeby naradzić się z Ronem.

- Ron Cambridge, szef działu kredytów, tak? - Mitch spojrział w notatki.

- Jest odpowiedzialny za kredyty osobiste - uściślił Zimmer i odłożył kalendarz.

- Ma pan nazwisko tego klienta? Zimmer przekartkował inny notes.

- John Darling - odparł.

Mitch przypomniał sobie, co opowiedziała mu Casey o sposobie działania Rainesa. John Darling może wcale nie być żadnym Johnem Darlingiem, lecz samym Rainesem. Zapisał podane nazwisko, bo chciał, żeby Ginny przejrzała listę osób

zaginionych. Uznał, że tu już niczego więcej się nie dowie. Pozostało mu tylko jeszcze jedno pytanie.

- Czy mógłbym zobaczyć pańskie zapiski na temat Darlinga?

- Obawiam się, że będzie pan musiał złożyć tę prośbę w formie podania.

Boisz się o swój tyłek, co? - pomyślał Mitch. Na głos powiedział jednak coś zupełnie innego.

- Czy, pańskim zdaniem, mógł zajrzeć do którejś z tych kopert pod pańską nieobecność?

Zimmer przez chwilę się zastanawiał.

- Podejrzewam, że tak. Ale pewności, oczywiście, nie mam. Koperty zalepiano dopiero na poczcie. Po drodze było wiele okazji, by ktoś mógł do nich, jak się pan wyraził, zajrzeć.

Mitch kiwnął głową. Zimmer miał rację. Może szuka po omacku i w zupełnie niewłaściwym miejscu, ale przecież Raines w jakiś sposób dotarł do tej prośby o wsparcie przeznaczonej dla Casey i dołączył do niej swoją groźbę. Czy było to wynikiem przypadku, czy też jego zimnej kalkulacji?

W to pierwsze jakoś trudno było Mitchowi uwierzyć. Nie skończył jeszcze śledztwa na terenie banku, ale chwilowo miał zdecydowanie dość tego gryzipiórka. Wstał, schował do kieszeni notes i pióro i sięgnął po płaszcz. Z marynarki wyjął służbową wizytówkę i podał ją Zimmerowi.

- Jeśli przypomni się panu coś podejrzanego z minionego tygodnia, proszę zadzwonić. Przyślę do pana naszego specjalistę od portretów pamięciowych. Opisz mu pan tego Darlinga.

Zimmer także się podniósł.

- Mam nadzieję, że przekaże pan panie Maynard nasze wyrazy ubolewania. Czuję się częściowo odpowiedzialny za ewentualne niewygody, które jej ta przesyłka sprawiła.

Niewygodny? - pomyślał. Szok i przerażenie, do których duma nie pozwoliła jej się przyznać, były bardziej adekwatnym określeniem reakcji Casey na te już dwie przesyłki.

Zamiast tego odpowiedział jak typowy policjant.

- Panna Maynard czuje się zupełnie dobrze.

Zimmer uśmiechnął się uprzejmie i przez biurko wyciągnął do niego rękę.

- Miło mi to słyszeć. Może pan liczyć na moją dalszą pomoc.

Mitch zachował dla siebie opinię o dotychczasowej pomocy Zimmera, uścisnął jego dłoń i ruszył ku windom. Dopiero w samotności pustej kabiny pozwolił sobie na sarkazm. Zasada numer sześć w jego prywatnym kodeksie mówiła, że dobry policjant nie powinien ufać komuś tak układnemu jak Zimmer. A Mitch zawsze bardzo tego kodeksu przestrzegał. I Zimmerowi nie ufał ani na jotę.

Czuł, że coś jest nie tak w tym banku. Nie lubił jednak po prostu wyciągać wniosków. Ale był cierpliwy. Potrafił długo czekać.

Modlił się tylko, żeby Casey nie zabrakło cierpliwości na to czekanie.

Wjeżdżając na parking pod domem, Mitch zatrzymał się tylko na moment, by wymienić spojrzenia z umundurowanym policjantem, spacerującym po chodniku. Nie przerywając przechadzki, najmłodszy z jego kuzynów, Joshua Taylor, skinął głową.

Mitch musiał się trochę potrudzić, żeby przydzielono Joshowi ten teren, ale w swojej dzielnicy, wśród rodziny, był dużo spokojniejszy o bezpieczeństwo Casey. W jej ogromnej rezydencji nie mogło o tym być mowy.

Pilotem zamknął za sobą drzwi garażu i wyłączył silnik. Przez chwilę siedział bez ruchu i w zamyśleniu tarł czoło. Był

nie ogolony, przydałby mu się gorący prysznic i jakieś dziesięć godzin nieprzerwanego snu. W takim stanie nie powinien się raczej pokazywać czekającej na górze eleganckiej damie.

Jednym z jego najwcześniejszych wspomnień z dzieciństwa był obraz matki witającej wracającego z pracy ojca pocałunkiem. Zawsze cieszyła się, że wraca cały i zdrowy, nie przeszkadzał jej kurz i pot, a czasem nawet krew na jego ubraniu. Przez kilka pierwszych miesięcy jego własnego małżeństwa Jackie też go tak witała. A potem nagle któregoś wieczora wrócił i jak zwykle chciał ją objąć, lecz ona odsunęła się od niego i kazała najpierw wziąć prysznic i zmienić ubranie. Kiedy zamiast munduru miał na sobie garnitur i krawat, odmówiła mu pocałunku.

Nie był na tyle dobry, by serdecznie witać go w jego własnym domu.

Pod koniec drugiego roku w ogóle nie było jej w domu, kiedy wracał.

- Cholera! - Mitch zdusił przekleństwo i sięgnął po leżącą na siedzeniu obok teczkę.

Przez prawie pięć lat jakoś się obywał bez kobiecego powitania. Casey ostatecznie zgodziła się zatrzymać u niego, ale tylko idiota miałby nadzieję, że taka kobieta jak ona kiedykolwiek padnie z radością w ramiona takiego mężczyzny jak on.

Jadąc windą na drugie piętro, Mitch przybrał minę policjanta. Miał dość kłopotów bez zastanawiania się nad własnymi potrzebami. Kosztem wszystkich innych spraw czekających na niego na komendzie, spędził cały dzień, pracując nad sprawą Rainesa. Spojrzał na zegarek - była dziewiąta trzydzieści.

Przekręcił klucz w zamku, otworzył drzwi i... powitały go salwy śmiechu. Głośnego, szczerego, radosnego. Zaskoczył go ten niespodziewany dźwięk, wypuścił z ręki klamkę.

- W samą porę, kuzynie. - Mężczyzna zbudowany jak on podszedł i zamknął za nim drzwi. Brett Taylor może nie był policjantem, ale interes jego rodziny był dla niego najważniejszy. Wystarczył jeden telefon Mitcha, żeby zgodził się mieć oko na Casey. Brett poklepał go po ramieniu. - Ona nas ogrywa do suchej nitki. Założę się, że to, co wyprawia, jest co najmniej nielegalne.

- Masz na myśli Casey? - Mitch odwiesił płaszcz i odstawił teczkę.

- A jest tu jakaś inna kobieta? - parsknął śmiechem Brett.

- Trzymaj się za portfel i nie daj się nabrać na jej spojrzenie niewiniątka.

Mitch wszedł za Brettem do jadalni. Podobnie jak wtedy, gdy niespodziewanie wchodził do stołówki na komendzie, nagle zapanowało milczenie. Spojrzał na Casey, ale nie dostrzegł w jej oczach niczego niewinnego. Policzki miała zarumienione od śmiechu, a minę taką... jak wówczas, kiedy patrzyła na światła Plazy. Minę, która zdruzgotała jego instynkt obronny.

W ułamku sekundy zmieniła się jednak i dostrzegł w jej spojrzeniu ostrożność i czujność. Tę samą, która kazała mu się trzymać od niej z daleka i pokazywała mu, gdzie jest jego miejsce. Udało mu się jakoś stłumić irytację. Spojrzał na leżącą na środku stołu kupkę drobnych monet.

- Uprawiasz hazard, Joe? - zwrócił się do mężczyzny siedzącego obok Casey.

- Wprost przeciwnie, rezygnuję z niego na zawsze. - Joe puścił oko do Casey. - Ona twierdzi, że nie grała od czasów szkolnych. Nie wierz jej. To szulerka.

Casey zrewanżowała mu się uśmiechem. Szerokim, pięknym uśmiechem, jakim nigdy nie obdarzyła Mitcha.

- Przecież gramy o śmiesznie niską stawkę. Czułbyś się lepiej, gdybym obiecała, że przeznaczę wygraną na jakiś cel charytatywny?

- Tylko wtedy, jeśli to ja będę tym celem.

Kolejny wybuch śmiechu sprawił, że Mitch poczuł się wykluczony z tego kręgu wzajemnej adoracji.

- Czy ja jeden w tym towarzystwie pamiętam, co się tu dzieje? Że chodzi o życie Casey?

- Odpręż się - odparł spokojnie Brett. - Nikt o niczym nie zapomniał. Patrol na dworze jest w pełnej gotowości i przez cały dzień Casey miała przy sobie któregoś z nas.

- Właśnie, uśmiechnij się, stary. - Joe wstał, obszedł stół i wskazał na zegarek. - Myślałem, że przyjdiesz wcześniej, żeby mnie zwolnić.

- Ugrzęzłem w papierach. Przeczytałem trzy różne wersje rysopisu Rainesa z zeznań świadków. Dowiedziałem się, że pracownik pralni, którego zabił w Jeff City, miał dwoje dzieci. A na bramie do posiadłości Casey nie ma śladu jakiegokolwiek majstrowania. Raines nie jest specem od elektroniki, a więc żeby się dostać do posiadłości, musiał mieć klucz i kod. Wszystkie klucze zlokalizowałem. Oprócz jednego. A zdobycie nakazu rewizji gabinetu komisarza jest tak samo realne, jak zdobycie wystarczających funduszy na funkcjonowanie komendy.

- Nie ma sprawy! Przyjechali moi teściowie, więc praca po godzinach mniej mi przeszkadza. Wyglądasz na wykończonego. Jadłeś coś dzisiaj?

Skrzypnięcie krzesła o podłogę zwróciło uwagę Mitcha na Casey. To przez jego wybuch jeszcze przed chwilą różowe policzki dziewczyny stały się kredowobiałe. A poczucie winy zawsze chłodziło jego furję.

- Myślisz, że Jimmy próbuje kogoś kryć? Powiedział już w jej obecności dużo więcej, niż powinien.

Przedstawienie wątpliwości i tak nie zmieni jej opinii o nim.

- Moim zdaniem ta cała sprawa śmierdzi. Począwszy od tego, że komisarz wyraźnie mnie napuścił. Na miłość boską, Casey, nie mieszkaś nawet na kontrolowanym przeze mnie terenie, a wezwał mnie, żebym do ciebie zajrzał.

- Może po prostu ci ufa. - Jej proste stwierdzenie dotarło do niego jak cios ostrym nożem, którym nieświadomie zaatakowała go minionej nocy.

- Nie mogę mieć stuprocentowej pewności, czy coś kombinuje - odparł. - Wiem tylko, że zbyt wiele rzeczy się tu nie zgadza. Przede wszystkim nie ma żadnego wiarygodnego powodu, żeby Raines na ciebie polował.

- Ale poluje.

Mitch stracił rodziców w wieku ośmiu lat. Spędził dzieciństwo w kiepskiej, niebezpiecznej dzielnicy, miał za sobą nieudane małżeństwo i śmierć na raka kobiety, którą kiedyś kochał. Nigdy jednak nie czuł się tak bezradny jak w tej chwili, kiedy patrzył w oczy Casey.

- Wiem. Ale na pewno się tego dowiemy i na pewno go złapiemy.

- To już słyszałam. - Casey wzięła laskę i wyprostowana, z dumnie uniesioną głową, podreptała w stronę kuchni. - Jeśli pozwolicie mi choć na chwilę samotności, wolałabym stąd wyjść. Podgrzeję potrawkę, którą przysłała wasza ciotka Martha. Nikt z nas wiele dziś nie jadł.

- Usiądź - rzekł Joe, kiedy zamknęły się za nią drzwi,

- Widzę, że czeka mnie wykład? - Mitch usiadł posłusznie, poluzował krawat i odpiął kołnierzyk koszuli. Joe i Brett zajęli krzesła naprzeciwko niego. Z pozoru był spokojny, lecz w środku zbierał siły na nieuniknione przesłuchanie.

- Nieźle cię trafiło, co?

Brett, potężny, z ciemnymi włosami opadającymi na ramiona, wyglądał jak miś. Mitch cenił jego poczucie humoru, ale wiedział też, że kuzyn nie przebiera w słowach i często mówi prosto z mostu o tym, co go gryzie.

Jego błękitne oczy przypominały Mitchowi ojca. Mitch Taylor senior i Sid Taylor byli braćmi. Oczy Bretta były tak samo przenikliwe.

- Wcale mnie to nie dziwi - ciągnął Brett. - To bardzo odważna kobieta. Musi taka być, skoro daje sobie z tobą radę.

Mitch chciał sięgnąć przez stół i chwycić go za szyję, bo tak zdenerwowała go jego spostrzegawczość. Zamiast tego rozparł się w krześle i przybrał swobodną pozę.

- Ja tylko wykonuję moją pracę.

- Akurat...

- Brett. - Joe uciszył go jednym spojrzeniem. Tak samo spojrzął na Mitcha. - My się tylko martwimy, że emocje mogą ci uniemożliwić trzeźwą ocenę sytuacji. Nie codziennie ściągasz pół komendy, żeby pilnowała twojej okolicy.

Mitch zrezygnował z próby wyparcia się uczuć do Casey. Zmusił się jednak do brutalnej szczerości co do oszacowania swoich ewentualnych szans.

- Jest bardzo podobna do Jackie. My, niestety, nie jesteśmy z jej podwórka.

- Nie ma w niej nic podobnego do Jackie. - Stanowcze stwierdzenie Bretta zabrzmiało jak wyzwanie. - To jej opinia czy twoja?

- A czy to ważne?

Przez chwilę wszyscy trzej siedzieli w milczeniu. Znali się od dzieciństwa i wiele ich łączyło, nie umieli więc długo się na siebie gniewać.

Pierwszy odezwał się Mitch.

- Im szybciej znajdziemy Rainesa i wsadzimy go za kratki, tym szybciej Casey będzie mogła wrócić do swojego życia, a ja do swojego.

Mitch zdjął marynarkę. Spinka sędziego Maynarda, którą Casey powierzyła mu w celach identyfikacyjnych, uderzyła o oparcie. Kiedy upadła na podłogę, oderwała się od niej kotwiczka. Mitch wstał, żeby ją podnieść, a Joe i Brett sprzątnęli ze stołu. Pokój nie był już rodzinną jadalnią, lecz swego rodzaju centrum operacyjnym.

- Przynajmniej wiemy, dlaczego uciekł. - Mitch przyczepił kotwiczkę z powrotem do spinki i położył ją na stole. Przekazał kuzynom informacje, jakie zdobył w stanowym więzieniu. - Bliźniacza siostra Rainesa, Darlene, odsiadywała wyrok za zabójstwo prostytutki. W przyszłym tygodniu miała wyjść warunkowo. W zeszły wtorek strażnicy znaleźli ją w łazience z widelcem między żebrami.

- O cholera! - Joe przełożył karty i pieniądze na stolik obok. - Zamordowano ją, tak?

- Właśnie. Nie wiedzą jednak jeszcze, na czyje zlecenie. Najwyraźniej zachęciło to Rainesa do ucieczki. Chce ją pomścić.

- A co Casey ma z tym wspólnego? - spytał Brett.

- Zabiłeś kogoś, kogo ktoś kocha. Więc on zabije kogoś, kogo ty kochasz. Oko za oko - to podstawowa zasada w przestępczym świecie. Jeśli wini sędziego za uwięzienie Darlene, to Casey jest oczywistym celem jego zemsty.

- Siostra Emmetta nie żyje? - Wyraźnie zaskoczona Casey stanęła w drzwiach. Trzej mężczyźni znieruchomieli. Czuli się winni, że dopuścili do tego, by podsłuchiwała ich rozmowę. - Mój ojciec ją skazał. To z tego powodu Emmett mnie zaatakował.

Kiedy usiadła, Mitch usiadł obok niej. Jako policjant cieszył się z nowych informacji w sprawie, jako mężczyzna

odetchnął z ulgą, że Casey jest jednak w stanie logicznie myśleć.

- Myślałem, że twój ojciec zrezygnował z kariery sędziego, bo byłaś ranna.

- Ojciec nie chciał poddać się jego żądaniom. Gdybym zdawała sobie sprawę ze wszystkiego, co się wtedy działo, na pewno bym się z nim zgodziła. - Mitch, niepomyślnie wcześniejszych postanowień, wziął ją za rękę i mocno uścisnął. Jakby chciał jej dodać sił do dalszej rozmowy. - Dzień po ataku na mnie tata skazał Darlene Raines na dwadzieścia lat więzienia. Zaraz potem, jeszcze na schodach sądu, ogłosił swoje odejście na emeryturę.

- A w drodze do domu twój ojciec i matka zginęli w wypadku.

Poczuł, że Casey drży. Chciał wziąć ją w ramiona i dać jej to ukojenie, którego już raz u niego szukała. Dostrzegł jednak w jej oczach nie smutek, lecz prośbę o wybaczenie.

- Moi rodzice żyją.

Jedynym odgłosem w pokoju było głośnie westchnienie Mitcha.

Brett usiadł na krześle z drugiej strony i położył rękę na jej ramieniu.

- Pisali o tym w gazetach. Burmistrz ogłosił oficjalnie dzień żałoby. Pamiętam, że tata zamknął sklep.

Jej słaby uśmiech nie uspokoił nikogo.

- To była mistyfikacja. Upozorowano ich śmierć, żeby mogli zmienić miejsce zamieszkania i tożsamość. Zanim go aresztowano, Emmett groził całej naszej rodzinie. Wuj Jimmy załatwił to wszystko dzięki swoim kontaktom.

- A dlaczego nie ukryto i ciebie? - Brett zadał pytanie, które dręczyło także Mitcha.

Oszczędziła mu smutnego spojrzenia, popatrzyła jednak na Mitcha.

- Byłam w tym czasie w szpitalu. Co chwila traciłam przytomność. Czekwały mnie trzy operacje, kilkanaście zabiegów i miesiące fizykoterapii.

Mitch to rozumiał. Ale nie całkiem. Trudno mu było sobie wyobrazić, jak można porzucić kogoś, kogo się kocha. Szczególnie w takiej sytuacji.

- Ukrycie cię w takim stanie byłoby praktycznie niemożliwe.

Joe położył ręce na krzesłach Mitcha i Casey i nachylił się ku nim.

- Ale skoro wszyscy myślą, że sędzia Maynard nie żyje, to czemu Raines cię ściga?

- Bo Casey może go zidentyfikować. Nawet w przebraniu - domyślił się Brett.

Case zmarszczyła brwi.

- W sądzie, kiedy było to takie ważne, niezbyt mi się to udało. - Jej wzrok powędrował do leżącej na stole spinki. - Jeśli teraz Raines zmienił wygląd, jakoś się przebrał, chyba też go nie rozpoznam.

Pewna bardzo nieprzyjemna myśl pojawiła się w głowie Mitcha.

- Ile osób zna prawdę o twoich rodzicach?

- Ja, Jimmy i Iris. Nigdy publicznie nie ujawniliśmy prawdy. I, oczywiście, człowiek, który zaaranżował wypadek i przygotował rodzicom nową tożsamość. - Casey wzruszyła ramionami. - A także Ben i Judith. Pracują u nas od lat i opiekowali się mną, kiedy rodzice wyjeżdżali. Mama i tata dużo teraz podróżują. Myślę, że czują się zdradzeni przez system prawny Kansas City. I wiem, że tata czuje się winny tego, co mnie spotkało. Może łatwiej im, że nie są tutaj - dodała z westchnieniem.

- A więc jedynym logicznym powodem, dla którego Raines bawi się tak z tobą, zamiast od razu cię zabić, jest to, że chce wywabić z ukrycia twojego ojca.

- Albo osobę, która zleciła morderstwo jego siostry - dodał Joe.

- A to znaczy, że Raines zna prawdę o twoim ojcu - rzekł z powagą Brett.

Nie trzeba było być policjantem, żeby dojść do takiego wniosku.

Mitch był może bliski poznania motywu, jednak klucz do ostatecznego planu Rainesa wciąż pozostawał dla niego tajemnicą. Łatwiej by mu było do niego dotrzeć, gdyby zdobył odpowiedź na jeszcze jedno pytanie.

- Ale jak się o tym dowiedział?

Wczesnego sobotniego poranka Casey nadal rozważała implikacje tego wszystkiego, co zostało powiedziane poprzedniego wieczora przy stole w jadalni. Popijała kawę i czytała poranną gazetę. Jej mózg rejestrował jednak tylko słowa, a nie ich znaczenie.

Wszędzie, gdzie spojrzała, widziała ślady Mitcha. Wysokie sufity i błyszczące podłogi z rozrzuconymi tu i ówdzie ciemnozielonymi chodnikami pasowały do jego wzrostu i postury - podobnie jak łóżko, które jej odstąpił. Kilka eleganckich bibelotów i obrazków zdobiło półki i ściany, ale dodawały one tylko smaczku prawdziwej urodzie tego wnętrza. Solidne meble... solidne jak ich właściciel. Ich surowość łagodziły tylko rzucone gdzieś zielone poduszki - tak jak ciepłe spojrzenie Mitcha łagodziło jego pozorną surowość.

Nawet za duża flanelowa koszula i czarny dres, które miała na sobie, należały do Mitcha. Nie była w stanie wziąć ze sobą czegokolwiek do spania ze swojej komody. Emmett tam był, dotykał jej rzeczy. Żadne pranie czy sterylizacja nie

sprawi, by mogła włożyć na siebie nocną koszulę czy bieliznę, której być może dotykały ręce Emmetta. I choć ostrzegła samą siebie przed tą myślą, czuła się dobrze w otoczeniu rzeczy należących do Mitcha. Dodawały jej sił, tak jak uścisk jego ręki czy też ramion, gdy brał ją w objęcia.

Musi być teraz silna, może bardziej niż kiedykolwiek.

Musi być silna, żeby przeżyć. Powinna pomóc w ujęciu Emmetta Rainesa. I musi powstrzymać się przed zakochaniem się w Mitchu.

Mogłaby przywyknąć do jego mieszkania, z jego przestronnością i przytulnością. Mogłaby przywyknąć do wesołego, serdecznego śmiechu członków rodziny Taylorów.

Mogłaby przywyknąć do Mitcha.

Ale utrata czujności może oznaczać utratę kontroli. A utrata kontroli - utratę serca.

A jaki jest sens tracić serce dla mężczyzny, który zasługuje na dużo więcej niż taką pokiereszowaną kalekę jak ona?

Nawet tak zwyczajny fakt, że Mitch śpi dziś w domu, sprawił, że jej serce zaczęło trzepotać się w piersi jak oszalałe. Potrzebny był mu ktoś, kto by się nim opiekował. Ktoś, czyją opiekę by docenił. Pracuje przecież do późna. Kieruje tyloma ludźmi. W jego oczach widać zmęczenie. I choć nie odmówił zjedzenia potrawy, którą wczoraj wieczorem przed nim postawiła, kiedy razem z Joem i Brettem omawiali strategię, zauważyła, że jego talerz wrócił do kuchni z prawie nie tkniętą zawartością.

Zaproponował jej swój dom i opiekę. Ryzykował zdrowie, żeby ją chronić. Poprosił o pomoc rodzinę, żeby śledzić każdy jej ruch. Zrezygnował z codziennych zajęć, żeby zaspokajać jej potrzeby. Dlaczego?

Odpowiedź znalazła na trzeciej stronie gazety.

Wśród nominowanych do funkcji zastępcy komisarza jest detektyw kapitan Mitch Taylor...

Było tam nawet jego zdjęcie.

A więc chroni ją, bo jest człowiekiem honoru. Jak jej ojciec. Jak rodzina Taylorów. Jak Joe Hendricks. Jak Jimmy?

Mitch był zły na Jimmy'ego, że wuj zapomniał o niej w Święto Dziękczynienia. Zły z jej powodu. Gniewał się na wujka, choć to ona powinna być na Jimmy'ego zła.

Ojciec nie byłby zadowolony ze sposobu, w jaki Casey zachowuje się wobec Mitcha. Że przyjmuje wszystko, co on z poczucia obowiązku jej oferuje - swoje zainteresowanie, gościnność, opiekę, a bojąc się, że zostanie skrzywdzona, nie oferuje mu niczego w zamian.

Oprócz niewyparzonego języka. I dumy. Oraz braku zaufania.

- Dzień dobry - mruknął na powitanie Mitch i podszedł do ekspresu do kawy.

Wyglądał imponująco, nawet w przestronnym aneksie jadalnym. Zaskoczona jego nagłym pojawieniem się, nie zdążyła wznieść obronnych barier, jakimi zawsze się od niego odgradzała. Zauważyła, jak bardzo jest zmęczony i spięty.

Poczuła się winna. Nie miała wątpliwości, że jest główną przyczyną jego niepokoju.

- Dzień dobry.

Zignorował jej cichą odpowiedź. Boso i ubrany tylko w obcisłe dzinsy, przez chwilę masował sobie kark. Potem napełnił kubek kawą i wypił ją dwoma łykami.

- Mocna, dzięki Bogu - westchnął i oparł się o ladę. Pewna, że jego zmęczenie ma ścisły związek z jej sprawą,

Casey pomyślała, że zmiana tematu skieruje jego myśli na coś przyjemniejszego.

- Dziś piszą o tobie w gazetach.

Kiedy siadał, zauważyła jego zaczerwienione oczy. Wzruszył ramionami i przez chwilę wpatrywał się w pusty kubek.

- Dobrze piszą?

- Dwadzieścia lat w służbie to poważne osiągnięcie. Nic dziwnego, że Jimmy i rada miasta chcą cię awansować.

- Tak.

Nie była pewna, czy zareagował tak na wspomnienie komisarza czy też zakłopotana go jej pochwała. Nie podejrzewała go o taką skromność, jeśli chodzi o wykonywaną pracę. Może po prostu nie jest rannym ptaszkiem.

Nagle wstał i zaczął krążyć po kuchni. Zaglądał do szuflad i szafek.

- Co zjadłaś na śniadanie?

Po chwili wahania wstała, zadowolona, że ma na nodze szynę i nie potrzebuje laski. Kiedy przeglądał zawartość lodówki, wyjęła z piekarnika podgrzane prele. A więc jednak w czymś może być pomocna.

- Usiądź, śpioszku. Trzymałam je w cieple na wypadek, gdybyś chciał się do mnie przyłączyć. Na stole jest twarożek.

- Jak mnie nazwałaś?

- To ty mi zarzucałeś, że jestem śpiochem. - Ponieważ nie widział jej twarzy, pozwoliła sobie na lekki uśmiech.

- Po ośmiu godzinach snu pewnie bym nie był taki niemiły. Zazwyczaj tak wcześnie nikt mi nie towarzyszy i nie muszę być dla nikogo uprzejmy.

- Zastanawiam się, dlaczego. - Postawiła prele na stole i wróciła po nóż i talerz.

- Nie musisz mi usługiwać. - Podeszedł i wyjął jej z ręki nakrycie.

- Ale chcę. - Nie wiedział, że gotowa była zrobić dla niego dużo więcej. - Wiem, że kiedy się już położyłam,

jeszcze długo siedzieliście z Joem i Brettem. Może i moja sprawa nie pozwala ci spać, ale na nic mi się nie przydasz, jeśli z braku pożywienia zemdlejesz.

Przystanął tak nagle, że omal na niego nie wpadła.

- Naprawdę uważasz, że na coś mogę ci się przydać? Spojrzała w jego ciemne, błyszczące oczy.

- No, dobrze. Zmiana tematu! Dlaczego nie chcesz porozmawiać o twojej nagrodzie?

- Sprytne posunięcie, księżniczko. Ale to twoimi problemami się zajmujemy, nie moimi.

- Awans za dobrze wykonaną pracę to problem?

- Zależy, kogo pytasz.

- Pytam ciebie.

- Daruj sobie, księżniczko.

Uciszył ją tym uwodzicielsko delikatnym ostrzeżeniem i wzmógł tylko jej ciekawość. Coś było z nim nie w porządku. Czemu nie chce słuchać wyrazów uznania? Przecież na nie zasłużył?

Nalewając sobie kawę, dała im obojgu trochę czasu na zebranie myśli. Potem jednak wróciła do zakazanego tematu.

- Wiem, że trzeba skończyć college, żeby być detektywem. Skoro masz zaledwie trzydzieści dziewięć lat, to musiałeś chodzić do szkoły, już będąc w policji. To ciężka praca.

- Nie boję się ciężkiej pracy - mruknął, żując kawałek precla.

To już wiedziała.

- Sądząc po rekomendacjach wymienionych w artykule, wiele osób docenia twoje osiągnięcia.

- To tylko moja praca.

Tylko praca? Zajęcie Mitcha wydawało się tak samo nieodłączną częścią jego osobowości, jak kiedyś dla niej pływanie.

- Jak możesz tak mówić? Skromność to z pewnością godna podziwu cecha, ale mówisz tak, jakby ta nagroda była swego rodzaju karą.

- Raczej nagrodą pocieszenia. - Mówił z coraz większą goryczą.

Zanim zdążyła się zastanowić, Casey wyciągnęła rękę i delikatnie zaczęła palcami naciskać pewne miejsca na jego szyi.

- Co ty robisz?

- To trik, którego nauczył mnie mój fizykoterapeuta. Trzeba naciskać takie specjalne punkty. Ale może wolisz, żebym przestała? - przestraszyła się nagle, że może nie chce od niej nawet takiej niewielkiej pomocy.

- Jak chcesz.

Przynajmniej tyle mogła dla niego zrobić. Tyle mu przecież zawdzięczała.

Choć nadal ciekawiła ją sprawa nagrody, postanowiła zmienić temat.

- Skoro nie chcesz rozmawiać o swojej karierze, to może porozmawiamy o mojej sprawie. Co postanowiliście wczoraj z Joem?

Mitch odsunął się od niej.

- Że jeśli chcemy zrozumieć, o co Rainesowi chodzi teraz, musimy rozwiązać sprawy przestępstw sprzed siedmiu lat.

Casey zamyśliła się. Może wcale nie jest celem Rainesa? Może, podobnie jak przed siedmioma laty, używa jej jak pionka w swojej grze. Może ona wcale nie jest dla niego istotna.

Nawet nie zdała sobie sprawy, że wypowiada te myśli na głos. Uświadomił jej to dopiero komentarz Mitcha.

- Jesteś istotna.

Wyciągnął rękę i posadził ją sobie na kolanach. Jego piękne, ciemne oczy patrzyły na nią z powagą.

- Dla mnie.

ROZDZIAŁ ÓSMY

- Mitch, wydaje mi się...

Kiedy próbowała wstać, przycisnął ją do siebie.

- Moja opinia może dla ciebie nic nie znaczyć, ale to musi...

Wsunął ręce w jej włosy i przyciągnął ją do siebie. Nie zdążyła nawet zaprotestować. Nie była w stanie myśleć, tym bardziej go odepchnąć.

Uwięziona w jego objęciach, targana sprzecznymi uczuciami - uwolnić się czy poddać jego pożądaniu - zastanawiała się nad przyczyną jego gwałtowności. Co obudziło w nim taką desperację? Jęknęła cicho... i dopiero to sprawiło, że zwolnił nieco uścisk. Jakby na przeprosiny obsypał jej obrzmiałe usta drobnymi pocałunkami.

- Przepraszam, księżniczko - szepnął. - Nie powinienem tego robić. Przepraszam cię.

Casey ujęła w dłoń jego brodę i spojrzała mu prosto w oczy. Chciała go uspokoić.

- To ja cię przepraszam. Nie powinnam się tak dopytywać o twoją nagrodę.

- Nie należy chwalić dnia przed zachodem słońca. Dzisiejsza wieczorna impreza ma mnie tylko uspokoić i pocieszyć. Nie powinienem liczyć na awans.

- To nieprawda. - Casey pokręciła głową. - Masz poparcie wuja Jimmy'ego.

- Czyżby?

Jego znaczące spojrzenie przypomniało jej ostrzeżenie Jimmy'ego dane Mitchowi w Święto Dziękczynienia. Wymięty, zmęczony i nie ogolony mężczyzna, który trzymał ją na kolanach, może i podnieca ją jak żaden dotąd, ale jest kwintesencją wszystkiego, czym pogardza Jimmy Reed. Mitch Taylor, w porównaniu z tym eleganckim światowcem, jest zwykłym przedstawicielem klasy robotniczej, prostakiem z

przedmieścia. Jimmy władczy sposób bycia wyssał z mlekiem matki, podczas gdy tacy jak Mitch muszą o wszystko walczyć, uczyć się i ciężko pracować, by zdobyć należne im nagrody i szacunek.

- Jimmy to snob, prawda?

Ledwo to powiedziała, aż się w sobie skurczyła. Wiedziała przecież, że tak właśnie postrzega ją Mitch. Ma takie samo pochodzenie jak Jimmy. Wpływową rodzinę. Pieniądze. Możliwości. Wychowała się wśród tych wszystkich rzeczy, których on nigdy nie miał.

A jednak to Mitch odważnie stawia czoło życiu, podczas gdy ona tchórzliwie kryje się za murami starej rodzinnej fortecy.

Czuła otaczające ją ciepło... Jak w ogóle mogła myśleć, że może cokolwiek dać temu uczciwemu, szczeremu, pełnemu życia mężczyźnie.

- Zostań. - Kiedy próbowała wstać, Mitch mocno zacisnął ręce na jej biodrach.

- Myślałam, że będę mogła ci choć trochę pomóc, ale widzę, że tylko pogarszam sprawę.

Mitch ujął ją pod brodę i zmusił, by na niego spojrzała. Jego ciemne jak dobra whisky oczy błyszczały.

- Nie ukrywaj swojej prawdziwej natury, księżniczko. Nie uciekaj przed tym, co czujesz. Jestem... - jego wzrok przeniósł się na jej usta - ..wzruszony, że... że doceniasz, iż od tak dawna pracuję w policji. Wiem, że nie masz najlepszej opinii o gliniarzach...

- Myliłam się. - Casey położyła mu na ustach dwa palce i uciszyła jego przeprosiny. Pragnienie, by go chronić, okazało się silniejsze niż pragnienie bycia chronioną. - Jestem z ciebie dumna.

Całowała jego powieki, policzki i nos. Ssała delikatnie koniuszek jego ucha, a on trzymał ją bardzo, bardzo blisko

siebie. I całował. A jego usta miały smak kawy i twarożku, pachniał zaś korzennie i piżmowo.

Jak mogła bez tego żyć? Jak mogła istnieć, nie znając mocy pożądania tego mężczyzny?

Piła z jego hojnych ust jak ktoś walczący o życie na pustyni pije wodę. Drżała, kiedy jego pokryta odciskami dłoń wsunęła się pod jej bluzkę i pieściła nagie piersi.

- Spokojnie - szepnął, unosząc do góry poły jej bluzki.

- Mitch? - Intymność, o którą prosił, przeraziła ją. Wiedziała przecież, że ona, kaleka, nie może dać mu tego, na co zasługuje taki wspaniały mężczyzna.

- Księżniczko. Pozwól... - Uciszył ją pocałunkiem. Zaraz potem jego usta powędrowały w dół. Całował jej szyję, obojczyk, aż dotarł do piersi.

- Dotykaj mnie - poprosił. A ona spełniła jego prośbę.

- Jesteś taka słodka... taka słodka i spontaniczna, że nie mogę...

Nagle rozległ się ostry dźwięk dzwonka. Mitch stłumił wymyślne przekleństwo, którego bez wątpienia nauczył się na ulicy. Raj się skończył. Wrócili do rzeczywistości.

Mitch okrył ją swoją koszulą i przez moment trzymał w ramionach, uspokajająco szepcząc coś do ucha. Potem stało się to, co nieuniknione - podniósł ją ze swoich kolan, wstał i posadził ją na krześle. Przeczesując włosy niecierpliwym gestem, podszedł do telefonu.

Kiedy chwycił słuchawkę, omal nie wyrwał ze ściany całego aparatu.

- Taylor, słucham?

Chłód jego głosu bardziej zdradzał irytację, niż gdyby krzyczał. Przez chwilę słuchał w milczeniu, spoglądając na Casey, potem odwrócił się plecami i kontynuował rozmowę.

Casey objęła się rękoma i skuliła na twardym krześle. Już tęskniła za ciepłem jego ramion, za pieszczotami,

pocałunkami, szeptanymi słodkimi słowami. Kiedy zauważyła, że jego ramiona sztywnieją, zeszywniała i ona. To nie był dobry znak. Po kilku minutach Mitch odłożył słuchawkę i spojrzał na nią z zaniepokojeniem.

- Co się stało? - spytała, wyraźnie przestraszona.

- Przepraszam cię, księżniczko. - Mitch ujął jej dłonie i pomógł wstać. - Możesz mnie nazwać każdym brzydkim słowem, jakie ci przyjdzie do głowy. Byłem po prostu tak cholernie wściekły. I zjawiałaś się ty. Taka dobra, otwarta i...

Z trudem przełknął ślinę. Casey uniosła głowę, by spojrzeć w jego zamglone oczy. Uśmiechnęła się.

- Wiem, jak to jest. Czasami człowiek jest tak wściekły, że nie wie, jak sobie z tym poradzić. Ja też przez to przechodziłam, Mitch. Rozumiem cię.

- Nie wątpię. - Mitch delikatnie uściśnął jej rękę i wyprostował się. - Wiele przeszłaś, księżniczko. Nie powinnaś na dodatek kłopotać się mną i moimi humorami.

Wierzchem dłoni pogładził ją po policzku.

- Nie chciałem cię skrzywdzić.

Skrzywdzić? Czowała się szczęśliwa, bo potraktował ją jak kobietę, bo wyraził swoje emocje, dał upust uczuciom zbyt silnym, by sobie z nimi poradzić. Z powodu, który jeszcze nie do końca był dla niej jasny, potrzebował kogoś i wybrał ją.

- I nie skrzywdziłeś.

Na jego zmęczonej twarzy pojawił się słaby uśmiech.

- Zdumiewasz mnie. - I on ją zdumiał, znów biorąc w ramiona. - Wszystko jest takie pogmatwane. Zwariowane, jakby świat znalazł się na skraju przepaści. - Dłońmi kreślił kółka na jej plecach, z każdym pocieszającym ruchem przyciskając ją mocniej do siebie. - Ale kiedy trzymam cię w ramionach, nabieram pewności. Sam nie wiem, czy to dobrze. Ale jestem pewien, że nie ma takiego miejsca na ziemi, w którym wolałbym teraz być.

W jej oczach pojawiły się łzy wzruszenia. Objęła go w pasie i przytuliła się do jego piersi. On też przecież dawał jej ukojenie. Szybko jednak przyszedł czas na refleksję. Choć słowa Mitcha zapadły jej w serce, miały także niepokojący ją podtekst.

Teraz. Chciał jej teraz, może nawet była mu potrzebna. Nie było jednak nic stałego między dwojgiem ludzi pochodzących z tak różnych światów. Nigdy nie będzie żadnej trwałej więzi między mężczyzną gotowym zmierzyć się ze wszystkim, co stanie na jego drodze, i kobietą, która nie jest w stanie utrzymać się na własnych nogach.

Ukryła smutek wywołany tą bolesną myślą pod maską uprzejmej obojętności. Odsunęła się na bezpieczną odległość.

- A więc kto dzwonił? Jakież sprawy policyjne, co?

Mitch przez chwilę przyglądał jej się w zamyśleniu. W jego oczach kryło się wiele niezadanych pytań. Otrząsnął się jednak, podparł pod boki i odetchnął głęboko. Jak zawodowy policjant, którym przecież przede wszystkim był.

- Okazało się, że bankowiec, z którym wczoraj rozmawiałem, nie żyje.

- O, nie! - Casey mocno zacisnęła ręce na oparciu krzesła.

- Emmett znów działa.

- Jeszcze gorzej! Oględziny ciała wykazały, że nie żyje od kilku dni.

Kiedy dotarł do niej sens wypowiedzianych przez niego słów, Casey zbladła jak ściana.

- To znaczy, że pracownik banku, z którym rozmawiałeś, to był...

- .. przebrany Raines.

- Wyślesz sam do wszystkich posterunków jego rysopis, czy też ja mam to zrobić? - Merle zamknął notatnik i spojrzał na Mitcha.

- Ty to zrób. Nie bardzo wiem, jak dokładnie go opisać, ale przynajmniej damy wszystkim znać, że Raines jest w okolicy. Chcę jeszcze raz obejrzeć miejsca, w których był. - Mitch położył rękę na ramieniu młodego mężczyzny. - Dasz sobie radę?

Merle kiwnął głową.

- Jeszcze nigdy nie widziałem tak zmasakrowanego ciała. Ciało uduszonego bankowca zostało pokrojone i zapakowane tak porządnie jak nie przymierzając mięso w sklepie jego stryja. Od razu stanęły mu przed oczami zdjęcia, które widział w teczce z aktami sprawy Casey.

Sposób działania zabójcy był podobny. Udusić ofiarę, a potem pokroić. Zabójca wyraźnie lubił patrzeć swym ofiarom w oczy, chciał widzieć, jak umierają.

Tylko Casey nie umarła. Nie była nawet nieprzytomna, kiedy zaczął ją ciąć. Każde ważne ścięgno, wiązadło i mięsień jej prawej nogi zostało skaleczone lub przecięte. Boże, ależ ona musiała cierpieć! Nie wspominając nawet o obrażeniach na szyi i rękach, które odniosła, walcząc ze swoim katem.

- Kapitanie?

Mitch wrócił do rzeczywistości.

- Przepraszam. - Dopiero teraz puścił ramię Merle'a. Jestem policjantem i nie mogę poddawać się emocjom, pouczył siebie w duchu. - Nie musisz się winić. Do pewnych rzeczy nigdy się nie przyzwyczaisz.

- Chyba rzeczywiście. - Merle podszedł do drzwi, ale mina szefa nadal go niepokoiła. - Coś jeszcze, kapitanie?

Mitch zdobył się na uśmiech i pokręcił głową.

- Dopilnuj tylko, żeby przefaksowano mi raport lekarza sądowego, jak tylko będzie gotowy.

- Tak jest.

Kiedy został sam w mieszkaniu Davida Zimmera, odetchnął głęboko. Urządzone było ono po kawalersku, ale

starannie i gustownie. Jeszcze raz przeszedł przez pokoje. Kilka brudnych talerzy znajdowało się w zlewie. Stos ręczników, czekających na złożenie, leżał na starannie zaścielonym łóżku. Nawet łazienka, z nie zakreconą tubką pasty na umywalce, wyglądała tak, jakby korzystano z niej jeszcze tego ranka.

Tylko zapach był niewłaściwy. W kuchni powinny unosić się aromaty śniadania. W łazience powinno pachnieć wilgocią i mydłem. Pozornie wszystko wyglądało tak, jakby Emmett niedawno tu był, udając Zimmera.

Tylko pozornie.

Mitch miał wrażenie, czuł wręcz, że patrzy na wystawę jakiegoś sklepu. Każdy przedmiot został dokładnie ułożony tam, gdzie być powinien - odrobinę brudny, odrobinę pomięty - żeby nadać wnętrzu wygląd zamieszkanego.

Odkrywszy rano ciało Zimmera, Mitch uwierzył, że Raines zdolny jest do wszystkiego. Zniekształcone nie do poznania ciało Zimmera na pewno da się zidentyfikować dopiero na podstawie danych z kartoteki jego dentysty.

Bankowiec, którego Mitch odwiedził w piątek rano, miał taką samą widoczną srebrną plombę na dolnym lewym siekaczu. Do tej chwili tak do końca nie wierzył Casey, kiedy mówiła, że Raines może zabić człowieka i zająć jego miejsce.

Teraz już wierzył.

I z tą wiarą przyszyła przerażająca pewność, że skoro ciało Zimmera zostało odkryte, Raines będzie musiał wcielić się w innego człowieka... Oczywiście, nie miał dowodu, że to Emmett zamordował bankowca, tylko motyw i zapewnienie Casey, że ten facet zdolny jest do wszystkiego.

Mitch stanął pośrodku salonu i jeszcze raz rozejrzał się dokoła. Uczucie, że coś jest nie tak, nie opuszczało go ani na chwilę.

Nagle przypomniał sobie palce Casey na swojej szyi. Na swojej twarzy i na włosach. Naprawdę udało jej się zlikwidować napięcie, które tak boleśnie czuł tamtego ranka. Ale to nie te punkty sobie przypomniał, lecz sposób, w jaki je masowała. Jakby chciała dostać się do samego jego wnętrza... Jakby błagała go o zaufanie... I jakby sama zaczynała mu ufać... Czyżby się mylił?

Casey miała powody, żeby się bać. I żeby nie ufać żadnemu mężczyźnie. Idealnie urządzone wnętrze jej rezydencji było tego najlepszym dowodem.

Gdyby tylko udało mu się znaleźć jakiś dowód, że to Raines zamordował Zimmera. Gdyby tylko był w stanie przewidzieć, gdzie padnie jego następny cios. Jak jednak można wczuć się w człowieka, który zabija z taką łatwością? Jak przewidzieć następny krok psychopaty, który wciela się w swoje ofiary, maskując fakt, że morderstwo w ogóle zostało popełnione?

I dlaczego Casey życie zostało darowane?

Mitch próbował poskładać jakoś znane mu do tej pory fakty i ułożyć je w logiczną całość. Emmett jest sprytny, nie popełnia żadnych błędów. Zbliży się do swych ofiar, zanim zaatakuje. Obwinia sędziego Jacka Maynarda za śmierć swojej siostry bliźniaczki. I chce użyć Casey, by wywabić sędziego z jego kryjówki.

Mitch zamknął mieszkanie i wrócił do swego dżipa.

Czy policjant, który go aresztował, będzie równie łakomym kąskiem? A oskarżyciel publiczny? Świadkowie?

Zapalił silnik i chwilę czekał, aż się rozgrzeje.

Dlaczego Darlene Raines siedem lat temu zabiła prostytutkę? Czy Raines jej w tym pomagał?

Spojrzał przez ramię i włączył się do ulicznego ruchu.

Może to tam powinien szukać odpowiedzi? A jeśli to wszystko, co dzieje się teraz, ma swoje źródło w sprawie sprzed siedmiu lat?

Nacisnął numer w swej komórce i uśmiechnął się, słysząc dźwięczny głos.

- Komenda policji. Detektyw Rafferty. Słucham.

- Cześć, Ginny. Tu kapitan Taylor - przedstawił się.

- Zaraz jadę do twojego mieszkania, żeby zmienić Joego.

- Dobrze. Chcę cię prosić o przysługę. Weź po drodze teczkę akt z mojego biurka. Chcę mieć wszystko, co mamy na temat Darlene Raines.

- Wiedziałaś, że komisarz aresztował Darlene Raines? - spytał Mitch. Nie podobało mu się, że Casey stoi przy oknie i patrzy na padający śnieg.

- Nie był jeszcze wtedy komisarzem.

W jej odbiciu w szybie dostrzegł, jak mocno zaciska splecione na piersi ramiona. Rano wydawało mu się, że przełamał dzielącą ich barierę nieufności, po południu jednak Casey zamknęła swoje uczucia w sobie jak w więziennej celi. Na jego pytania odpowiadała chłodno i lakonicznie. Może dla niej rodzina i bliscy są najważniejsi. On nie wahałby się bronić Sida czy Marthy Taylorów ani któregokolwiek z ich dzieci, gdyby padło na nich podejrzenie. No tak, ale nazwisko żadnego z nich nie pojawiałoby się tak często w teście dotyczącej morderstwa jak nazwisko Jamesa Reeda.

- Zgadza się - potwierdziła Ginny, zaglądając do raportu.

- Wtedy ubiegał się o to stanowisko. Zdobywał sobie popularność, bo nie siedział za biurkiem i brał udział w wielu niebezpiecznych akcjach. Ludzie byli nim zachwyceni i skwapliwie na niego głosowali.

Gdyby nie było z nimi Ginny Rafferty, Mitch dawno straciłby cierpliwość. Potrząsnąłby tymi królewsko wyniosłymi ramionami Casey i zażądał od niej konkretnych

odpowiedzi. Albo może znów by ją pocałował. Zrobiłby cokolwiek, żeby znów stała się tamtą kobietą z krwi i kości, która się przed nim otworzyła.

- Nigdy nie znałam się na polityce. - Casey mówiła tylko do Ginny. - Pamiętam, że tata uważał, iż to dziwne, że Jimmy postanowił sam zająć się tą sprawą. Prostytucja to zazwyczaj domena wicekomisarza.

- Z zabójstwem Cynthii DeBecque było inaczej? - spytała Ginny.

- Tak. Jimmy jakoś załatwił, żeby to mój tata sądził jej zabójczynię. Byli popularną parą - gliniarz i sędzia. Obaj bezwzględni wobec zbrodniarzy.

- I właśnie wtedy Emmett cię zaatakował? Żeby zmusić twojego ojca do oddalenia oskarżenia?

Ginny zadawała dokładnie te same pytania, które zadałby jej Mitch. Przykro mu było, że Casey lepiej się czuje, rozmawiając z kobietą. Wydawało mu się, że coś już się między nimi nawiązało. Była przecież taka czuła...

Dość tych dywagacji! Najważniejsze jest bezpieczeństwo Casey. A żeby mógł jej to zagwarantować, musi znać odpowiedzi. Jeśli Ginny jest jedyną osobą, przed którą się otwiera, trudno, jakoś to przeżyje. Dopóki Casey jest bezpieczna, przeżyje wszystko.

Łącznie ze zranionymi uczuciami i złamanym sercem.

Wiedząc, że przez resztę wieczoru będzie musiał silić się na fałszywy uśmiech, Mitch wymknął się z pokoju, by znaleźć muszkę pasującą do tego idiotycznego stroju, który wypożyczył na dzisiejszy bankiet. Jackie cały czas namawiała go, by kupił sobie smoking na różne oficjalne imprezy, na które tak lubiła chodzić. Ale taki wydatek z pensji młodego policjanta nie wydawał się być rzeczą rozsądną, a później, kiedy mógł sobie już na to pozwolić, unikał tego sprawunku w ramach swoistego rodzaju protestu wobec ludzi z wytwornego

towarzystwa, którzy przypominali sobie o nim tylko wtedy, kiedy musieli zadzwonić na posterunek, prosząc o pomoc.

Dwa razy próbował zawiązać muszkę, przeklinając śliski jedwab, swoje niezręczne palce i nagrody, które służyły bardziej promowaniu osiągnięć komendy, niż uhonorowaniu osobistego zaangażowania w pracę konkretnych osób. W końcu poddał się, włożył marynarkę i ruszył z powrotem do salonu. Sid i Martha wybierali się na uroczystość razem z nim. Mieli wspierać go na duchu.

- Jak prostytutka może sobie pozwolić na apartament? - pytała właśnie Ginny.

Nieświadome jego powrotu kobiety siedziały na kanapie i dyskutowały tak zawzięcie, jakby rozwiązywały problemy całego świata.

- Ktoś musiał ją utrzymywać.

- Raport policyjny mówi, że Darlene Raines włamała się do jej mieszkania, DeBecque ją na tym przyłapała i zaczęły się bić. DeBecque zginęła od ciosu w głowę.

- Gdybyś powiedziała, że od ciosu nożem, pomyślałabym, że Emmett też maczał w tym palce. Ale jego specjalność to cięcie i krojenie, a nie tępe przedmioty.

Panie zachowywały się jak stare przyjaciółki, co Mitchowi sprawiło tylko przykrość.

- Co zginęło? - spytał. Zauważył, że na dźwięk jego głosu Casey błyskawicznie zeszywniała. O śmiechu nie było już mowy.

Ginny wahała się przez chwilę. Jeśli nawet zauważyła napięcie panujące między Casey i jej szefem, nie dała tego po sobie poznać. Zajrzała do teczki, wyjęła z niej jakąś kartkę i podała ją Mitchowi.

- Futro i trochę biżuterii - przeczytał na głos. Zauważył, że Darlene i jej wspólnik nie zabrali wielu

innych wartościowych rzeczy. Telewizora. Nowoczesnej wieży. Pierścionka z brylantem i szmaragdem. Dziwne! Intrygujące. Przecież przeszukali wszystkie szuflady. Wszystko przewrócono do góry nogami. Powyrzucano na podłogę.

- Dobra robota, Rafferty - rzekł. Miał nadzieję, że jego inteligentna asystentka wyciągnie ten sam wniosek, co on. - Czego szukasz, jeśli przetrząsasz osiem maleńkich szufladek kasetki na biżuterię i nie bierzesz brylantów wartych dziesięć tysięcy dolarów?

- Jakichś papierów - zastanawiała się Ginny. - Dyskietek.

- Czegoś mniejszego - podsunął.

- Negatywów.

Casey spojrzała na niego szeroko otwartymi oczami. Wyraźnie doszła do tego samego wniosku.

- Kompromitujących zdjęć, które mogłyby posłużyć do szantażu.

Ginny schowała listę skradzionych przedmiotów z powrotem do teczki.

- Ale kto chciałby szantażować prostytutkę? Ona i tak ma złą reputację.

- Mogło być odwrotnie - podsunęła Casey. - Może Cynthia szantażowała Darlene Raines.

- Czym? - Mitch obszedł kanapę i usiadł na starym pniu, który służył mu za stół do kawy. - Czy Darlene też była prostytutką?

- Może Cynthia szantażowała kogoś innego. I ten ktoś mógł wynająć Darlene, żeby wykradła negatywy.

- To zbyt daleko idące domysły, Mitch. - Spokojny głos Ginny potwierdził jego własne wątpliwości.

- Ale warto je rozważyć. Skontaktuj się z Merlem. Siedzi w komendzie i pisze jakieś raporty. - Mitch celowo unikał uważnego spojrzenia Casey. - Zdobądź kopię napisanego

przez Jamesa Reeda raportu z aresztowania Darlene. Jeśli z tą sprawą wiąże się rzeczywiście szantaż, może wyjaśni nam to, czemu Jimmy był osobiście nią zainteresowany. Może chciał wyświadczyć przysługę jakiemuś znajomemu.

- Dobra.

Mitch wykorzystał wyjście Ginny jako pretekst, by stanąć jeszcze dalej od Casey. Przeglądając się w szybie, jeszcze raz próbował zawiązać muszkę. Wiedział, że nie spodobają się jej jego podejrzenia i będzie ślepo bronić przyszywanego wuja. Jemu zaś instynkt podpowiadał, że obecne - a może i dawniejsze - zainteresowanie komisarza jej sprawą nie ma nic wspólnego z łączącymi ich rodzinnymi więzami. Może pilnuje jej i trzyma w ukryciu przez tyle lat, bo chce coś... zataić? Co takiego James Reed ma do ukrycia?

- Zaczekaj. Może ja spróbuję. - Lekka dłoń Casey spoczęła na jego ramieniu.

Mitch, oczywiście, zgodził się i pozwolili jej zająć się muszką. Skupił się na obserwacji padających na parapet kryształowych gwiazdeczek. Ona zaś z wprawą walczyła ze śliskim jedwabiem. Choć była to tylko nędzna imitacja intymności typowej dla par małżeńskich, Mitchowi zrobiło się gorąco. Zastanawiał się, komu jeszcze Casey wiązała muszki? Ojcu? Jimmy'emu? Kochankowi?

Zamknął oczy i cieszył się chwilą. Gotów był częściej nosić ten idiotyczny strój, gdyby wiązało się to z taką jej bliskością.

- Myślisz, że wuj coś ukrywa?

Jej słowa wyrwały go z marzeń i zmroziły tak nagle, jakby ktoś otworzył okno i wpuścił lodowate powietrze.

- Może stara się kogoś chronić. - Podzielił się z nią jednym ze swoich najmniej dla niej przykrych podejrzeń.

Casey aż zacisnęła pięści.

- On jest najbliższym mi człowiekiem, Mitch. Mitch ujął jej zaciśnięte ręce i przytrzymał.

- Nie, to nieprawda. A McDonaldownie i Frankie? Oni naprawdę cię kochają. Jesteś dla nich jak najbliższa krewna.

A ja?

- Oni mają swoje własne życie. A z mojego niewiele już pozostało.

Próbowała się odsunąć, ale Mitch jej na to nie pozwolił. Jeszcze nie. Najpierw musiał jej powiedzieć o swoich uczuciach i szacunku. Teraz albo nigdy.

- Wcale nie musi tak być.

Tamtego dnia dwukrotnie zrobiła pierwszy krok, zbliżając się do niego. Na moment zrzuciła ochronny pancerz, którym chroniła się przed resztą świata. Ale nie przed nim.

Nie chciał, żeby kiedykolwiek znów od niego uciekała. Przecież jest jej ochroniarzem, więc nie powinna sobie na to pozwolić. On też nie, bo obudziły się w nim uczucia, które dawno uważał za martwe.

Puścił jej ręce, ujął za ramiona i przyciągnął łagodnie do siebie.

- Jediną rzeczą, która nie pozwala ci kochać i być kochaną, jest twoja duma. Widziałem, jaka potrafisz być czuła i serdeczna, jak bardzo kochająca. Jimmy tego nie widzi. Ale ja tak. I Frankie. I Judith, i Ben...

Chciał ją pocałować, ale odwróciła głowę, więc zadowolił się muśnięciem jej policzka.

- Bronię się, żeby nikt mnie już nigdy nie zranił, Mitch. Może to tchórzostwo, ale nie jestem tak silna jak ty.

- Bzdu... - Jego wargi znieruchomiały tuż przy kuszącym cieple niewielkiego zagłębienia pod jej uchem. - Naprawdę w to wierzysz? Popatrz, ile trudności już przeczłżyłaś. Z iloma rzeczami musisz się zmierzyć każdego dnia. I

dokonujesz tego wszystkiego prawie samodzielnie. Mało kto by się nie poddał, żyjąc w takim stresie.

Jej palce lekko musnęły maleńką srebrną spinę, którą mu podarowała. Czyżby chciała się upewnić, że dobrze robi ufając mu? Zaraz potem mocno chwyciła go za klapy marynarki.

- Ale ty ryzykujesz każdego dnia. Cieszysz się szacunkiem tak wielu ludzi. Nie pozwalasz sobie na strach. Najwyżej wpadasz w złość.

Mitch potrząsnął głową.

- Wcale się tak bardzo od ciebie nie różnię, Casey. Po prostu robię to, co muszę, żeby jakoś wytrzymać.

Przyciągnął ją do siebie i objął. Wiedział już, że i jej, i jemu daje to pocieszenie.

Wargi Casey musnęły jego szyję.

- A więc jedyną różnicę między nami stanowi to, że kiedy mamy już wszystkiego dość, ty wpadasz w szał, a ja zmieniam się w wyniosłą księżniczkę.

- Nie jest tak źle - uśmiechnął się Mitch.

- Przecież takiej mnie nie znosisz. - Casey też się uśmiechnęła.

- Powiedzmy może, że lubię wyzwania.

- Jest pan bardzo szarmancki, kapitanie. Zrobi pan furorę na dzisiejszym bankiecie.

Mitch jęknął i mocno ścisnął jej ramię.

- Musiałaś mi o tym przypomnieć.

Śmiech Casey wzmógł jeszcze jego strach przed nadchodzącym wieczorem. Tak chętnie dzieliliby go z kimś ważnym. Marzył, by mogła to być Casey Maynard.

Miło mu było słyszeć pochwały z jej ust. Cieszył się, że mogą zawrzeć rozejm, rozmawiając o swoich obawach. Chciał jej za to podziękować. Jeszcze raz ją uspokoić. I uspokoić siebie.

Jego usta były coraz bliżej jej ust. Tym razem się nie odsunęła.

- Mam, stary! Ale.. - Zapatrzona w trzymaną w rękę kartkę, Ginny weszła do pokoju. Casey drgnęła jak oparzona, a on spuścił wzrok. - Przepraszam.

Mitch wyprostował się i wygładził klapy smokingu. Czuł jeszcze na nich ciepło rąk Casey.

- W porządku, Gin - rzekł. Tym razem powrót do autorytarnego tonu przyszedł mu z większym trudem. - Złapałaś Merle'a?

- Tttak. - Ginny była równie zakłopotana jak Casey i Mitch. - Przefaksuje ci tutaj ten raport. Dałam mu twój numer.

Na dźwięk dzwonka windy dziewczyna odetchnęła z ulgą.

- Ja... Ja... zaraz wracam.

Znów został sam na sam z Casey. Poczuł, że przepaść między nimi znów się otworzyła. Była jednak pewna maleńka różnica. Piękna głowa Casey nie była już tak wysoko uniesiona.

- Dasz sobie radę? - spytał.

Casey spojrzała na niego i uśmiechnęła się. Słabo, ale jednak.

- Spróbuję, stary. Spróbuję.

Zanim zdążył zareagować na to interesujące przezwisko, do pokoju wpadła Ginny, a za nią, dużo wolniej, wtoczył się Brett.

- Przybył nasz neandertalczyk, żeby dotrzymać nam towarzystwa.

- Posłuchaj, złotko, jeśli mam cię za bardzo rozpraszać, mogę zawsze zadzwonić do domu i poprosić, żeby przysłali tu któregoś z moich młodszych, brzydszych braci.

- Brett! - Jednym słowem Mitch zgasił uśmiech na twarzy swego kuzyna. Ufał Brettowi i wiedział, że będzie chronił Casey, podejrzewał jednak, że doprowadzi Ginny do szału. W

pacy dziewczyna była zawsze bardzo zasadnicza, zaś młody kuzyn nie przepuścił żadnej okazji, by poflirtować.

Śmiech Casey przyciągnął go do niej jak magnes.

- No, ruszaj - rozkazała. - Miłego wieczoru! Czuję, że zapowiada się niezła impreza.

- Odprowadź mnie do drzwi.

Mitch ujął ją za rękę. Nie zaprotestowała, lecz mocno zacisnęła delikatne palce na jego masywnej dłoni. Lekko utykając, z gracją podążyła za nim.

Przy drzwiach włożył płaszcz, ale wyraźnie nie chciał już wychodzić.

- O co chodzi? - spytała w końcu Casey, zakłopotana jego milczeniem.

- Chciałbym, żebyś mogła ze mną pójść.

- Gdyby Emmett nie był na wolności, może bym ci i towarzyszyła.

- Gdyby Raines nie był na wolności...

Nigdy byśmy się nie spotkali, dokończył w duchu Mitch i ta myśl go przeraziła. Ta stojąca przed nim piękna i wyjątkowa kobieta w ciągu zaledwie tygodnia obudziła w nim więcej uczuć, niż ktokolwiek inny od dziesięciu lat. Wspaniale było znów żyć. I czuć.

Nigdy jednak nie poznałby Casey Maynard, gdyby ten psychopata na nią nie polował. Gdyby jej życie nie było zagrożone, ich ścieżki nigdy by się nie skrzyżowały.

A gdy wszystko się już skończy, kiedy Casey będzie bezpieczna, ich ścieżki znowu się rozejdą i straci ją na zawsze.

- Do zobaczenia - szepnął tylko i leciutko pocałował ją w usta.

- Możesz być o mnie spokojny.

Niestety, nie był. Ani na moment nie opuszczała go pewna niepokojąca myśl, a może raczej przecucie. Nie powinien tego wieczora zostawiać jej samej.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Casey odchyliła się w krzesło i uśmiechnęła na widok pełnej skupienia miny, z jaką Brett studiował leżące na planszy litery. Był niezłym graczem, to musiała mu przyznać. Ale nie tylko na grze był skupiony. Praktycznie nie spuszczał oka z pięknej twarzy Ginny oraz jej blond loków i nawet nie próbował tego ukryć. Policjantka ignorowała jednak wszelkie przejawy flirtu, każdy przyjazny gest czy zmianę tematu na bardziej frywolny.

Obecnie między jej dwoma dozorcami toczyła się już prawdziwa bitwa wrodzonej inteligencji z twórczym myśleniem, z Casey jako rozbawionym sędzią. Popatrzyła na Ginny, która omiotła pokój takim samym jak Mitch czujnym spojrzeniem. Przybrała spokojną, obojętną minę, ale bębnienie jej palców o stół zdradzało wyraźną irytację.

Casey zastanawiała się, czy Mitch też ją tak postrzega - jako wyzwanie - świadome czy nie - które każdy mężczyzna, wart tego określenia, musi podjąć? Czy Brett straciłby zainteresowanie Ginny, gdyby ta dziewczyna nagle roześmiała się z któregoś z jego głupich dowcipów? Czy tak samo podobałaby się mu prawdziwa kobieta, nie niezmiennie czujna policjantka?

Czy Mitch rozczarowałby się prawdziwą Casey? Mężczyzna z jego usposobieniem i walorami nie mógłby zainteresować się szczerze kaleką samotnicą.

Został do końca przy swej zdradzającej go żonie, bo uważał, że tak powinien postąpić. Czy poczucie obowiązku zwyciężyłoby w nim raz jeszcze? Czy mógłby związać się z nią, nawet jeśli jej nie kocha? Jeśli nie może jej kochać?

- Poliuretan.

- Co takiego? - warknęła Ginny.

Gestem magika Brett ułożył litery O - L - J - U - R - E - T
- A - N po P położonym przed chwilą przez Casey.

- Nie tak się to pisze.

- Zdziwiło cię, że w ogóle znam to słowo, co?

Na stojącym w rogu pokoju biurku Mitcha ostro zadzwonił dzwonek telefonu. Ginny odsunęła krzesło...

- Ty to masz szczęście - rzuciła w stronę swego przeciwnika. - To pewnie faks od Merle'a.

Casey położyła jej rękę na ramieniu, odcinając drogę ucieczki przed oburzonym spojrzeniem Bretta.

- Ja odbiorę. I tak muszę trochę rozprostować kości. W oczach Ginny natychmiast pojawiła się czujność.

- Nic ci nie jest? Coś cię boli?

Casey wiedziała, że musi skłamać. Właściwie lekki ból nigdy jej nie opuszczał.

- Nic takiego, ale ruch nikomu jeszcze nie zaszkodził. Tak przynajmniej mówi mój lekarz.

- W porządku - uspokoiła się Ginny. - Ja tymczasem przygotuję nam wszystkim kawę. A nasz mądrała niech złoży planszę. Raport zostaw na biurku Mitcha, dobrze?

Kątem oka Casey zauważyła, z jaką uwagą Brett przygląda się odchodzącej Ginny. Tęskne spojrzenie policjantki odzwierciedlało jej własne uczucia. Wiedziała już, że miłość do Mitcha jest daremna.

Tak, kocha go! Wsparła się o twarde oparcie dębowego krzesła stojącego przy biurku i znów ze smutkiem przypomniawszy sobie jego siłę i niezachwianą odwagę. Czy kiedykolwiek będzie taką kobietą, na jaką ten wspaniały mężczyzna zasługuje?

Kiedy przeszła informacyjna strona faksu, Casey czekała na dalsze. Czy Jimmy rzeczywiście kogoś kryje? Wiedziała, że Mitch tak myśli, choć nie jest jeszcze gotów, by powiedzieć to głośno. Niezbyt lubi jej ojca chrzestnego, a i ją, szczerze mówiąc, ostatnie działania wuja wprawiają w zakłopotanie. Wyznaczył Mitcha, by ją chronił, a potem za to go krytykuje.

Polityka to zabawna gra. Często ją obserwowała, ale nigdy tak do końca nie rozumiała jej zasad.

Dopiero po chwili dotarło do Casey, że maszyna zamilkła. Wzięła do ręki wyplute przez nią kartki, żeby sprawdzić, czy druk jest wyraźny. Dwie krótkie linijki i znajome zdjęcie zwróciły jej uwagę...

Ze ściśniętego gardła dziewczyny wyrwał się ostry krzyk. Papier wypadł jej z ręki. W tej samej chwili był już przy niej Brett. Odepchnął ją od biurka i zasłonił swoim ciałem. Przybiegła też Ginny. Wymachiwała niewielkim, srebrzystym pistoletem.

- To faks - rzucił przez zęby Brett, który pierwszy zorientował się, co Casey tak przeraziło.

- Co tam jest?

Ich słowa z trudem docierały do ledwie żywej z przerażenia Casey. A potem Brett przeczytał to, co już w jej mózgu wyryte zostało na zawsze.

To jest człowiek który pocałował pannę, która umarła w domu, który zbudował Jack.

Wyczuła raczej, niż zauważyła, jak pokazuje Ginny kartkę. Zdjęcie Mitcha z jakiejś gazety zostało prymitywnie zeskanowane albo skserowane. Dodatkowe elementy - podcięte gardło i krwawiące serce widać było jednak bardzo wyraźnie.

- Skąd on wie, że Mitch mnie pocałował?

Ta świadomość była paralizująca. Straciła czujność i poddała się uczuciom. A teraz sprawdzają się jej najgorsze obawy. Z jej powodu ktoś inny zostanie skrzywdzony.

Z jej powodu Mitch może zginąć.

- Boże święty, on cały czas nas obserwował! - szepnęła. - Wie, że tu jestem.

Brett był już w drzwiach. Narzucił kurtkę i wyciągnął komórkę.

- Zadzwoń do Josha i sprawdzimy, co się dzieje na zewnątrz. Nikt niezauważony nie powinien podejść bliżej, niż trzy przecznice stąd. On z widzenia zna tu wszystkich.

- Emmetta by nie rozpoznał! - zawołała za nim Casey. Dopiero teraz była w stanie zebrać myśli. - Może być każdym. Nawet waszym bliskim znajomym.

- Drań nie będzie groził mojej rodzinie! Ani przyjaciom! I w naszej okolicy nigdy się nie zadomowi. Znajdziemy go.

Kiedy zatrzasnęły się za nim drzwi, Ginny poprowadziła ją do stosunkowo bezpiecznej jadalni.

- Może on tylko chce cię nastraszyć - zasugerowała. - Może wcale nie widział ciebie z Mitchem. Niepokoi mnie tylko, skąd wie, że tu jesteś. Faks wysłano z punktu usługowego w drugim końcu miasta. Albo ma wspólnika, albo to tylko zwykły zbieg okoliczności. Obawiam się, że chłopaki nikogo dziś nie znajdą.

Casey musiała jej przyznać rację.

- Jest na tyle sprytny, by domyślać się, że tu jestem, wcale nie obserwując okolicy. Wszyscy, którzy byli w moim domu w Święto Dziękczynienia, plus moja służba, wiedzą, że wyznaczono Mitcha do mojej ochrony. Emmett mógł obserwować kogoś z nich albo założyć podsłuch na ich telefon, albo... Nie wierzę, by ktokolwiek z nich mógł celowo mnie zdradzić.

Przerwała, czując, że jej głos stał się nie do wytrzymania piskliwy. Po chwili, dużo już spokojniejsza, zmusiła się do sformułowania oczywistej prawdy.

- Nigdzie nie jesteśmy bezpieczni.

- My? - Ginny wsunęła pistolet do przytroczonej do paska kabury.

- Mitch. Ja. A teraz i ty. Każdy, kto próbuje mi pomóc.

- To nieprawda. - Ginny lekceważąco machnęła ręką, potem wyjęła z torebki plastikową kopertę i schowała do niej faks. - Stary jest w tej sprawie jak obronny pies. Prędzej sam zginie, niż pozwoli, by cokolwiek ci się stało.

Casey rozejrzała się po pokoju, koncentrując uwagę na tych rzeczach, które tak bardzo przypominały jej Mitcha.

- Nie jest to szczególnie pocieszające. Nie chcę, by komuś coś się stało z mojego powodu.

- To nasza praca. - Ginny usiadła obok niej przy stole. - A myślę, że dla Mitcha to coś bardzo ważnego.

Choć bardzo starała się opanować strach, złość uniemożliwiała jej realną ocenę sytuacji.

• - Ty mnie nie słuchasz. - Wzięła do ręki przezroczystą kopertę z faksem i jeszcze raz przeczytała jego treść. Na zdjęcie starała się nie patrzeć. - To dotyczy Mitcha, nie mnie. Tym razem wierszyk jest trochę inny.

- Nie podoba mi się to.

Casey rzuciła kopertę na stół i szybko poszła do holu po płaszcz.

- Muszę zobaczyć Mitcha.

- Mówiłam, że mi się to nie podoba. - Ginny, szybsza niż błyskawica, zagroziła jej drogę. - Nie możesz stąd wyjść. Mogłabym zapomnieć o awansie. Zresztą nie doszłoby do niego, bo wcześniej Mitch urwałby mi głowę.

Casey spojrzała na policjantkę i podzieliła się z nią swoim odkryciem.

- Zastanów się, Ginny. Emmett tym razem nie mnie grozi. Grozi Mitchowi. To on jest w niebezpieczeństwie.

Ginny podeszła do wiszącego na ścianie telefonu i wzięła kartkę z numerem, który zostawił jej szef.

- To zadzwonię i powiem mu o tym.

- Jeśli nie zabierzesz mnie na ten bankiet, sama znajdę jakiś sposób, żeby się tam dostać. - Tak bardzo chciała, żeby

ta dziewczyna zrozumiała powód jej niepokoju. - Widziałam, do czego Emmett jest zdolny. Patrzyłam w jego zimne oczy. Może tylko ja potrafię go rozpoznać. Muszę dotrzeć do Mitcha przed Emmettem.

- Nie!

Casey spróbowała z innej beczki.

- Emmett wie, że tu jestem! Wasze zabezpieczenia się nie sprawdziły. Gdzie będę bezpieczniejsza niż na bankietowej sali pełnej policjantów?

Ginny zaczęła się wahać.

- Ale sposób działania Emmetta polega na tym, że najpierw kogoś zabija, a potem zajmuje jego miejsce, prawda? Czy możesz być pewna, że nie będzie przebrany za któregoś z tych policjantów?

- Nawet jeśli tak, to co może mi tam zrobić? Mamy szansę, by go dopaść.

Ginny zablokowała przed nią drzwi.

- W centrum konferencyjnym może być nawet pięćset osób. Jak go w tym tłumie znajdziesz, zanim zdąży dopaść Mitcha?

- My nie musimy szukać Emmetta. Jeśli się tam zjawię, on znajdzie mnie.

- Mitch Taylor.

W sali rozległy się gromkie oklaski. Ich fałszywy ton ranił jego uszy.

Dwadzieścia lat. Ci ludzie nie mają pojęcia, co to dla mnie znaczy.

Ale Mitch umiał zachować kamienny wyraz twarzy w pokoju przesłuchań albo na sali sądowej. Przed paroma laty pracował jako tajniak. Wiedział, jak zmienić wygląd i zachowanie, by dopasować się do otaczających go ludzi. Dla obecnych na dzisiejszym bankiecie najważniejsze są pozory. Może jednak mimo wszystko do nich pasuje?

Ta ironiczna myśl wywołała uśmiech na jego twarzy. Wygładził jedwabne klapy smokinga i ruszył w stronę podium. Gwałtownie poruszona, srebrna spinka od Casey odpięła się i upadła na podłogę. Zły znak. Ale Mitch nie był człowiekiem przesadnym. Głupio mu tylko było, że nie troszczył się bardziej o prezent od niej. A także nie troszczył się bardziej o samą Casey.

Postanowił zapamiętać, żeby, zanim zwróci ją właścicielce, oddać spinkę do naprawy. Zaskoczony, że myśl ta wzbudziła w nim uczucie zawierające w sobie przedsmak tęsknoty za Casey, podniósł drogocenny skarb i schował go do kieszeni.

Przyjął gratulacje burmistrza i dyplom. Jego wzrok na moment spotkał się ze spojrzeniem Jamesa Reeda, siedzącego na lewo przy prezydialnym stole. To zabawne, pomyślał. Komisarz przykładownie klaskał w dłonie, ale w jego oczach nie było dumy ani uznania dla wybranego przez siebie przecież kandydata. Nie, widać w nich było raczej coś na kształt ostrzeżenia.

Przed czym? By nie przyniósł dziś szefowi wstydu? Żeby nie ujawnił podejrzeń, iż komisarz coś ukrywa? Na przykład zbrodnię? Albo może ten facet czuje się winny, że spałał sprawę i nie ochronił własnej chrześniaczki?

Zauważył, że przy stole Joego Hendricksa siedzi jego wuj z ciotką i oboje promienieją dumą. Sid ścisnął ramię Marthy; po jej twarzy płynęły łzy. Mitch kiedyś uważał się za wyrzutka i, być może, dla wielu osób na tej sali nadal był nim. Pochodził ze złej dzielnicy. Ale kochał miejsce, w którym żył. Kochał mieszkających tam ludzi. Swoich sąsiadów.

Czy naprawdę chciał ich opuścić i zostać zastępcą komisarza? Czy ta posada naprawdę tak wiele dla niego znaczy, jeśli wiąże się z rozstaniem z rodziną i przyjaciółmi? Jeśli będzie musiał opuścić swój posterunek, przenieść się za

mahoniowe biurko i wysłuchiwać rozkazów komisarza czy innej grubej ryby? Czy naprawdę tak mu zależy, żeby być członkiem tego towarzystwa? Może odezwały się w nim echa marzeń Jackie, a nie jego własne?

Ale czy wtedy nie będzie bardziej odpowiednią partią dla Casey?

W sali zapadła wyczekująca cisza. Mitch ugryzł się w język i powstrzymał od podzielenia się z szerszą publicznością tymi wszystkimi myślami.

- Panie burmistrzu! Panie komisarzu! Dostojni goście! Ta nagroda to dla mnie wielki zaszczyt. Ale jeszcze większą nagrodą i przywilejem jest służba mieszkańcom Kansas City.

Recytował dalej przygotowane wcześniej przemówienie. Cholera, szkoda, że jego rodzice tego nie widzą. Szczególnie tata byłby z niego dumny. Robił przecież karierę, którą w przypadku ojca przerwała przedwczesna, bezsensowna śmierć.

Znudzeni przemówieniami goście wychodzili i wchodzili z powrotem do sali, dzwonili gdzieś, poprawiali fryzury. Garstka kelnerów krążyła wokół stołów, nalewając napoje i zmieniając talerze. Mitch popatrzył za jednym z nich, znikającym za wahadłowymi drzwiami dla służby. W widocznej przez ułamek sekundy kuchni dostrzegł postać drobnej blondynki w stroju zupełnie nie uroczystym - w kurtce, puchowej kamizelce i džinsach.

Zesztywniał, słowa uwieźły mu w gardle. Ginny?

Przy kolejnym wahnięciu drzwi zauważył stojącego obok niej potężnego, ciemnowłosego mężczyznę w wełnianym płaszczu. Brett?

Zrobiło mu się zimno. Kto, na miłość boską, pilnuje Casey? Co się, do cholery, dzieje?

Czyżby Raines jakoś jednak do niej dotarł?

Czy przekazał jej kolejną wiadomość? A może tym razem zrobił to osobiście?

Nie!

Zrezygnował z dalszej części swego przemówienia i złożył już tylko szybkie podziękowania. Zebrał notatki i wepchnął je do kieszeni. Na moment jeszcze uniósł do góry dyplom, wywołując tym fale wymuszonych oklasków. Musiał wrócić do Bretta i Ginny i dowiedzieć się, co się dzieje.

Niestety, w tej samej chwili wstał burmistrz, żeby uścisnąć mu dłoń. Potem szef policji. Potem zagrodzili mu drogę trzej miejscy radni.

Ze złością, graniczącą z paniką, Mitch próbował ich ominąć. Żałował, że jego zdolności telepatyczne są zbyt słabe, aby mógł dotrzeć do Bretta czy Ginny. Wyciągał szyję ponad gratulującym mu tłumem, szukając choć wzrokowego z nimi kontaktu. Musiał jak najszybciej poznać prawdę. Na widok tego, co zobaczył, serce podeszło mu do gardła.

Złote włosy opadające na ramiona, ciemny płaszcz, jasna skóra zarumieniona od zimowego chłodu.

Casey?

Odważna, śliczna, uśmiechnięta mimo strachu widocznego w jej oczach.

Ignorując wyciągnięte ręce i poklepywania, Mitch przedzierał się przez tłum. Zapomniał już, że jeszcze parę godzin temu żałował, że jego podopieczna nie może mu towarzyszyć w tej ważnej uroczystości. Widział tylko jej pogodny uśmiech i ślad niepewności w dumnie wyprostowanej postawie.

- Mitch?

Kiedy wreszcie udało mu się przedrzeć przez ostatni rząd widzów, Casey rzuciła mu się w ramiona. Poczł jej ręce desperacko zaciśnięte na swoim karku. Objął ją mocno w pasie, odsunął odrobinę od siebie i podtrzymał.

- Co się dzieje? - szepnął w jej włosy.

Zanim zdążył poczuć jej słodki, waniliowy zapach, znów się do niego przytuliła. Dotykała jego twarzy, potem ramion i pleców.

- Nic ci się nie stało? - dopytywała się gorączkowo. Mitch patrzył na nią z zaciśniętymi zębami i zmarszczonymi brwiami. Z typową miną policjanta.

- Nic. Tylko ciśnienie mi podskoczyło, bo jesteś nie tam, gdzie być powinnaś.

Spojrzała na niego wzrokiem niewiniątka. W jej spojrzeniu nie było już panicznego strachu. Uśmiechała się szeroko.

- Musiałam tu przyjść. Przyjmij moje gratulacje. Przez krótką chwilę Mitch po prostu zachwycił się jej

urodą. I dumą, jaką dostrzegł w jej oczach. Czuł, że nie tylko, zwykła uprzejmość kazała jej wyjść z ukrycia.

- Cassandra Maynard...?

- Co się stało?

- Czy widziała pani... ?

Szmer zaciekawionych głosów stojących za nim ludzi wyrwał Mitcha z odrętwienia. Ujął Casey za ramię i zdecydowanie wprowadził z powrotem do kuchni. Aż uderzył się w goleń o jej szynę, tak bardzo chciał, by była wreszcie bezpieczna. Dopiero ból usunął z jego myśli resztki romantycznych uniesień i przypomniał, jak bardzo niebezpieczne może być dla niej pojawienie się w publicznym miejscu. Skinął głową w stronę Ginny, która natychmiast zablokowała drzwi do kuchni" przed zbierającym się tam podekscytowanym tłumem.

- Co ci wpadło do głowy? - Jego podniesiony głos wzbudził zainteresowanie kuchennego personelu. Zanim ktokolwiek z nich zdążył coś powiedzieć, Mitch warknął w ich stronę. - Wynoście się stąd natychmiast! Policja!

Zniknęli w mgnieniu oka. Policja to jednak policja, a rozkaz to rozkaz. W dodatku tuż za Casey pojawił się Brett i jego potężna postać sprawiła, że przeszła im wszelka ochota do dyskusji.

Casey oparła rękę o pierś Mitcha.

- To ja prosiłam ich, żebyśmy tu przyszli.

Ignorując tę wypowiedź, Mitch groźnie spojrzał ponad jej głową na swego kuzyna.

- Dlaczego, do cholery, na to pozwoliłeś?

- Spróbuj jej coś wyperswadować - próbował zażartować Brett, nie zrażony złością kuzyna.

Poczuł delikatne szarpanie za klapę. Odwróciło to jego uwagę od pojedynku, na który wcale nie miał ochoty. Spojrzał na dumnie uniesioną głowę Casey.

- Nie miej do nich pretensji, Mitch. To ja się domagałam, żeby Brett i Ginny tu ze mną przyszli. Dostaliśmy nową wiadomość od Emmetta.

- Co...?

Ujął ją delikatnie pod brodę i kciukiem musnął policzek. Chciał jakoś ukoić niepokój, który dostrzegł w jej oczach. Chciał znów wziąć ją w ramiona, ochronić sobą jak tarczą. Ale skoro Raines jest na wolności, musi zapomnieć, że jest także mężczyzną, a nie tylko policjantem. Było to jednak bardzo trudne.

- Nic ci się nie stało? - spytał, odsuwając ją od siebie.

Casey wyprostowała ramiona i spojrzała mu prosto w oczy. Z wyraźną furią.

- Jestem wściekła jak diabli. On tutaj jest! Nie mam co do tego wątpliwości.

- Wobec tego chodźmy. - Mitch chwycił ją za łokieć i skierował w stronę tylnych drzwi.

Wyrwała mu się jednak i schroniła za Brettem.

- Nigdzie nie idę.

- Skoro Raines tu jest, to idziesz! Bez gadania!

Brett spojrział na Casey, która ze skrzyżowanymi na piersi rękoma i uniesioną głową wyraźnie kwestionowała prawo Mitcha do wydawania jej rozkazów. Uznał, że lepiej będzie odejść.

- Pójdę pomóc Ginny - mruknął i zniknął za drzwiami. Kiedy zostali sami, Mitch z przykrością stwierdził, że przegrał tę bitwę. Jego policyjny autorytet wyraźnie się nie liczył dla tej upartej panienki.

- Na jakiej podstawie sądzisz, że Raines tu jest? Casey bez słowa sięgnęła do kieszeni i wyciągnęła zgniecioną kartkę w plastikowej kopercie.

Mitch przeczytał treść faksu i zaklął pod nosem, nie zwracając uwagi na jej obecność. Nie był już zły, lecz pełen podziwu dla jej odwagi.

- Niepokoisz się o mnie? - spytał z niedowierzaniem, ale i ze wzruszeniem.

- Niepokoję się o nas. Lękam się o wszystkich niewinnych ludzi, którym Emmett może zrobić krzywdę. Chcę go powstrzymać, Mitch. Pragnę go zmusić, żeby się pokazał, a kiedy go rozpoznam, będziesz mógł go aresztować i na zawsze wsadzić tam, gdzie jest jego miejsce.

Czy ona zdaje sobie sprawę z tego, co proponuje? Czy nie wie, jak może to być niebezpieczne? Powinna zdawać sobie sprawę, ile go to może kosztować.

- Casey... Księżniczko. - Mitch wyciągnął rękę i założył jej za ucho nieposłuszny kosmyk włosów. - Nie jestem pewien, czy będę w stanie zapewnić ci bezpieczeństwo.

Casey ujęła jego dłoń w obie ręce. Patrzyła na niego błagalnie.

- Powiedziałaś kiedyś, że jestem przynętą, która może wywabić moich rodziców z ukrycia. Można przecież odwrócić

sytuację, prawda? Czyż nie jestem przynętą, na którą da się złapać Emmett?

Choć była w zwyczajnych dżinsach i ciemnym płaszczu, wyglądała jak dama.

Mitch pokręcił głową i pociągnął ją za sobą w stronę tylnych drzwi.

- Nie mogę tak ryzykować. Tu nie będę mógł czuwać nad tobą. Moja kuzynka ma domek nad Jeziorem Trumana. Wezmę od niej klucz, a potem spróbuję ustalić, w jaki sposób Raines dowiedział się, że przebywasz w moim domu, żebyśmy nie popełnili tego samego błędu.

Casey wyrwała mu się i stanęła, blokując drogę.

- Będziesz musiał jechać ze mną. On chce zabić także ciebie. Nie możesz tu zostać.

- Casey...

- Nie pojedę bez ciebie.

W tej samej chwili oślepił go błysk flesza. . - Panno Maynard, czy zdecydowała się pani wyjść z ukrycia?

- Czy pani i kapitan Taylor jesteście parą?

- Czy to prawda, że...?

Mitch odwrócił się błyskawicznie, lewą ręką automatycznie sięgnął do prawego boku, gdzie powinien być pistolet, który, niestety, zostawił zamknięty w samochodzie.

Całe wnętrze w mgnieniu oka wypełniło się tłumem reporterów i gości, stali między półkami, stołami i szafkami, wszędzie, gdzie udało im się wcisnąć do tej niewielkiej kuchni.

- Wycofać się! - Jego ostrzeżenie uciszyło potok pytań, ale flesze aparatów błyskały nadal.

- Przepraszam, kapitanie. - Przez tłum przedarła się Ginny.

- Joe jest na sali - rzucił Mitch, ignorując jej przeprosiny.

- Znajdź go natychmiast. Ściągnijcie tu wszystkich naszych

ludzi. Ilu się tylko da. Chcę, żeby Casey zniknęła stąd jak najszybciej.

- Tak jest! - Ginny wybiegła. Chciała jak najszybciej naprawić swój błąd i odzyskać zaufanie szefa.

Kiedy tłum znów się rozstał, Mitch był prawie pewien, że to ona wraca - z następnymi złymi wiadomościami. Zamiast niej jednak przedarł się wysoki, tęgi mężczyzna i wyciągnął ku niemu ogromną dłoń.

- Kapitanie Taylor! Nie spodziewałem się, że szykuje pan nam taką niespodziankę!

Mitch wsunął się natychmiast pomiędzy Casey i potężną postać burmistrza.

- Właśnie wychodzimy, proszę pana.

Burmistrz zignorował jednak te słowa i spojrzał ponad jego ramieniem.

- Cassandra?

- To może być nasza szansa - szepnęła Casey Mitchowi do ucha. - Muszę spróbować.

- Nie! - Nie musiała tego robić. Nie powinna ryzykować życia, by chronić czy zadowolić kogokolwiek.

Znów go zaskoczyła. Wbrew jego protestom ominęła go i wyciągnęła rękę.

- Dzień dobry, panie burmistrzu.

- Musisz usiąść ze mną i Sylwią. Zapraszamy cię do naszego stolika.

Lewa ręka Casey zaciśnięta była mocno na rękawie Mitcha. Nawet przez gruby materiał czuł każdy jej palec. Zrozumiał, że jej odwaga jest tylko pozorna. Podziwiał jej determinację, ale nie zamierzał patrzeć, jak cierpi, gdyby jej plan się nie powiódł.

- Przepraszam pana, ale muszę odwieźć pannę Maynard do domu.

Burmistrz zignorował jego słowa.

- Ogromnie się cieszę, że postanowiłaś wrócić do świata. Mamy sobie tyle do powiedzenia. - Burmistrz wziął Casey za rękę. - Oczywiście kapitan Taylor też jest zaproszony. Nie miałem pojęcia, że znów zaczęłaś widywać ludzi. Inaczej Sylwia lub ja dawno byśmy cię odwiedzili...

Tłum, którego Mitchowi nie udało się rozproszyć, rozstał się i nie zatrzymywany przez nikogo burmistrz odmaszerował wraz z Casey. Dziennikarze i gapie podążyli za nimi, a on został sam.

Sam, podczas gdy kobieta, którą kocha, zagarnięta została przez świat, do którego należy.

A jego zostawiła samego.

Może już tylko kląć. Albo się modlić.

Ale służba nie drużba. Powlókł się więc za nimi.

- Zatańczmy.

Szept Mitcha, który dotarł do jej ucha, tylko na moment oderwał ją od wykładu Sylwii Benjamin na temat zmian w wystroju magistrackich gabinetów. Z pełnym zainteresowaniem uśmiechem na twarzy tylko odrobinę pochyliła głowę w stronę siedzącego obok niej mężczyzny.

- To niegrzecznie porzucać burmistrza i jego gości w trakcie rozmowy.

- To nazywasz rozmową?

Nie z nudów poprosił ją do tańca. W jego lodowatym spojrzeniu było coś niepokojącego.

- Coś jest nie tak? - spytała.

- Dziś wieczorem? - Mitch położył rękę na oparciu jej krzesła. Jego zaciśnięte usta nie pozwoliły jej cieszyć się tym opiekuńczym gestem. - Właściwie wszystko.

Brodą wskazał dwie nietknięte lampki szampana, które przyniesiono do ich stolika na srebrnej tacy.

- Wszyscy się na ciebie gapią. Jesteś w centrum zainteresowania.

- I o to chodzi - przypomniała mu.

- Chodzi o to, żebyś była bezpieczna.

Już otworzyła usta, by bronić swoich argumentów w sprawie wywabienia Emmetta z kryjówki, kiedy przerwał jej zaniepokojony głos burmistrzowej.

- Masz jakiś problem, Cassandro?

Zamierzała się wytłumaczyć, ale Mitch był szybszy.

- Ależ nie. - Podniósł się z krzesła i stanął nad Casey.

Z ręką uwięzioną w jego dłoni, nie miała wyboru. Musiała się podnieść. - Porywam Casey na chwilę na parkiet.

- Ależ oczywiście, oczywiście! Macie co świętować. - Sylwia uśmiechnęła się z pobłażliwym zrozumieniem. - Zawołam kelnera i zamówię nam znów coś do picia.

- Dzięki.

Nie puszczając jej ręki, Mitch poprowadził Casey poprzez labirynt stolików i tłum gości ku orkiestrze.

Kiedy jednak stanęli na parkiecie, Casey na nowo poczuła strach. Fantomowy ból przeszył jej okaleczoną nogę aż do uda.

Zachwiała się i ramieniem trąciła przechodzącego obok kelnera. Na krótki, niebezpieczny moment zachwiała się niesiona przez niego taca z pustymi kieliszkami. Zadźwięczało szkło. Kelner był jednak równie szybki jak Mitch. Podtrzymał pewnie tacę, a Mitch ją.

- Przepraszam - powiedziała. Kelner uśmiechnął się.

- Powinienem uważać jak idę, panno Maynard. - Jego wzrok powędrował do towarzyszącego jej mężczyzny. - Dzień dobry, panie Taylor. Piękna z państwa para. Przepraszam.

- Co się stało? - spytał Mitch, obracając Casey ku sobie. Chwycił ją za łokcie, a ona nerwowo skubała klapy jego smokinga. - Dlaczego się zatrzymałaś?

- Mitch, ja... nie tańczyłam od czasu... - Zamilkła i uśmiechnęła się zawstydzona. Miała nadzieję, że Mitch ją zrozumie.

I zrozumiał, ale nie tak, jak się spodziewała.

- Myślałaś, że już nie zobaczysz lampek na Plazy - przypomniał.

Spojrzał na nią z tą samą miną, która zaniepokoiła Sylwię Benjamin.

- No, chodź. Za pięć minut poczujesz się pewniej. Zaczniemy tańczyć trochę na uboczu. I wolniutko.

Objął ją w pasie, jej rękę przycisnął sobie do serca i prowadził tak, jak obiecał - wolniutko, żeby nie nadwerężała chorej nogi.

Czy będąc, w objęciach tego silnego mężczyzny, mogłaby upaść? Czy cokolwiek złego mogłoby jej się stać?

Jak mogłaby pozwolić, by przez nią ktoś go skrzywdził?

- Czułam, że Emmett tu będzie. Byłam pewna, że coś dziś wieczorem zrobi.

- On tu jest.

Mitch powiedział to z takim przekonaniem, że aż zadrżała.

- Skąd wiesz?

Przestali tańczyć. Mitch puścił jej rękę i zaczął masować sobie kark.

- Takie mam przeczucie.

Casey przysunęła się bliżej, odsunęła jego rękę i sama zaczęła masować zeszywniałe mięśnie jego karku.

Nagle i jej, i jemu wydało się, że na całym świecie są tylko oni dwoje, że wspierając się nawzajem, walczą ze złoczyńcą, którego tylko oni mogą powstrzymać i pokonać.

Mitch wsunął ręce w jej włosy i stali tak, przytuleni, obojętni na muzykę i inne tańczące pary.

- Dość tego, Taylor! - Znajomy, ostry głos wyrwał ich z tego złudnego świata. - O awansie możesz zapomnieć.

Silna ręka szarpnęła ją za ramię i wyrwała z objęć Mitcha.

- Jimmy!

Casey zachwiała się, ale przed upadkiem uchronił ją mocny uścisk ręki chrzestnego. Kiedy wciąż krzyczał na Mitcha, poczuła zapach cygar i koniaku.

- Jak śmiesz robić coś takiego mojej rodzinie! Liczyłem na twoją dyskrecję.

Jakaś tańcząca para wpadła na nich i Jimmy zwolnił uścisk. Zaklął pod nosem, kiedy reszta tancerzy otoczyła ich ciasnym kręgiem. Piękne oczy Mitcha, teraz stalowolodowate, patrzyły tylko na Jimmy'ego.

- Casey nie jest kimś, kogo trzeba ukrywać w wieży. Jeśli ktokolwiek zasługuje, by błyszczeć w pełnym świetle, to właśnie ona.

Z błyskiem satysfakcji w oku ścisnął nadgarstek komisarza i zmusił go, by puścił Casey.

- Oskarżę cię o napaść! - wrzasnął czerwony ze złości Jimmy.

Casey, ignorując odczuwany ból, próbowała zaprotestować przeciw tak bezpodstawnemu zarzutowi.

- Za dużo wypiełeś. Jestem tu z własnej, nieprzymuszonej woli. Mitch nie ma z tym nic wspólnego.

Tłum gęstniał coraz bardziej i Jimmy uznał, że powinien pokazać, kto tu rządzi.

- Cassandra zrobi to, co jej każę. Najpierw pozwoliłeś, żeby ten psychopata dostał się do jej domu. Potem zabrałeś ją do siebie. A teraz paradujesz z nią na oczach połowy miasta. Aż prosisz Rainesa, żeby coś jej zrobił.

Obyś się mylił, pomyślała z przerażeniem Casey. Jednak Mitch, niezrażony, objął ją w pasie.

- Jesteśmy tu od dwóch godzin. Dopiero teraz cię to zaniepokoiło?

Przez tłum przedarła się Iris Webster.

- Kochanie, proszę, uspokój się - zwróciła się do Reeda. -
Wiem, że się denerwujesz, ale robisz przedstawienie. Są tu
dziennikarze - dodała ostrzegawczo, nachylając się do jego
ucha.

- Nie możemy popsuć wizerunku komisarza, co? -
skomentował to z ironią Mitch.

Jimmy rzucił się ku niemu z furją, ale Iris zdążyła go
powstrzymać.

- Jimmy martwi się o Cassandrę. Może powinieneś
bardziej jej pilnować, zamiast oskarżać go o coś, co nie jest
prawdą. Nie masz pojęcia, ile ten człowiek zrobił dobrego dla
naszego miasta.

Jej fiołkowe oczy rzucały na niego gromy, ale Mitch ani
drgnął.

- Może najpierw powinien zająć się swoją rodziną.

- Siedem lat temu Jimmy stracił prawie wszystko. - Iris w
tym momencie była kimś więcej niż tylko lojalną pracownicą.
- Najbliższego przyjaciela. Swoją reputację, Cassandro, wuj
przez cały czas się tobą opiekuje, bo tak każe mu lojalność
wobec twego ojca. Należy mu się szacunek i posłuszeństwo.
Za rok będzie się ubiegał o fotel senatora.

- A ty zostaniesz tego senatora doradczynią? - mruknął
Mitch.

Dłoń Iris, mocno zaciśnięta na rękawie Jimmy'ego,
zwróciła uwagę Casey. Kiedy ostatni raz widziała Iris,
asystentka wuja miała rękawiczki. Teraz zauważyła na
środkowym palcu jej lewej ręki pierścionek z brylantem.
Duży, bardzo drogi, w niezbyt dobrym guście.

- Czegoś tak obraźliwego nie zaszczycę nawet
odpowiedzią. - Na głowie Iris nie drgnął ani jeden włos, kiedy
obróciła się na pięcie i odmaszerowała, ciągnąc za sobą
Jimmy'ego. - Chodź, kochanie, odwiozę cię do domu.

Widząc, że przedstawienie dobiegało końca, tłumek gapiów rozstępował się powoli.

- Kochanie? - powtórzyła Casey słowo, które usłyszała z ust Iris. - Ona ma zamiar zostać żoną senatora, a nie jego doradczynią. Ciekawe, skąd wziął pieniądze na ten wielki pierścionek.

- Na pewno nie kupił go z pensji policjanta. - Mitch potrząsnął głową. - Coś mi tu śmierdzi.

- Ona go kocha. To tłumaczy, czemu tak o niego dba i walczy jak lwica.

- Może Jimmy potrzebuje teraz kogoś tak lojalnego, z szeroko otwartymi oczami.

Zaskoczona podobieństwem tego opisu do ich własnej sytuacji, Casey spojrzała na swego opiekuna, ale zanim zdążyła wspomnieć o różnicach, Mitch poprowadził ją z powrotem do stolika.

- No, chodź, zanim znów zbiegną się tu reporterzy.

Na stole czekał na nich kolejny prezent. Tym razem była to róża. Krwistoczerwona.

- To nie jest mój ulubiony kolor, ale trudno - zauważyła Casey i wzięła do ręki leżącą obok karteczkę.

Kiedy otworzyła usta, nie wydobył się z nich żaden dźwięk.

- Casey? .

Niechący strąciła na podłogę tacę, która z głośnym brzękiem upadła u jej stóp.

Mitch pomacał przód swej marynarki i zaklął.

- Dobrał się do mojej kieszeni! Joe!

Na podłodze, przypięta do kawałka hotelowej papeterii błyszczała maleńka replika jej srebrnego medalu. Podarunek od Casey.

Mitch chwycił Casey w ramiona. W tej samej chwili otoczył ich zwarty krąg policjantów, oddzielając od tłumu.

Casey rozglądała się za twarzą, której nie rozpoznała.

Ponownie!

Kelner. Zauważyła jedną białą kurtkę, potem następną.

Chciała przedrzeć się przez otaczający ją ludzki krąg, ale Mitch ani drgnął.

Gdzie jest Emmett, do cholery?

Talizman, który dawał jej poczucie bezpieczeństwa, leżał na podłodze.

I gdzieś w tłumie śmiał się z niej Emmett Raines.

To jest ta róża, piękna i rzadka, Która spocznie na grobie pięknej pary Która umrze w domu, który zbudował Jack.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

- Nie umiesz się ukryć, co? - Drobnym mężczyzną obserwował zamieszanie wokół stolika burmistrza, stając w cieniu szatni. Dzisiejsza zabawa okazała się jeszcze lepsza, niż przypuszczał. Roześmiał się obłąkanym, piskliwym śmiechem. - Uciekać też nie potrafisz.

Tak wielu jego dawnych znajomych zgromadziło się wokół córki sędziego Jacka. Zaciekawionych. Zmartwionych. Bojących się o siebie.

Myśleli, że w tej grze z nim wygrają. Jakże się mylą.

Wydarzenia dzisiejszego wieczora przebiegły z całą zaplanowaną dramaturgią. Wkrótce jego misja będzie zakończona, a jego siostra nareszcie zostanie pomszczona. Czuł jej niepokój, choć wiedział, że złożono ją w ziemi. Czuł jej ból, jej bezsilny gniew. Czuł, jakby były to jego własne odczucia.

Zapłacą za to, że mu ją odebrali. Drogo zapłacą za okaleczenie jego duszy. Dopiero wtedy odpocznie. I Darlene też.

Wyjął z oczu barwione soczewki kontaktowe, włożył je do ust i połknął. Do następnego występu będą mu potrzebne nowe rekwizyty. Para wkładek do butów. Farba do włosów.

Zdjął pożyczoną białą, kelnerską kurtkę i schował ją do płóciennej torby. Pieniądze znalezione u bankowca prawie się już skończyły. Napiwek wrzucany do kieszonki kurtki kelnera wystarczy na taksówkę, ale na niewiele ponad to.

Nie wpadł jednak w panikę.

Nigdy nie wpadał w panikę.

To właśnie dawało mu przewagę nad tamtymi prostakami, którzy mieli tyle tajemnic do ukrycia.

Wszedł w głąb szatni i znalazł brązowy, tweedowy płaszcz, którego szukał. Co za pomysł, by wkładać go, mając na sobie czarny garnitur. Jemu jednak bardzo się przyda.

Zanim wydostał się z hotelu przez system wentylacyjny, zauważył w głębi szatni wiszące na wieszaku długie norki. Obejrzał podszewkę, szukając ręcznie przyszytej metki z nazwiskiem właścicielki.

Aż zgrzytnął zębami.

A więc teraz ta tleniona panna je nosi. Może nie przypuszcza, by ktokolwiek pamiętał, że futro to kupiono dla Cynthii DeBecque i choćby tylko w ramach zapłaty za dobrze wykonaną robotę, powinna je nosić jego siostra, Darlene.

Ale on o tym pamiętał.

Pamiętał także list, który dostał przed paroma tygodniami w więzieniu. Darlene była zaniepokojona. Przed pierwszym stycznia miała wyjść na warunkowe zwolnienie. Powinna się cieszyć.

A ona była przerażona.

Czuł to tak samo jak ona. Zawsze byli ze sobą mocno związani. Tak to jest z bliźniętami, nawet dwujajowymi.

Odetchnął głęboko, by trochę uspokoić napływ adrenaliny. Darlene miała dobre pomysły i zimną krew. On był od planowania i myślenia. Wprowadzał jej pomysły w życie. Tak sprawnie razem działali. Idealna para. Jak jedna istota.

A potem Jack Maynard ich rozdzielił. Nieprzekupny sędzia zamknął Darlene, podczas gdy jego córeczka cieszyła się wszystkimi urokami życia.

Ale on się już tym zajął. Też została uwięziona. Choć teraz odważyła się wyjść na swobodę... Podczas gdy jego słodka Darlene już nie może cieszyć się wolnością! Panna Maynard nie zasługuje na to, żeby żyć, skoro Darlene leży w grobie.

Zacisnął zęby i oddychając przez nos, świadomie opanował wybuch złości. Podziałało. Teraz nie mógł sobie pozwolić na utratę czujności. Nie teraz, kiedy jest tak blisko celu. Wkrótce wszyscy zatańczą tak, jak im zagra.

Wkrótce będzie miał ich wszystkich.

Sędziego, który skazał Darlene. Swego byłego pracodawcę, który uznał, że on i Darlene są zbyt tacy. I córkę sędziego. Bo zrobienie tej pani krzywdy sprawi mu największą przyjemność.

Z futrem zwiniętym pod pachą odsunął właz w suficie i wy dostał się na dach. Darlene zrozumie, czemu musiał odzyskać jej futro.

Wątpił zresztą, by ktokolwiek zgłosił jego kradzież.

Na pewno nie ten facet tam na dole!

Śmiech wstrząsał całym jego ciałem, kiedy zamykał kłapę.

- Nie ruszaj się!

Casey posłusznie skinęła głową na rozkaz Mitcha i zaczęła otrzepywać ze śniegu buty. Stali przed drzwiami pustego domku jego kuzynki, Mitch miał ze sobą latarkę, którą wziął ze swego dzipa.

Oświetlił nią skromne, drewniane wnętrze, sprawdził okna i włączył bojler w aneksie kuchennym. Znalazł lampę naftową, zapalił ją i postawił na ladzie, służącej za stół. Casey widziała jednak tylko ciemne miejsca, do których żółtawe światło nie docierało.

- Nie ma tu prądu? - spytała.

Nie tęskniła za wynalazkami cywilizacji miasta, zła była tylko na Emmetta Rainesa, który zmusił ją do ukrywania się w tej głuszy nad jeziorem.

- Jest, ale kominek najszybciej tu wszystko ogrzeje. Przykłęknął przed stosem polan i zapalił zapałkę. Casey poczuła zapach siarki, a chwilę potem cudowny zapach drewna i dymu, kiedy polana ogarnął ogień.

- Chodź tutaj. - Mitch wyciągnął do niej rękę. Posłusznie spełniła tę wypowiedzianą cichym, ochryłym głosem prośbę. Przytuliła się do niego, a on gładził ją po plecach.

- Już dobrze? - szepnął.

Gdyby miała w zapasie choć trochę łez, na pewno by się rozplakała. Pozostało jej jednak tylko to ubranie na grzbiecie, zmęczenie i ból w sercu.

- Wiesz, boję się, kiedy tak milkniesz. Nie wiem, o czym myślisz.

Casey zamrugła powiekami i spojrzała na niego. Delikatnie pogłaskała go po twarzy.

- Jak możesz być taki silny? - spytała, nie spodziewając się właściwie odpowiedzi. - Jak ty to wszystko wytrzymujesz?

- Muszę. Tak jak ty. Po prostu muszę.

Mimo ciepła jego ramion i ognia, zadrżała. Nie zaprotestowała, kiedy odwróciła się, splotła ręce na piersi i spojrzała w płomienie.

- Może nie powinnam walczyć.

- Naprawdę tak nie myślisz, co? Jeśli się poddamy, Raines zwycięży.

- Przecież już wygrywa. Zastanawiam się, czy kelner, którego udawał, miał rodzinę.

Bo co do tego, że Raines go zabił, nie miała wątpliwości. Mitch też nie.

- Policja przeczesuje hotel od piwnic po dach. Rano powinniśmy już coś wiedzieć. Zadzwoń z komórki, bo tu nie ma telefonu.

Casey od siedmiu lat żyła pogrążona w bólu. Cierpiała, nie mogąc widywać rodziców. Z czasem udało jej się jakoś z tym pogodzić. Ale teraz... To poczucie winy...

Jak będzie żyć, wiedząc, że z jej powodu znów zginął ktoś niewinny?

- Gdyby wtedy udało mi się go zidentyfikować...

- Jego siostra i tak by nie żyła. A on i tak chciałby się zemścić na rodzinie Maynardów. Twój ojciec wsadził Darlene Raines do więzienia. Z tego powodu zginęła. Raines chce

śmierci za śmierć. — Słowa Mitcha brzmiały złowieszczo. - Przyniosę jeszcze trochę drewna. Przy okazji wezmę z dżipa moją policyjną kurtkę i rozejrzę się dokoła. Sprawdzę, czy w okolicy nikt się nie kręci.

Kiedy otworzył drzwi i do środka wpadło lodowate powietrze, Casey nawet się nie poruszyła. I tak było jej zimno. Z poczucia winy i strachu. I ze smutku.

W końcu podniosła się, znalazła czajnik, dwa kubki i pudełko z błyskawicznym kakao. Zdjęła z nogi szynę, żeby wygodniej jej się chodziło. Wciąż jednak nie była w stanie się odprężyć.

Kiedy wrócił Mitch, woda w czajniku, który postawiła na ogniu kominka, już się zagotowała i choć Casey nie miała apetytu, cieszyła się, że coś ciepłego rozproszy chłód, przejmujący jej ciało i duszę.

Mitch ustawił termostat i podszedł do kominka, zdejmując po drodze kurtkę i marynarkę. Czarna, skórzana kabura na pasku kontrastowała ze śnieżną bielą koszuli. Z wnętrza kuchennej Casey podziwiała jego silną, muskularną postać.

Ma takie silne ramiona, pomyślała. Jak inaczej mógłby brać na swoje barki taką odpowiedzialność. Miał też silną wolę, bystrość i wspaniały instynkt.

A ona... tak niewiele może dla niego zrobić. Chciała mu pomóc w ujęciu Emmetta Rainesa i zawiodła. Casey odsunęła od siebie tę przygnębiającą myśl. Wyprostowała ramiona. Dziś wieczorem, przysięgła sobie w duchu, pomogą jej zmniejszyć ciężar, jakim jest dla Mitcha.

- Proszę. - Przeszła przez pokój i wręczyła mu kubek z parującym kakao. - To cię powinno rozgrzać.

- Nie musiałaś tego robić. - Wziął jednak naczynie do ręki i z przyjemnością wdychał czekoladowy aromat.

- Nie ma sprawy. - Stała obok niego i sączyła swój napój. Z nadzieją, że ciepło ognia, kakao i Mitcha pomoże i roztopi tkwiący w niej sople lodu. - Nie powiesz: „A nie mówiłem”?

Odpowiedział dopiero po chwili.

- A chcesz tego?

Dlaczego nie chce się przyznać, że jest zły, może nawet rozczarowany? Rano dał przecież temu upust. Czemu teraz dusi to wszystko w sobie.

- Patrzyłam temu człowiekowi prosto w oczy. Uśmiechał się do mnie, a ja go nie rozpoznałam.

- Bałaś się o mnie. Niepokoiłaś się o wszystkich ludzi na sali. Trudno przy tym skoncentrować się na rozpoznaniu człowieka, którego nie widziałaś od siedmiu lat. Ja przeglądałem jego teczkę ze zdjęciem, ale w banku go nie poznałem. - Patrzył na nią badawczo, a w jego oczach tańczyły złote ogniki. - Wykazałaś się wielką odwagą, przychodząc na ten bankiet i próbując sprowokować Rainesa do ujawnienia się.

- Ale mi się nie udało.

Mitch odstawił kubek na półeczkę nad kominkiem, potem rozluźnił krawat i rozpiął dwa górne guziki koszuli.

- Wcale tak nie uważam. Taki facet jak Raines chce grać według własnych zasad. Ty się im dziś nie poddałaś. Opuściłaś swoją wieżę z kości słoniowej, wszystko jedno, czy po to, żeby ratować mnie, czy po to, by stanąć twarzą w twarz z nim. Tym razem nie tak łatwo cię zastraszył. Teraz Raines musi przejść do planu B, jeśli taki ma. Może będzie musiał wziąć jakiegoś pomocnika, może zmienić rozkład czynności. Mamy większą szansę, że popełni błąd, zanim znajdzie następną ofiarę.

- Boję się, Mitch.

Mitch wyciągnął rękę i pogłaskał ją po policzku.

- Ja też, księżniczko. - Gładził teraz jej brodę. - Ale nie możemy pozwolić, by ten strach nami rządził. Bo inaczej Raines rzeczywiście wygra.

- Więc co możemy zrobić? - szepnęła.

Wyjął jej z ręki kubek i postawił obok swojego. Z uśmiechem wyciągnął do niej rękę.

- Przerwano nam dziś taniec. Czy mogę panią prosić?

- Bez muzyki?

- A jest nam ona potrzebna?

Powoli, ale odważnie wsunęła się w jego objęcia, podała mu dłoń, dragą położyła na ramieniu.

Czując jego uda przyciśnięte do swoich, poddała się jego sile. Poruszali się w rytm muzyki, słyszalnej tylko dla nich dwojga.

Kiedy jej palce natknęły się w pewnej chwili na gładką, czarną skórę, zadrżała i zmyliła krok.

- O Boże!

- Spokojnie, księżniczko. - Mitch przyciągnął ją mocniej do siebie i pogładził po plecach. - Jesteśmy tu tylko my dwoje. Nie ma nikogo więcej.

- Mitch? - szepnęła, kiedy jego usta znalazły się tuż przy jej wargach.

Strach zniknął. Zniknęła świadomość kalectwa. Był tylko on. I ona. Mężczyzna i kobieta.

Kiedy odsunął ją i zdjął jej sweter, nie protestowała.

- Jeśli się boisz, przestanę.

- Boję się, że przestaniesz.

- Jak pani sobie życzy - szepnął, kładąc ją na dywaniku przed kominkiem.

Casey nie miała ochoty rezygnować z otaczającego ją cudownego ciepła. Leżąc na boku, wpatrywała się w ogień na kominku. Kiedy spała, Mitch musiał dorzucić kilka świeżych

polan. Leżał teraz tuż za nią. Tak jak wcześniej, po tym, kiedy się kochali.

Tyle tylko, że teraz jej nie obejmował. Czowała na plecach ciepło jego ciała, ale miała wrażenie, że jest jakby nieobecny, choć nadal ją ogrzewał, bo taką miał opiekuńczą naturę.

Czyżby go rozczarowała? Tak bardzo go pragnęła, tak bardzo potrzebowała. Może przez moment wydała mu się pociągająca. Teraz jednak, widząc w świetle dnia jej całą niedoskonałość, na pewno tego żałuje.

O Boże! Zaraz powie coś uprzejmego i odejdzie od niej pod pretekstem zrobienia czegoś ważnego. Może będzie musiał sprawdzić bojler albo zadzwonić na komendę.

W tej samej chwili poczuła jego rękę na swojej nodze.

Sunęła w górę blizny, potem w dół. Delikatnie, bardzo delikatnie. Nieprzypadkowo.

Otworzyła szeroko oczy, przypominając sobie podobny dotyk, inną rękę, w innym czasie i w innej scenerii.

Pora rewanzu, tak mówił tamtej nocy Emmett Raines.

- Nie, proszę - szepnęła błagalnie.

Mężczyzna był inny. Dotyk inny. Ale potrzeba ucieczki przed nim taka sama.

Usiadła. Jej ciało, obolałe po nocnych pieszczotach Mitcha, zaprotestowało. Naciągnęła koc, kryjąc nagość.

- Nie chciałem cię przestraszyć, księżniczko. Ja tylko...

Odrzuciła gwałtownie jego rękę i wstała.

- Nie przestraszyłeś mnie.

Mitch zignorował to oczywiste kłamstwo i stanął obok niej. Mogła się teraz swobodnie owinać całym kocem, który zaledwie parę godzin wcześniej był posłaniem miłości. Teraz wydawał jej się ciężki i szorstki.

Mitch stał przed nią nagi i wspaniały jak prawdziwy gladiator. Na jej policzkach pojawiły się rumieńce. Nie z gorąca. Ze wstydu.

Widział ją naga. Czuł ją, dotykał. Znał prawdę i widziała to w jego oczach. Jej ciało wywoływało w nim wstręt, to, co robiła, złościło. Odwróciła się od niego, odgradzając się dawną ścianą lęku i nieufności.

Przydepnęła róg koca, ale Mitch podtrzymał ją za łokieć i nie pozwolił upaść. Jego uścisk był mocny. Poprawił koc i zarzucił go jej na ramię jak togę. .

- Powiesz mi o co chodzi, czy mam się domyślać? - Puścił ją i szybko włożył slipy.

O co chodzi? Czy to nie oczywiste?

- Ty mi powiedz - odparła. Upokorzona jednak gwałtownie napływającymi do oczu łzami, odwróciła głowę. - A może lepiej nie.

Od początku wiedziała, że w świetle dnia wyda mu się odrażająca. Idiotka, tylko siebie mogła winić za głupią nadzieję, że może Mitch nie zauważy deformacji jej ciała i nie poczuje do niej wstrętu.

Niezgrabnie rzuciła się w stronę łazienki, chcąc ukryć swój wstyd za jedynymi zamkniętymi drzwiami w tym pomieszczeniu.

- Nawet o tym nie myśl, księżniczko. - Mitch chwycił ją mocno za ramię. - Nie uciekniesz przede mną. Choćbyś się nie wiem jak starała.

- Czy ty cały czas jesteś na służbie? - prychnęła z całą ironią, na jaką mogła się w tej chwili zdobyć.

- Nie mówię w tej chwili o zapewnieniu ci bezpieczeństwa. Mówię o twojej szczerości wobec mnie. I wobec samej siebie.

Casey uniosła brodę, gotowa bronić się przed tym zarzutem. Stali twarzą w twarz, nawet oddychali w jednym rytmie. Ich oczy płonęły.

- O szczerości? W jakiej sprawie? Mam ci powiedzieć szczerze, jak się czuję po tym, gdy widziałeś mnie całą? Naga!

Okaleczoną! Jestem zawstydzona. Upokorzona. Zła na swoją niedoskonałość. Na to, że choćbym nie wiem ile przeszła operacji plastycznych, te siedem blizn zawsze pozostanie.

- Skończyłaś?

W pewnym momencie tej tyrady Mitch puścił ją. Lodowaty chłód jego głosu ostrzegł ją, by nie przeciągała struny. Odwrócił się do niej i zaczął się ubierać.

Próbowała przeproszać i przekonać go, że czuje się winna temu, co się stało. Że nie ma do niego pretensji.

- Posłuchaj. To, co zaszło wczoraj, to był błąd. To się nie powinno stać. Nie chcę, żebyś myślał, iż spodziewam się jakichś deklaracji albo że będę się czegokolwiek od ciebie domagała....

- Nie, oczywiście, że nie! Jak mogłabyś się wiązać z kimś takim jak ja.

Casey zrobiła krok do przodu i stanęła tuż za jego szerokimi, nagimi plecami.

- Nie przedrzeźniaj mnie, Mitch. Tak trudno zachować tę odrobinę dumy i wiary, kiedy straciło się prawie wszystko i jakiś wariat nawet tę resztkę próbuje ci zabrać.

Wkładając koszulę, spojrzał na nią przez ramię. Surowo i z potępieniem.

- A więc znów schowasz się w swojej wieży z kości słoniowej, będziesz leczyć rany i uważać się nad sobą.

- Nie żyję w żadnej wieży.

- Nie? - Mitch odwrócił się ku niej ze złością. Cofnęła się instynktownie, kiedy zrobił w jej stronę kilka szybkich, zdecydowanych kroków. - Za każdym razem, kiedy choć na chwilę pozwolisz sobie być sobą, kiedy okażesz jakieś uczucia, cofasz się i zamykasz jeszcze dokładniej. Unosisz dumnie tę swoją głowę i patrzysz z góry na nas biedaków, którzy walczą o przeżycie w prawdziwym świecie. My

mierzmy się z naszymi problemami, nie chowamy się przed nimi.

Jej plecy przywarły do zimnych, sosnowych drzwi. Była w pułapce. Pozostał jej już ostatni argument.

- Nie masz pojęcia jak to jest, kiedy utraciło się wszystko!

- Ja nie wiem? - Jego lodowaty szept docierał do każdego nerwu jej ciała, paraliżował. - Pochowałem żonę. Długo przedtem rozpadło się moje małżeństwo. Straciłem rodziców przez jakiegoś narkomana, który był na zbyt wielkim głodzie, by w ogóle zauważyć, że zastrzelił dwoje ludzi. Ty przynajmniej masz szansę zobaczyć swoich rodziców. Ja moich mogę odwiedzać tylko na cmentarzu.

Wytrzymała jego spojrzenie. Musiała. Choć tyle mogła mu ofiarować. Musiała przyjąć jego oskarżenia. Czowała się taka mała, taka słaba, taka podła. Wtedy, jakby już dłużej nie mógł znieść jej widoku, Mitch odwrócił się. Usiadł na kanapie, włożył skarpetki i buty.

- Ale ty jesteś silny. Umiesz sobie z tym radzić - próbowała się jeszcze usprawiedliwiać.

- Ty też. - Mitch nie odrywał wzroku od sznurowadeł. - Jesteś najbardziej upartą kobietą, jaką kiedykolwiek znałem. Dasz sobie radę. Ze wszystkim. Wiem to.

Uciszył jej protest zdecydowanym gestem. Wziął z kominka pistolet z kaburą i przytroczył do paska, jak wojownik gotujący się do walki.

- Kiedy na ciebie patrzę, nie dostrzegam blizn na twojej nodze. Widzę twoją odwagę. I moją złość na to, co ci ten drań zrobił. I myślę o rzeczach, które nie mają nic wspólnego z moją służbą. O czymś, za co pewnie odebrano by mi policyjną odznakę. - Marynarka, którą właśnie włożył, była jak kolejny fragment zbroi, której Casey, niestety, nie miała. - Przykro mi, że Emmett cię zranił i że zniszczył twoją karierę. Boleję nad tym, że skrzywdził twoją rodzinę. Ale najbardziej mi przykro,

że przez niego nie umiesz już nikomu ufać. I przykro mi... że cię kocham. Z powodu Emmetta Rainesa nigdy w to nie uwierzysz. I tylko w tej jednej rzeczy nie mogę ci pomóc, moja droga.

Narzucił na siebie kurtkę i odszedł od niej.

Kiedy zatrzasnęły się za nim drzwi, Casey skuliła się pod kocem, a po jej twarzy popłynęły łzy.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Casey kartkowała powieść Agathy Christie, którą kuzynka Mitcha, Jessie, miała w swoim domku. Kiedyś ona też lubiła kryminały. Ceniła sobie intelektualne wyzwania i czuła radość, kiedy sprytny detektyw przechytrzał złoczyńców. Czytała o starszych damach i ciekawskich staruszkach, którzy rozwiązywali sprawy kradzieży, porwań i morderstw.

Teraz wiedziała już o istnieniu wojowników o szerokich ramionach, drobnych blondynek i tyczkowatych młodzieńców, którzy w prawdziwym życiu robią to samo. Fikcyjni czy prawdziwi, wszyscy mają odwagę, której ona nie posiada.

Mitch powiedział, że kiedy na nią patrzy, widzi jej odwagę. Może miał na myśli cierpliwość? Tej pewnie miała w sobie aż nadto. Zniosła ból towarzyszący każdej z kilkunastu przebytych operacji, długą i męczącą rehabilitację, od nowa nauczyła się chodzić.

Ale odwaga?

Kocham cię, powiedział. Nie uwierzyła mu. Nie umiała. Nie mogła.

Opiekował się nią. Chronił. Kochał się z nią czule i namiętnie. Nie miała jednak odwagi uwierzyć, że oddałby jej serce. Nie jej!

Westchnąwszy głęboko, odłożyła książkę na półkę i jeszcze raz obeszyła wnętrze domku. Wysprzątała je już bardzo dokładnie. Przygotowała obiad dla Merle'a Banninga i siebie i wypila mnóstwo gorącej czekolady. Nie mając nic więcej do roboty, zaczynała wariować.

Zanim Mitch rano wrócił z obchodu zdążyła się ubrać i sprzątnąć poślanie. Powiedział jej wtedy tylko, że musi pojechać do miasta po zwyczajne cywilne ubranie i zajrzeć do komendy. Na jego miejsce przyjechał Merle.

Był to całkiem sympatyczny młody człowiek, ale bardzo małomówny. Zamglone popołudniowe słońce i panująca w

domku cisza doprowadzały ją do szału. Nauczyła się tolerować, nawet cenić, przestrzeń i nieustanną ciszę swego domu, ale tutejsza izolacja była zupełnie inna.

I ona czuła się inaczej.

Dopóki nie wtargnął w jej życie Mitch, czuła się jak martwa. Była tylko cieniem dawnej Casey. Teraz ożyła, pełna uczuć, których nie mogła już skrywać.

Była niespokojna. Winna. Przestraszona.

Bała się kochać. Lękała się być kochana. Dręczył ją strach, że Emmett Raines zabierze jej szansę na miłość.

Mitch miał rację. Może już nie ukrywa się w wieży z kości słoniowej. Nadal jednak jest więźniem swego lęku, zamkniętym przed życiem w lochu paraliżującego strachu. Tego demona musiała zwalczyć sama. Tylko w jaki sposób? Jak z nim wygrać?

Dotarła do kuchni i, by zająć czymkolwiek ręce, bez sensu otwierała szafki.

- Jesteś głodna? - przerwał jej rozmyślenia uprzejmy głos Merle'a.

- Nie widzę tu kawy - odparła. Już wcześniej to odkryła, ale teraz miała wygodny pretekst. - A bez niej mój mózg nie funkcjonuje.

Młody policjant uśmiechnął się. Nie miał wieloletniego doświadczenia Mitcha, ale tak samo zaraźliwy uśmiech.

- Myślałem o tym samym. - Zamknął książkę, którą czytał, i odłożył ją na stół. - Tu zaraz na skrzyżowaniu jest niewielki barek. Może wpadniemy tam na cappucino? Tylko na sekundę?

Rada, że w końcu coś się dzieje, Casey była już przy drzwiach.

- Nie będziesz miał kłopotów?

- Przy takim śniegu jest tam pewnie tak samo pusto jak tu. Zadzwońię do chłopaków, żeby wiedzieli, gdzie jesteśmy, a potem natychmiast wrócimy.

- Brzmi dobrze.

Dwadzieścia minut później Casey siedziała przy stoliku naprzeciwko Merle'a, z filiżanką parującego waniliowego cappucino w ręku. Wycieczka oznaczała jednak tylko zmianę scenerii, a nie nastroju. Merle zanurzył nos w gazecie i milczał, czekając aż koledzy oddzwonią do niego na komórkę.

Miał rację, mówiąc o niewielkim ruchu w tej okolicy. Byli jedynymi klientami i kelnerka, która ich obsłużyła, wróciła już za bar do swej krzyżówki.

Casey zastanawiała się właśnie, czy nie kupić jakiegoś kobiecego pisma, żeby dowiedzieć się, w jaki sposób pewna kobieta z Ukrainy urodziła dwudziestokilogramowe bliźnięta, kiedy Merle odstawił kawę i spojrzał na nią z uśmiechem.

- Piszą o tobie w gazecie.

- Naprawdę?

„Dawna mistrzyni olimpijska zaszczyca swoją obecnością bankiet.”

Casey przeczytała te słowa i aż jęknęła. Gdyby tylko autor tej notatki wiedział, jaka straszna groźba zmusiła ją do pojawienia się na tej imprezie. Na zdjęciu burmistrz Benjamin ścisnął jej rękę, Mitch stał za nią.

Często w przeszłości pisywano o niej w gazetach, czy to z powodu pozycji towarzyskiej rodziców, czy też jej sportowych sukcesów. Patrząc jednak teraz na to zdjęcie, widziała, że nie jest już tą dawną, pewną siebie, silną nastolatką. Mimo bladości policzków, na jej wargach widoczny był spokojny uśmiech, a w oczach determinacja.

Czy to właśnie widział Mitch? Tę dojrzałą kobietę ze zdjęcia? Szyna na jej nodze ukryta była pod płaszczem.

Wyglądała jak wszystkie inne kobiety stłoczone w tej niewielkiej kuchni. Silna. Pewna siebie.

Nie krucha. Nie pokaleczona. Nie żaden cieplarniany kwiat, dogładany przez czujnego przyszywanego wuja i oddaną służbę.

- O Boże - szepnęła. Czy reszta świata widzi w niej coś, czego ona nie dostrzega? Jakąś wewnętrzną siłę, którą Mitch szanował i podziwiał. Wytrwałość?

Nagle poczuła, że coś się w niej zmienia. Tak długo się bała. I miało to swoje uzasadnienie. Jednak dopiero teraz, patrząc na zdjęcie w gazecie, na siebie, zobaczyła kobietę, która potrafi i ma siłę stawić czoło temu strachowi.

Czy będzie nim Emmett Raines, wuj Jimmy czy miłość do Mitcha.

- O Boże!

- Mówiłaś coś? - spytał Merle, przerywając jej tę drogę do bardzo ważnego odkrycia.

- Nie. Tak sobie tylko rozmyślałam.

Brak wyjaśnienia wydał się wyjaśnieniem wystarczającym. Merle stuknął palcem w gazetę.

- Na trzeciej czy czwartej stronie jest trochę więcej o wczorajszym wieczorze.

Wstał i sięgnął do kieszeni dzinsów. Wyjął z niej kluczyki oraz garść monet i wysypał to wszystko na stół. Odliczył siedemdziesiąt pięć centów.

- Chcesz coś do jedzenia? Idę kupić sobie batonik.

- Nie, dzięki.

Kiedy zebrał pieniądze i poszedł w głąb lokalu, Casey przerzuciła gazetę, szukając wspomnianego przez niego artykułu. Postanowiła zapamiętać, by spytać Merle'a, czy ktoś mógłby, skontaktować się z McDonalddami. Zaraz po świętach zgłoszą się do pracy i zastaną albo policyjną barykadę, albo pusty dom. I tak było jej przykro, że zaniepokoiła ich ucieczką

Emmetta, ale to, co przeczytają w gazecie plus jej niewyjaśniona nieobecność, dodatkowo niepotrzebnie ich przerazi.

Na trzeciej stronie znalazła wspomniany przez Merle'a artykuł. Nad zdjęciami Jimmy'ego i burmistrza Benjamina znalazła listę laureatów nagród wręczonych minionego wieczora. Poniżej przeczytała drugi, bardziej szczegółowy artykuł o przyjęciu. Przeszła do porządku dziennego nad opisem swego pojawienia się i zniknięcia i skupiła na komentarzu, udzielonym przez Jimmy'ego reporterowi gazety.

Jak na sali pełnej wysokiej rangi policjantów jakiemś zbiegłemu mordercy udało się zagrozić córce nieżyjącego sędziego Maynarda? Komisarz Reed skomentował to następująco: Jack Maynard był dla mnie jak brat. Razem pracowaliśmy w mojej kampanii wyborczej. „Dom, który zbudował Jack” to slogan, który wymyśliłem dla promocji jego zdecydowanej postawy wobec recydywistów i szczególnie niebezpiecznych przestępców. Nadal podtrzymuję te obietnice.

Ciało Casey przeszył dreszcz. Czytała dalej.

Nie można pozwolić, by taki ktoś jak Emmett Raines terroryzował niewinnych ludzi. Mogą państwo być pewni, że zrobimy wszystko, co w naszej mocy, by złapać i zamknąć tego człowieka. Moja chrestna córka ukrywała się w pewnym bezpiecznym miejscu, co wyszło na jaw. Bezwzględnie zajmiemy się źródłem tego przecieku. Teraz przez cały czas jest pod opieką policji. Gdyby Raines znów próbował do niej dotrzeć, znajdziemy go.

W artykule były jeszcze komentarze burmistrza i kilku radnych na temat tego, jak zamierzają walczyć z przestępczością. Wzrok Casey powędrował z powrotem do słów wuja. W bezpiecznym miejscu? Czy wiedział, że była w

domu Mitcha? Czy też ktoś powiedział mu o tym dopiero na bankiecie?

„Dom, który zbudował Jack”.

Przypomniała sobie ogarniający ją strach, jaki wywołały listy Emmetta. „Dom, który zbudował Jack, rozpadnie się”. Jimmy zbudował ten dom razem z jej ojcem. Stali na czele ekipy stróżów prawa i porządku, zwalczającej przestępczość w mieście. I jeśli on był członkiem tej grupy, to...

- On coś wie - szepnęła na głos Casey. Jego dziwne, nieprzewidywalne zachowanie, nadopiekuńczość Iris - oba te znaki wcześniej przeoczyła. Jeśli jej coś grozi, to na pewno grozi także Jimmy'emu.

Musi porozmawiać ze swym drogim, starym wujem. Twarzą w twarz, bez Iris, która nie chce jej z nim połączyć ani nie przekaże mu wiadomości.

Ze złością zgmiotła gazetę. Zastanawiała się, pod jakim pretekstem mogłaby wrócić do miasta. Gdyby podzieliła się swymi podejrzeniami z Merlem, przekazałby je tylko telefonicznie do komendy i ktoś inny starałby się porozmawiać z Jimmym. Nie złamałby zakazu Mitcha i nie zawiózł jej tam.

- O, Merle, jesteś już.

Policjant zmiął opakowanie po batoniku i wrzucił je do kosza. Kiedy usiadł naprzeciwko niej, opuściła gazetę i udała zwyczajną ciekawość.

- Czy mój dom nadal otoczony jest kordonem? Czy ktoś go pilnuje?

- Nie. Wczoraj usunęliśmy posterunki. Stary jest w tę sprawę bardzo zaangażowany, więc działamy naprawdę błyskawicznie.

Stary. Nawet w tym głupim przewisku dostrzegła jego szacunek dla Mitcha. Miała nadzieję, że tym, co zamierza zrobić, nie napyta mu biedy.

- Myślisz, że moglibyśmy pojechać do miasta, żebym wzięła sobie trochę ciuchów i kosmetyków? Od wczoraj rana chodzę w tym samym ubraniu.

Merle pokręcił głową.

- Mitch urwałby mi łeb. Ale mogę zadzwonić do Ginny. Niech ona ci coś przywiezie - zaproponował.

- Byłoby super!

Chłopak wyciągnął z kieszeni komórkę.

- Mógłbyś też skontaktować się z Benem i Judith McDonaldami? Nie wiem, czy będą w swoim czy moim domu, ale nie chcę, żeby niepotrzebnie się o mnie martwili. Judith mogłaby spakować mi, co potrzeba.

- McDonald - powtórzył, wystukując numer. - Będę musiał zadzwonić na posterunek, żeby spróbowali ich znaleźć. Może Ginny odszuka ich numer.

- Będę ci wdzięczna. - Casey wstała, przesuwając przy okazji gazetę po blacie stolika. - Przepraszam. Pójdę na chwilę do łazienki.

Ściskając przed sobą gazetę pobiegła do toalety. Szybko rozwinęła ją i pęk kluczy Merle'a wpadł do ręki Casey.

Oddychała głęboko, próbując uspokoić walące jak młot serce. Ostatnio wymykała się z jakiegoś budynku w czasach studenckich. Wtedy była młoda i sprawna. Ucieczka przed Merlem wymagała szybkości i zwinności, kolejnych dwóch umiejętności, których pozbawił ją Emmett Raines.

Miała jednak kilka pytań, z zadaniem których nie mogła czekać, bo odpowiedzi na nie pomogą poskładać w całość motywy i zapobiegają dalszym zbrodniom wariata. Odpowiedzi, dzięki którym jej życie wróci do normy.

Uchyliła drzwi łazienki tylko na tyle, by dostrzec Merle'a przechadzającego się obok ich stolika i mówiącego coś do telefonu. Kiedy na moment odwrócił się do niej plecami, szybko wyszła przez frontowe drzwi i pobiegła na tył

budynku, gdzie policjant zaparkował swój nie rzucający się w oczy samochód.

Usiadła za kierownicą, włączyła silnik i ruszyła. Drzwi postanowiła zamknąć już na szosie. Szkoda jej było czasu. O konsekwencjach swego postępowania też zamierzała pomyśleć później. Jakoś wytłumaczy policji i Mitchowi, dlaczego ukradła auto i wzięła śledztwo w swoje ręce.

Jedyną osobą, która może naprawdę zrozumieć rodzinny sekret, jest ktoś z rodziny. Zmarnowała siedem lat, wierząc, że jest kimś w rodzaju ofiary. Przyjęła ten wyrok, bo myślała, że, jak twierdził Jimmy, spłaca w ten sposób swoim bliskim dług, chroni ich. Chroni siebie.

Chroni dom, który zbudował Jack.

Teraz czuła, że jest blisko prawdy.

Chroni świat, który zbudował jej ojciec.

A Emmett Raines nie jest jedyną osobą, która chce go zniszczyć.

- Co wy próbujecie ukryć? - Casey biegała za Iris Webster po jej gabinecie, podziwiając sprawność, z jaką ta niemłoda już kobieta zbiera akta, papiery i różne dokumenty i wkłada je do skórzanej teczki.

Zazwyczaj w biurze Jimmy'ego panował wielki ruch, nawet o piątej po południu, kiedy większość urzędów kończy już pracę. Dziś jednak to wewnątrz wyglądało na puste od co najmniej godziny.

- Idź do domu, Cassandro - poradziła jej Iris. - Mamy wszystko pod kontrolą.

- Pod kontrolą? Na całej trasie od Jefferson City po Kansas facet zostawia po sobie trupy. Czyżbyś gdzieś wyjeżdżała? - Casey wskazała na stojącą na biurku czarną skórzaną torbę. - Czy Jimmy o tym wie?

Dopiero teraz Iris przerwała swoją krzątaninę. Westchnęła głęboko i potrząsnęła głową.

- Szkoda, że nie zostałam tam, gdzie byłam.

Casey zdziwiło jej oskarżycielskie spojrzenie.

- Mitch uznał, że nie jest tam bezpiecznie.

- Mitch - prychnęła z ironią Iris. - A kto to jest Mitch. Zastępca komisarza?! Dopóki ja tu jestem - nigdy nim nie zostanie.

- Ty tu tylko pracujesz, nie rządysz.

Oczy Iris stały się jak sztylety. Wróciła do pracy z tym samym metodycznym, ale nieco szalonym tempem.

Casey wyjęła z niszczarki jakiś kawałek papieru i rozsiała się w fotelu. Ani myślała dać się zbyć. W zamyśleniu składała w całość pociętą na paski kartkę. Nagle zobaczyła, co tak naprawdę trzyma w ręku. Zerwała się na równe nogi i zagroziła Iris drogę.

- To zdjęcie Mitcha z gazety. To, które Emmett przefaksował do jego mieszkania. Dlaczego masz jego egzemplarz?

Dolna warga Iris lekko zadrżała, szybko jednak przygryzła ją i udzieliła spokojnej odpowiedzi.

- Przez przypadek. Niszczyliśmy wszystko, co ma cokolwiek wspólnego z tą straszną sprawą.

- Skąd wiedziałaś, że jestem w mieszkaniu Mitcha?

- Nie wiedziałam.

- Skąd Emmett wiedział, że tam jestem? - To pytanie Casey zadała z dużo większym naciskiem.

Usłyszała skrzypnięcie drzwi ułamek sekundy wcześniej, zanim męski głos odpowiedział jej na to pytanie.

- Iris nic nie wie. - Gładki tenor Jimmy'ego przeciął ciszę gabinetu.

Pachnący późnolistopadowym powietrzem, w płaszczu i z teczką, przeszedł przez pokój i stanął przed Casey.

- Gdzie twój goryl? - spytał.

Nie próbowała udawać, że nie zrozumiała jego pytania.

- Mitch pracuje.

- Poleciałem mu bardzo wyraźnie, by nie opuszczał cię ani na chwilę, dopóki nie złapiemy Rainesa.

- Mam całodobową ochronę. Pan Taylor znakomicie wypełnia swoje obowiązki. - Nie wspomniała ani słowem o miłości. Ani o tym, że Mitch wbrew jej oporom sprawił, iż wróciła do prawdziwego świata. Nie wspomniała o rodzących się uczuciach. - Robi nawet dużo więcej, niż wymaga tego od niego służba.

Jimmy rozejrzał się po gabinecie, w którym oczywiście nie było nikogo z jej ochrony.

- Tak, właśnie widzę.

Casey potrząsnęła głową. Nie przyszła tu, by bronić Mitcha, choć z przyjemnością zmasałyby ten pełen wyższości uśmiech z twarzy Jimmy'ego i przypomniała mu, że podczas gdy Mitch tropi mordercę, on i Iris najwyraźniej szykują się do wyjazdu. Przyszła tu, by stawić czoło swojemu wujowi.

- Muszę z tobą porozmawiać.

Jimmy celowo zignorował jej żądanie i zwrócił się do Iris.

- Wszystko gotowe? Nie chcę się spóźnić. - Potem spojrzał na Casey i uśmiechnął się. Jego uśmiech nie był już jednak tak ciepły i pobłażliwy jak wcześniej. - Masz pięć minut!

Poszła za nim do jego srebrno - czarnego gabinetu. Jimmy postawił na biurku teczkę i podniósł słuchawkę telefonu. Patrzył na Casey równie lodowato, jak na wnętrze, w którym się znajdowali.

- Dokąd wyjeżdżasz?

- Na konferencję do Mexico City. Zaplanowaną wiele tygodni temu.

- Co za niezwykły zbieg okoliczności, prawda? Jesteś pewien, że możesz mnie tak tu zostawić? Wiesz przecież, że Raines jest na wolności.

Uniósł dłoń, jakby nie miał czasu słuchać jej żalów i zajął się rozmową.

- Tak, Banning. Jest tutaj. Cała i zdrowa. Nie martw się, zajmę się nią.

- Merle? - Casey zaczynała rozumieć. - To dzięki niemu wiedziałeś, gdzie jestem. Ale on jest z zespołu Mitcha.

Jimmy odłożył słuchawkę i otworzył teczkę.

- On jest z mojego zespołu. Zadzwoiłem do niego, kiedy Mitch zerwał ze mną kontakt. Jest na tyle młody, by nie dać się złapać na wątpliwy urok Taylora. Banning zna procedurę służbową i posłusznie wykonuje rozkazy. Nie wszyscy moi policjanci z komendy tak robią.

Casey nie była pewna, czy ten subtelny przytyk skierowany był do niej, czy do Mitcha. Podeszła do krzesła, ale na nim nie usiadła. Jeśli dowie się dużo więcej, niż chciałyby wiedzieć, być może nie będzie mogła wstać. Jeśli znów stanie się tą bezwolną kobietą, jaką była, dopóki nie zjawiał się w jej życiu Mitch, nigdy nie będzie mu mogła spojrzeć w oczy.

Nagle desperacko zapragnęła go zobaczyć i powiedzieć mu dokładnie, co o nim myśli. Co do niego czuje. I co chce mu udowodnić.

Odetchnęła głęboko, by uspokoić nerwy. Kątem oka zauważyła w teczce Jimmy'ego równo poukładane zielone paczuszki.

- Pieniądze? Dużo ich masz?

- Dosyć!

Jimmy zamknął teczkę i... wycelował w nią pistolet. Przeraziła się, ale i poczuła ulgę. A więc jej podejrzenia były słuszne. Nie musi się już niepokoić, że być może krzywdzi kogoś bliskiego.

- A więc Merle informował cię, gdzie się ukrywam. A ty przekazałeś tę wiadomość Emmettowi Rainesowi?

„Dom który zbudował Jack... slogan, który wymyśliłem”.

Wszystko zaczynało do siebie pasować... Casey poczuła się jak idiotka. Jak mogła wcześniej tego nie zauważyć.

- To ty wysyłałeś mi te, straszne listy.

- Tylko ten pierwszy. Do mieszkania Taylora.

Cała krew odpłynęła jej do stóp, w głowie jej zaszumiało. Podejrzała prawdę, ale nie spodziewała się, że wuj tak spokojnie się do wszystkiego przyzna - tak jakby rozmawiał z nią o jakiejś błahej sprawie przy rodzinnym obiedzie, a nie trzymał ją na muszce i groził, że odbierze jej życie.

Casey z trudem opanowała emocje. Nie odrywała wzroku od wycelowanego w nią pistoletu.

- Chciałem załatwić to szybko - mówił dalej Jimmy. - Ale Raines ekscytuje się samą grą. Ten sam problem miał przed siedmioma laty. Mieli tylko odzyskać zdjęcia i wyeliminować Cynthię. Ale on nie był w stanie tylko...

- James! - Ostry głos Iris bardzo skutecznie przerwał te przerażające wyznania. - Mamy mało czasu. Czyżbyś zapomniał?

- Nie. Samochód czeka na nas na dole. Idziemy! Casey próbowała myśleć logicznie. Była tak wściekła, że z trudem się opanowała. Nie powiedziała nic temu człowiekowi, który mienił się jej wujem, a skrzywdził ją tak samo jak tamten wariat siedem lat temu.

Teraz przede wszystkim musiała się ratować. Na razie nie miała na to pomysłu, poszła więc posłusznie za Iris. Cały czas czuła wbijającą się w jej plecy lufę pistoletu.

Po drodze do wind żadne z nich się nie odezwało. Dopiero wtedy, kiedy Iris nacisnęła guzik, w głowie Casey kolejny kawałek układanki znalazł swoje miejsce.

- Gdzie twoje norki? - spytała, patrząc na czarny, wełniany płaszcz Iris.

Kobietę zeszywniała tylko na moment.

- Do pracy nie noszę takich rzeczy.

- Dlaczego tu przyszedłeś? - Głos Jimmy'ego przerwał tę interesującą wymianę zdań.

- Niepokoiłam się o ciebie. - Casey uśmiechnęła się na wspomnienie własnej głupoty. - Sądziłam, że Iris... Myślałam, że ty też jesteś w niebezpieczeństwie. Miałam nadzieję, że nie jesteś zamieszany w sprawę Emmetta Rainesa. Chciałam, żebyś przekonał mnie, iż się mylę.

- Zrobiłbym wszystko dla twojego ojca.

- Chcesz powiedzieć, że on nie odwdzieczył ci się za przysługę?

- Cicho. Oboje. - Znów uciszyła ich Iris - Od ponad dziesięciu lat tuszuję twoje błędy, Jamesie Reed. Nie zepsuj teraz wszystkiego.

A więc tak... To ona tu rządzi! Jimmy Reed, choć z pistoletem w ręku, był teraz tylko nędzną kopią tamtego pełnego życia, energicznego wuja, którego tak Ceniła.

- Ty rzeczywiście rządzisz tym biurem - zwróciła się Casey do Iris.

- Jimmy to wspaniały człowiek. - W głosie Iris była ta sama czułość i ciepło, z jakim doktor Frankenstein opisywał swojego potwora.

- Gdzie twój pierścionek z brylantem, Iris? Nie mów mi, że zaręczyny zerwane. - Sympatia i współczucie Casey były równie szczerze.

Iris groźnie spojrzała na Jimmy'ego. Na ułamek sekundy oboje zapomnieli o obecności Casey.

- Dostaniesz go z powrotem już niebawem.

- Gdybyś mnie słuchał, kiedy...

Winda zatrzymała się i cała trójka w milczeniu przeszła przez hol i wsiadła do czarnego continental Jimmy'ego.

- Dokąd jedziemy? - spytała Casey. Wyraźnie rosnące napięcie między jej prześladowcami było równie przerażające jak jej obawy.

- Do domu, moja droga - odparł Jimmy. - Do domu.

W jego ustach słowo „dom” nie kojarzyło się już z poczuciem bezpieczeństwa. Złożyła ręce w niemej modlitwie. Nie błagała o ratunek, ale o przebaczenie. Za to, że nie opamiętała się wcześniej i że rano tak zraniła Mitcha.

- Jeszcze dwa pytania, Jimmy. - Czuła, że jej czas się kończy. Musiała jednak poznać całą prawdę. - Od jak dawna Emmett Raines cię szantażuje? I dlaczego wmieszałeś w to wszystko mnie i moich rodziców?

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Mitch rozpiął kurtkę, oparł ręce na biodrach i westchnął głęboko. Czuł się zmęczony. Bardziej, inaczej, niż zazwyczaj, kiedy pracował nad jakąś trudną sprawą.

Patrzył, jak ekipa policyjna przeszukuje pomieszczenie w poszukiwaniu dowodów i śladów. Ernie Hutchins, zamordowany kelner, został uduszony serwetką i ukryty w koszu na bieliznę. Martwy od prawie dwudziestu czterech godzin, biedny Ernie był kolejną niewinną ofiarą pragnącego zemsty wariata.

- Mieszkał z niejaką Elisą Alvorado w Raytown. - Joe Hendricks stanął obok Mitcha i schował do kieszeni notatnik, z którego przeczytał tę informację. - Poślę jednego z miejscowych chłopaków, żeby ją zawiadomił. Chyba że uważasz, iż powinniśmy ją przesłuchać.

Mitch rzucił okiem na odchodzący od kuchni korytarzyk, potem na leżące na noszach zakryte ciało.

- Wszystko, co powinniśmy znaleźć, jest tutaj. Nie zakłócajmy jej żałoby.

Stali ramię przy ramieniu, jak dwaj starzy przyjaciele, którzy dobrze się ze sobą czuli, nawet milcząc. Jednak mimo zmęczenia i towarzystwa Joego, Mitcha nie opuszczał niepokój. Kark mu zeszywniał i od razu przypomniał sobie drobne, ale silne palce Casey. Magiczne, cudowne. Jego serce mocniej zabiło na wspomnienie Casey spoczywającej w jego ramionach. Brała i dawała. Była gorąca i kojąca pod lodowatą skorupą.

Do jej duszy nie mógł jednak dotrzeć. Nie mógł otworzyć przed nią serca. Po zdradzie Jackie wydawało mu się, że jeśli ktoś będzie go potrzebował, wystarczy mu to. Wiedział, że daje Casey poczucie bezpieczeństwa, a jego obecność dodaje jej sił. Owszem, był jej potrzebny. Pożądała go nawet. I prawie mu to wystarczało.

Czuł się potrzebny i pożyteczny. Ale jego dawno porzucone serce pozostawało puste. Chciał czegoś więcej, niż tylko być potrzebnym, więcej, niż być nawet pożądanym.

Pragnął miłości.

Chciał, żeby Casey przyjęła jego miłość.

- Coś jest nie tak? - spytał Joe, spoglądając podejrzliwie na Mitcha.

Mitch miał nadzieję, że przyjaciel jednak nie czyta w jego myślach i że jego uwaga dotyczy tylko spraw służbowych.

- Dlaczego tym razem Raines nie pociął ciała? Joe wzruszył ramionami.

- Może zamordował kelnera po prostu pod wpływem impulsu? Bo mu się nawinał?

Mitch pokręcił głową.

- On nigdy nie działa pod wpływem impulsu.

- Ktoś mu przeszkodził? Musiało się pojawić coś, co zmieniło jego plany.

- Casey.

Joe kiwnął głową i podszedł za Mitchem do ciała.

- Zamierzał wcielić się w kogoś innego, ale pojawiła się ona i takiej okazji Raines nie mógł przepuścić.

- A więc, kto był ofiarą w jego pierwotnym planie? Kogo miał na muszce?

Mitch nie znał jeszcze dokładnej odpowiedzi.

- Komisarza? Burmistrza?

- Nie udałoby mu się wcielić w kogoś tak znanego. Byłby wystawiony na zbyt wiele spojrzeń. To zbyt ryzykowne.

- Mogłem to być ja. Zostawiłem tu wczoraj mój płaszcz. Dziś go nie ma.

Nie byłby to pierwszy raz, kiedy Raines wcielił się w ochroniarza Casey, żeby dotrzeć do niej. Mitch sięgnął do kieszeni i dotknął złamanej spinki od Casey. Nawet jeśli

Raines planował wcielić się w jego postać, nie udało mu się zdobyć tego, swego rodzaju, identyfikatora.

- Może twój płaszcz został uznany za dowód rzeczowy - zasugerował Joe.

- Sprawdź to. Może to nic nie znaczy, ale nie chciałbym niczego przeoczyć.

- Poślę też kogoś do biura rzeczy znalezionych.

Mitch wyciągnął notatnik i spojrział na zapiski dotyczące dotychczasowych postępów śledztwa.

- Daj mi listę gości obecnych na bankiecie.

- To ponad pięćset osób...

- Może być nawet pięć tysięcy. Nie obchodzi mnie to! Muszę wiedzieć, kogo Raines chciał zabić.

Damski głos przerwał im rozmowę.

- Myślę, że mogę zawęzić waszą listę.

Ginny często postrzegała szczegóły zbrodni z odmiennej perspektywy niż pozostali policjanci, a Mitch był na tyle rozsądny, by słuchać jej opinii.

- Co masz na myśli?

Podawała mu cienką kopertę.

- To pełny raport na temat zabójstwa Darlene Raines. Zadźgała ją skazana na dożywocie Rochelle Jackson.

Mitch otworzył raport i rzucił na niego okiem.

- Naczelnik więzienia nie dowiedział się jeszcze, kto to zorganizował?

- On na to nie wpadł, ale ciebie zainteresuje ktoś, kto odwiedził ją tydzień przed atakiem.

- Darlene?

- Nie, Rochelle - poprawiła go Ginny i wskazała odpowiednią linijkę raportu. - Przeczytaj.

Mitch przeczytał:

- Iris Webster.

I w jego głowie skomplikowana układanka zaczynała nabierać logicznego kształtu. Podejrzenia, które miał od samego początku znalazły potwierdzenie. Przypomniał sobie niespodziewane spotkanie na bankiecie. I uwagę, jaką Casey zwróciła na dziwnie osobisty związek Jimmy'ego z jego własną asystentką.

Wetknął raport do ręki Ginny i wyciągnął telefon.

- Zdobądźcie mi listę przedmiotów ukradzionych podczas morderstwa Cynthii DeBecque. I chcę mieć nakaz rewizji mieszkania Ms Webster.

Był przerażony swymi odkryciami. Wiedział, że musi działać. Szybko! Natychmiast!

- Do kogo dzwonicz? - spytał Joe, wyczuwając jego nieprawdopodobne napięcie.

- Do Casey.

Merle Banning odebrał telefon, siedząc w fotelu pasażera w aucie szeryfa pędzącym do Kansas City.

- Co to znaczy, że nie ma jej z tobą?

Krótkie sprawozdanie Merle'a zmroziło mu krew w żyłach. Dlaczego ten kretyn zabrał Casey na kawę? Merle jest młody i łatwowierny, a Casey potrafi być bardzo uparta. Choć marzył, by jak najszybciej zerwać odznakę z munduru chłopaka, zacisnął tylko mocno zęby.

- Wiesz, gdzie jest?

Później może pochwali go za to, że nie próbował tłumaczyć się ze swego błędu. Teraz jednak cicha odpowiedź Merle'a sprawiła, że oblał się zimnym potem.

- Chyba pojechała zobaczyć się z komisarzem.

Mitch rozłączył się i wystukał następny numer. Po czterech dzwonekach wyłączył się i zwrócił do Joego.

- Wyślij kogoś do biura Reeda i znajdź jego i tę cholerną asystentkę. Muszę ich zlokalizować jak najszybciej - dodał, już biegnąc po parkingu.

- Co się stało z Casey? - Wyciągając telefon, Joe był tuż przy nim.

- Uciekła od Merle'a. Chyba pojechała zobaczyć się z wujem.

- A to niebezpieczne, bo...

- Myślę, że Emmett Raines był tu wczoraj, bo chciał się zobaczyć z Iris Webster. - Mitch wskoczył do swojego dżipa i umieścił na dachu policyjnego koguta.

- Myślisz, że komisarz też jest w niebezpieczeństwie?

- Nie. - Siła przekonania Mitcha oparta była na instynkcie, mnóstwie drobnych poszlak i obserwacjach pewnej bardzo mądrej, bardzo pięknej złocistowłosej dziewczyny. - Założę się o moją odznakę, że on i Raines są współnikami.

Mitch włączył silnik i syrenę. Kobieta, którą kochał, pakowała się właśnie w bardzo poważne kłopoty. Oby tylko zdążył ją uratować.

Casey, potykając się, szła ścieżką obok Jimmy'ego. Prowadził ją do pawilonu z basenem. Choć cały czas mierzył do niej z pistoletu, rozglądał się dokoła, jakby bał się, że w każdej chwili ktoś może go nakryć.

Po raz pierwszy zobaczyła swój dom takim, jakim widział go Mitch - jako więzienie otoczone granitowymi murami i żelaznymi kratami. Jeśli Jimmy niepokoi się, że ktoś może go nakryć, mogłaby go uspokoić. Nikt nie jest w stanie zajrzeć na teren posiadłości Maynardów.

Z ponurą miną Jimmy wyciągnął z kieszeni klucz do pawilonu. Przekręcił go... ale drzwi były otwarte. Zamarł, podobnie jak Casey.

- Spodziewasz się kogoś? - spytała, zaniepokojona. W swojej desperacji wuj był nieprzewidywalny. Kolejna niespodzianka mogłaby sprawić, że pociągnie przypadkowo za cyngiel...

- Zamknij się.

Casey postanowiła wkroczyć do akcji, zanim wuj wpadnie w panikę.

- Może lepiej będzie, jeśli wrócimy do auta. Masz mnóstwo pieniędzy. Możesz wyjechać z kraju i cała wina spadnie na Emmetta.

- Powiedziałem: zamknij się! Chwycił ją za ramię z niezwykłą siłą.

- Mam przed sobą kampanię wyborczą - syknął jej do ucha. - Ta cała sprawa już dawno powinna być zamknięta.

Drzwi do pawilonu otworzyły się i Jimmy zmarł. Casey spojrzała na wychodzącego.

- Jak można tak traktować damę.

- Mitch! - Casey wymówiła jego imię jak dziękczynną modlitwę. Stał w progu wysoki i silny. W jego oczach dostrzegła gniew.

- To ty? - Jimmy był równie zdziwiony jak ona. W jaki spo...?

- Puść ją - rozkazał krótko i zdecydowanie Mitch. Ręka Jimmy'ego opadła. Casey zrobiła niepewny krok do przodu. Ale wzrok Mitcha przygwoździł Jimmy'ego w miejscu. Zrobiła drugi krok. Jimmy nie ruszał się i nic nie mówił. Podbiegła i przywarta do Mitcha. Mocno objęła go w pasie. Wtuliła twarz w znajomy płaszcz, czując, jak obejmuje ją jego silna ręka.

- Ze mną jesteś już bezpieczna. - Mitch pocałował ją w skroń.

Ulga, jaką jeszcze przed chwilą czuła, zmieniła się w paralizujący strach. Ta dziwna chrypa w głosie Mitcha. Ta subtelna różnica, kiedy jej czoło dotyka jego brody, a nie sięga pod nią. I brak pistoletu pod jego płaszczem!

Drżącymi palcami chwyciła go za kołnierz płaszcza, potem za klapy, rozchyliła nawet poły, żeby zobaczyć garnitur.

Spinki nie było!

- Emmett... - Rzuciła się do tyłu, ale powstrzymał ją jego żelazny uścisk. - Nie!

Zdrową nogą kopnęła go w goleń. Zaklął i podniósł ją do góry.

- Jimmy, do cholery, spóźniłeś się.

Casey wrywała się, szarpała i krzyczała na całe gardło. Ależ z niej idiotka! Niczego się nie nauczyła! To nie może się tak skończyć. Nie pozwoli na to!

Emmett zaniósł ją nad basen i rzucił na drewniany fotel. Próbowwała wstać, ale przygwoździł ją kolanem i związał jej ręce.

- Nie stój tak, Jimmy. Zdejmij tę cholerną rzecz z jej nogi.

- Nie! - Była na siebie wściekła, ale błagała go mimo to. Bez szyny będzie praktycznie bezradna. Tak jakby w ogóle miała jakąkolwiek szansę.

Emmett zasłaniał jej widok, słyszała więc tylko trzask odpinanych rzepów i skrzywiła się z bólu, kiedy Jimmy zerwał szynę z jej nogi. Dopiero wtedy Emmett ją puścił, a noga bezwładnie opadła na podłogę.

Podniósł szynę, a ona nie odrywała od niego wzroku, kiedy cofnął się i przez chwilę trzymał przed jej nosem swoją zdobycz. Potem zamachnął się i wrzucił szynę do wody.

Śmiał się, kiedy przed nią klękał. Patrzyła, jak wyciąga nóż i otwiera tak samo ostrożnie jak chirurg skalpel. Uniosła głowę i wstrzymała oddech.

- Pasuje, co? Arena tak wielu twoich triumfów będzie sceną twojej ostatecznej klęski.

Czubek noża przesunął się po jej policzku i zrobił małą ranekę na jej brodzie.

Brązowe, dzięki szkłom kontaktowym, oczy wpatrywały się w nią z satysfakcją. Kiedyś myślała, że na jego widok wpadnie w panikę, teraz jednak, gdy na niego patrzyła, była

zadziwiająco spokojna. Spojrzała przez ramię na Jimmy'ego. Spacerował nerwowo, a jego obcasy stukały po kafelkach podłogi. Jego też się nie bała. Współczuła mu raczej, że zemsta Emmetta okazała się dla niego ważniejsza niż lojalność wobec przyjaciół. I była zła, że wykorzystał jej ojca, Mitcha i tyle innych osób tak samo bez najmniejszych wyrzutów sumienia jak ją.

- Daruj sobie ten teatr, Raines. - Jimmy zatrzymał się i spojrzał na Emmetta. - Chciałeś, żebym ci ją dostarczył. Kiedy Banning zadzwonił i powiedział, że uciekła, domyśliłem się, że może zechce przyjść do mnie. Dostarczyłem ją. Teraz dawaj negatywy.

- Wszystko w swoim czasie, drogi Jimmy. - Emmett uśmiechnął się pobłaźliwie. Teraz nóż znaczył linię ust Casey. - Wszystko w swoim czasie. Dobrze wiedzieć, że nadal jestem w formie. Nabrałem was oboje.

- Tylko przez chwilę - oznajmiła Casey. - Nie umiesz naśladować głosu Mitcha. Nie jesteś też tak wysoki.

Czubkiem noża Emmett odgarnął kosmyk włosów, który opadł jej na policzek.

- Zmienię wkładki do butów.

Nachylił się ku niej, czuła teraz zapach podkładu, którym posmarował sobie twarz i ręce, widziała jaśniejsze odrosty włosów, które ufarbował na brązowo. Z odległości nawet ona nabrała się na jego szerokie ramiona i pierś, ewidentnie czymś wypchane. Wyglądał jak Mitch. Był groźny jak on...

Aż się wzdrygnęła na tę myśl. Emmett przebrał się, żeby wyglądać jak Mitch. To znaczy, że chce zająć jego miejsce. Jeśli już tego nie zrobił.

- O Boże! - jęknęła i opadła na krzesło. Świadoma, że Mitch może już nie żyje, straciła całą wolę walki.

- No, to przejdźmy teraz do naszych interesów - rzekł Emmett. - Chyba już znudził się tą zabawą. - Zdaje się, że jesteś mi winien parę groszy.

- Nie taka była umowa - zaprotestował Jimmy. - Pieniądze zostaną w aucie razem z Iris, dopóki nie zobaczę tych zdjęć.

Emmett podniósł się, wypiął pierś i zupełnie jak Mitch podparł się pod boki. Brakowało mu tylko srebrnej repliki jej medalu i mogłaby uwierzyć...

Spinki nie było.

Myśl, która tak ją wcześniej przerażyła, teraz dała jej nadzieję. Skoro Emmett nie ma spinki, którą dała Mitchowi, to może on wciąż żyje. Emmett jeszcze go nie dopadł. Jeszcze ma czas. Jeszcze może go ostrzec.

Gotowa do działania, jakiegokolwiek, usiadła wyprostowana.

- No, takiego cię pamiętam! - Emmett uśmiechnął się do Jimmy'ego. - Twardego. Zdecydowanego. Ale też niechętnie dotrzymującego słowa.

Casey skorzystała z tej wymiany zdań, by szybko ocenić sytuację. Za oknami zapadła noc. Rozświetlał ją tylko blask wschodzącego księżyca, odbijający się od śniegu. Gdyby udało jej się dostać do skrzynki z korkami i zapaliłaby górne światła, widać by je było z ulicy. Czy ktoś z sąsiadów nie zdziwiłby się, widząc ciemny dom i rozświetlony tylko basen? Czy wezwałby policję? Czy poinformowano by Mitcha?

Były to jednak, niestety, próżne rozmyślenia, biorąc pod uwagę Emmetta i jego nóż oraz Jimmy'ego i jego pistolet.

- Dwadzieścia pięć tysięcy dolarów i Cassandra. Tak jak chciałeś - rzekł Jimmy. - Teraz ty dotrzymaj swojej części umowy.

- Dotrzymałem słowa siedem lat temu, kiedy zabiłem dla ciebie tę dziwkę.

- Miałeś mi przynieść zdjęcia.

Zdjęcia? Czyżby Mitch i Ginny wpadli na właściwy trop, podejrzewając szantaż?

Casey nie zadała żadnego z kłębiących się w jej głowie pytań i skupiła się na obmyślaniu planu B. Drzwi zewnętrzne dzieliło ponad sześć metrów od brzegu basenu, przy którym siedziała.

Czy nie będą zajmowali się jej osobą na tyle długo, by zdążyła do tych drzwi dotrzeć? Każdy z nich bez trudu by ją wyprzedził.

- Ale Darlene została złapana. A ty, choć obiecałeś, nie wyciągnąłeś jej stamtąd.

Plan C? Casey modliła się. Tak żarliwie jak tamtej nocy, kiedy Emmett przygwoździł ją do podłogi i wyciął ten przerażający wzór na jej nodze.

Modliła się o cud.

- Robiłem, co mogłem, żeby wpłynąć na Jacka Maynarda. Powiedziałem ci nawet, jak dostać się do Cassandry.

- O Boże! - Pomysły ucieczki zeszyły na dalszy plan. Casey wstała i zwróciła się do potwora, którego nazywała wujem. - Ty mi to zrobiłeś? To ty kazałeś mu to zrobić?

Zawsze wiedziała, że nadejdzie ten dzień. Przez siedem lat czekała na dzień rozrachunku. I choć bała się go, teraz przywitała go nieomal z radością. Bo, gdyby nawet nie wypalił żaden z jej planów, ten koszmar się skończy. Skończy się jej strach, wstyd i samotność.

- Jimmy?

Wuj nie odważył się spojrzeć jej w oczy, ale Emmett wyraźnie delektował się sytuacją.

- To dlatego nadal żyjesz, mistrzyni. Stary, poczciwy Jimmy nie chciał splamić swych rąk krwią kolejnej ofiary.

Musiałem więc tylko wykorzystać cię, przysyłając ostrzeżenie dla twojego ojca.

Casey cofnęła się o krok. Czowała wstręt do nich obu.

- Mój ojciec nigdy by się nie ugiął przed kimś takim jak ty. Cieszę się, że twoja siostra poszła do więzienia za morderstwo Cynthii DeBecques. Nawet jeśli Cynthia była prostytutką, nie zasłużyła na taką śmierć.

- Ta prostytutka dostała ode mnie tysiące dolarów - Jimmy z odrazą zgrzytnął zębami. - Groziła, że wyśle zdjęcia nas dwojga do prasy. W roku wyborów! Trzeba ją było uciszyć.

Emmett uniósł brwi i spojrzał na niego z pogardą.

- Zajęliśmy się twoim błędem i naprawiliśmy go. A ty, zamiast zapłacić to, co byłeś mi winien, aresztowałeś mnie za morderstwo, napaść i wymuszenie. Myślałeś, że mnie tym uciszysz? Moja Darlene nie żyje.

- Twoja siostra wiedziała, gdzie ukryte są negatywy. Gdyby wyszła z więzienia, zrobiłaby to samo, co Cynthia. Szantażowałaby mnie. Musiała umrzeć.

Na ułamek sekundy zza maski Mitcha Taylora wyłoniła się prawdziwa twarz Emmetta - szalonego, zimnego mordercy.

Casey, przerażona, skuliła się w sobie. Woląca w takiej chwili nie zwracać na siebie jego uwagi.

Jimmy, niestety, nie był tak rozsądny.

Spojrzał na nią oskarżycielsko.

- Podałem go na srebrnej tacy. Wystarczyło tylko, byś go zidentyfikowała. Poszedłby do więzienia, a ja byłbym bezpieczny. Ale ty wszystko zepsułaś.

Casey nie próbowała się bronić. Nie próbowała tłumaczyć, jak znakomicie Emmett umiał się przeobrażać. Nie próbowała tłumaczyć swego przerażenia na widok tego potwora zabijającego ją wzrokiem nawet na sali sądowej. Jimmy nawet by nie chciał jej słuchać. Nigdy jej nie słuchał.

- Skoro tak mało ci na mnie zależy, to czemu przydzieliłeś mi Mitcha do obrony?

- Ja mogę na to odpowiedzieć. - Emmett mocno zacisnął palce na trzonku noża. Stał za Casey, zmuszając Jimmy'ego, by i on się odwrócił. - Nasz Jimmy nie lubi kłaść sobie rączek brudną robotą. Wyznacza więc do sprawy najlepszego ze swoich gliniarzy. Kieruje mnie prosto do ciebie i ma nadzieję, że...

- Mitch cię za niego zabije - dokończyła Casey.

- No, no! Jest sprytniejsza od ciebie, Jimmy. - Na dźwięk jego gardłowego śmiechu, Casey oblała się zimnym potem. - Darlene była moją siostrą, drugą połową mojej duszy. Jack Maynard wsadził ją do więzienia. A ty ją zabiłeś, bo nie mogłeś sobie znaleźć jakiejś bardziej dyskretnej kobity do łóżka.

- Do jasnej cholery, Raines, dosyć! - nie wytrzymał Jimmy. Sięgnął do kieszeni płaszcza i wyciągnął pistolet, którym jeszcze niedawno mierzył w Casey.

Instynktownie rzuciła się do przodu, ale powstrzymała ją ręka, stalowym uściskiem zaciśnięta wokół jej szyi. Emmett przyciągnął ją do siebie, czubkiem noża mierząc w jej gardło. Nie mogła oddychać, więc jej krzyk był tylko żalosnym piskiem.

- Nie, nic z tego, Jimmy... - Głos Emmetta był chrapliwy, ostry, przejmujący. - To ja tu rządę. Ja powiem, kiedy skończymy. A teraz wrzuć pistolet do basenu, zadzwoń do sekretarki i każ jej przynieść pieniądze.

Casey nie odrywała wzroku od lufy pistoletu. Jimmy zacisnął obie ręce na rękojeści.

- Nie. Pieniądze zostaną u niej, dopóki nie oddasz mi negatywów.

Ręka na gardle Casey ani drgnęła. Najwyraźniej Emmett nie miał zamiaru negocjować.

- Zawołaj ją, Jimmy, albo na twoich oczach podetnę jej gardło.

Cała krew spłynęła Casey do stóp, w głowie jej się zakręciło. Dla jednego z nich była przedmiotem targu, dla drugiego żywą tarczą.

A co z jej odwagą?

Kiedy Mitch na nią patrzył, widział odważną kobietę.

Wspomnienie jego zmysłowego głosu i ciemnych oczu były dla niej jak łyk świeżego powietrza. Uniosła głowę ponad ramieniem Emmetta i pozwoliła, by prowadził ją instynkt. Przyszła pora, by walczyć.

Zauważyła lekkie drgnięcie palca Jimmy'ego, zaciśniętego na cynglu, wyprężyła się więc i wbiła obcas w stopę Emmetta.

Następne kilka sekund zapamiętała jak obrazy na zwolnionym filmie, przesuujące się klatka po klatce.

Casey zgięła się w pół i kula trafiła Emmetta. Z rany w jego ramieniu trysnęła krew, nóż z łoskotem upadł na kafelki podłogi. Trzymając się za nadgarstek, Emmett rzucił się do przodu, przewracając krzesło i Casey. Z całą siłą uderzył Jimmy'ego.

Casey przetoczyła się w bok. Ignorując walczących o broń mężczyzn, podczołgała się w stronę noża. Na szczęście oni także zajęci byli tylko sobą. Usiadła i przecięła krępujący ją sznur, cały czas przesuując się ku drzwiom. Kiedy jej ręce były już wolne, podniosła się i ostrożnie pokuśtykała dalej. Nie chciała biec. Mogłaby stracić równowagę, upaść i zostać ofiarą zwycięzcy toczącego się pojedynku.

Już trzymała rękę na klamce, kiedy usłyszała drugi strzał. Chorobliwa, pełna nadziei ciekawość kazała jej obejrzeć się.

- Cholera jasna! Brudny, brudny, brudny!

Emmett wstał z kolan, wycierając krew, która obryzgała mu przód płaszcza. Zrzucił go na podłogę, poprawił marynarkę i krawat. Nawet nie spojrzał na leżące u jego stóp, twarzą do ziemi, ciało.

- Jimmy! - Casey ze smutkiem wymówiła imię człowieka, którego kiedyś kochała.

W tej samej chwili jej wzrok spotkał się z lodowatym, pełnym nienawiści spojrzeniem Emmetta. Serce na moment przestało jej bić, potem zatłukło jak oszalałe. Odwróciła się i szarpnęła za klamkę.

Emmett był szybszy. Chwycił ją za ramię i obrócił ku sobie. Jego własnym nożem smagnęła go po twarzy. Skurczyła się ze strachu, kiedy ostrze przecięło skórę i musnęło kość, ale odetchnęła zwycięsko, kiedy Raines puścił ją i chwycił się za policzek.

Odepchnęła go od siebie. Mocno, obiema pięściami. Stracił równowagę i cofnął się. Mogła znów spróbować otworzyć drzwi.

Jej palce znalazły zasuwę. Odsunęły ją.

- Ty suko!

Emmett chwycił ją za włosy i pociągnął do tyłu. Próbowwała się wyrwać, ale zachwiała się i poczuła przeszywający ból w kostce. Jej prawa noga nie wytrzymała ciężaru.

Upadła na ziemię, a on przygwoździł ją swoim ciałem. Odrzucił daleko pistolet Jimmy'ego.

- Wolę bardziej finezyjną zemstę - warknął przez zaciśnięte zęby i mocno ścisnął jej rękę. Krzyknęła z bólu, rozluźniła zdrtwiałe palce i nóż był już w jego ręku.

Szarpała się, próbowała zrzucić go z siebie, odepchnąć, pozbyć się choć nogi miażdżącej jej kalekie udo.

Kątem oka zauważyła zbliżający się do jej twarzy nóż.

Zastygła w bezruchu. Jedyńm dźwiękiem, jaki słyszała, było walenie jej własnego serca.

- Puść ją, Raines albo przestrelę ci łeb.

Stał się cud, na który czekała.

Świadczył o tym głos, co do którego tym razem nie miała wątpliwości. Niski, głęboki i tak groźny, że nawet przez nią przeszły ciarki.

- Rzuć nóż i połącz się twarzą do ziemi.

- Mitch? - Casey prawie łkała. Już nie ze strachu, ogarnęło ją uczucie ulgi.

Kiedy Emmett zsunął się z niej i zrobił to, co Mitch mu kazał, zobaczyła nad sobą jego groźną, pobladłą twarz. Przełożył do lewej ręki pistolet, który do tej pory trzymał w obu. Prawą wyciągnął do Casey.

- Nic ci się nie stało?

Zanim zobaczyła samo zagrożenie, dostrzegła reakcję w oczach Mitcha. Tak, była błyskawiczna. Nie mając nic do stracenia, Emmett spróbował zaatakować jeszcze raz. Rzucił się na niego z pięściami, przede wszystkim próbował wyrwać mu pistolet. Przewrócili się i potoczyli w stronę basenu.

- Nie! - krzyknęła Casey.

Mitch ocalił jej życie. A teraz na pewno zginie. Przez nią! Nie może pozwolić, by zginął.

Na czworakach poczołgała się w stronę leżącego na kafelkowej podłodze pistoletu Jimmy'ego.

- Boże, proszę Cię, nie pozwól Mitchowi umrzeć - modliła się, biorąc go do ręki.

Wstała jak najszybciej mogła. Szybciej nie pozwolił jej ból, przeszywający nogę, i wycelowała w Emmetta. A może to był Mitch? Byli przecież tacy sami, w dodatku teraz ze sobą spleceni. Takie same szerokie ramiona, okryte brązowym tweedem. Nagle miała przed sobą plecy tego drugiego Mitcha, Opuściła pistolet. Czyjaś pięść z całej siły walnęła czyjś brzuch. Mitch czy nie Mitch osunął się na ziemię.

Casey znów uniosła pistolet.

Rozległ się strzał.

Casey wzdrygnęła się. W martwej ciszy, jaka nastąpiła, drżały jej ręce. Ale to nie ona strzeliła.

Usłyszała ostatnie tchnienie. Mitcha czy Emmetta?

Była teraz bardziej przerażona niż wcześniej myślą o własnej śmierci.

Stała jak wryta, nie była w stanie się poruszyć. Nagle drgnęło jedno z ramion. Wyprostowały się potężne plecy. Duża, silna ręka uniosła się i zaczęła masować potężny kark. Kark, który bez trudu nosił zawsze na sobie wszystkie ciężary tego świata.

- Mitch?

Casey wstrzymała oddech. Jeszcze nie mogła uwierzyć w to, co mówiło jej serce.

Mężczyzna ukląkł i sięgnął do kieszeni. Casey uniosła broń.

W jego palcach błysnął mały, srebrny krążek.

- Mitch!

Próbował wstać, ale zachwiał się i wpadł w jej ramiona. Przytuliła go z całej siły i dopiero po chwili dotarł do niej jego stłumiony jęk. Trzymał ją mocno, ale odsunęła go od siebie, wściekła, że dopiero teraz zauważyła krew w kąciku jego ust i zadrapania na jego rękach.

A także nóż tkwiący między jego żebrami.

- O Boże!

Odciągnęła go od ciała Emmetta, ale kiedy próbowała go położyć, zaprotestował.

- Mitch, do cholery, przecież wbito ci w plecy nóż. - Casey wyciągnęła z kieszeni chusteczkę i chciała przyłożyć ją do rany, ale na widok tkwiącego w niej głęboko ostrza, zawahała się. - Co mam zrobić? Wyciągnąć go?

Mitch chwycił ją za rękę.

- Nie jest tak źle. - Drżącymi palcami pogładził ją po policzku. - Ty też jesteś ranna. Musimy zabrać cię do lekarza.

Patrzył na nią z taką troską i czułością, że poczuła napływające jej do oczu łzy.

- Potem mi wszystko opowiesz, księżniczko. Ale najpierw...

Nie wiedziała, czy jest wściekły, zły czy też może, mimo tego, jak potraktowała go w domku nad jeziorem, szczęśliwy, że znów ją widzi.

- Co?

Kiedy ją pocałował, poczuła zawrót głowy. Odpowiedziała mu z całą miłością, jaką miała dla niego w swoim sercu. Potem chwycił ją za ramiona i zachwiał się.

- Mitch?

- A teraz...

- Mitch! - krzyknęła przerażona, kiedy zrozumiała, co się dzieje.

- Wyjmij mi z kieszeni radiotelefon i ściągnij tu Joego. Chyba... Chyba zaraz... zemdleję.

Potężne ciało Mitcha Taylora osunęło się na Casey i pociągnęło ją na podłogę.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

- Panie Taylor! Jeśli nie będzie pan siedział spokojnie, pozrywa pan szwy. Chciał pan się przebrać, więc proszę mi pozwolić...

Mitch zmarszczył brwi i spojrzał na zegar. Cholera, minęły ponad dwadzieścia cztery godziny, odkąd po raz ostatni widział Casey! Czy nic jej nie jest? Zastrzelił Rainesa wcześniej, prawda? Nie zemdlął i nie zostawił jej samej z człowiekiem, który zamierzał ją zabić.

Prawda?

Pielęgniarka, która miała dyżur, powiedziała mu tylko, że Casey też przyjęto do tego szpitala. Może ten frustrujący brak szczegółów to sposób, by oszczędzić mu stresu. Stracił dużo krwi. Los jednak tak pokierował ostrzem noża Emmetta, że ten szalenciec uszkodził mu tylko mięśnie, oszczędzając wewnętrzne organy.

Czy Casey też miała tyle szczęścia?

Pielęgniarka pociągnęła go za ramię i kazała wstać. Poddał się, ale z wyraźną niechęcią. Podtrzymała go, kiedy wciągał spodnie od piżamy, a potem odepchnęła jego palce, kiedy niezgrabnie próbował zawiązać pasek na opatrunku z wystającą z ramienia igłą do kroplówki i sączkiem. Potem równie zdecydowanie zmusiła go do położenia się do łóżka.

Aż jęknął. Z bólu i ze złości. Ta pielęgniarka mogłaby rządzić całą komendą. I to zupełnie samodzielnie.

- No, w porządku. - Przykryła go porządnie i przysunęła tacę. - Ma pan szczęście. Lekarz powiedział, że nie musi pan już przyjmować pokarmu w płynie. Smacznego - dodała, odkrywając talerz.

Mitch zobaczył płatki na mleku, sok i jajecznicę. Nie był to wprawdzie pokarm w płynie, ale prawdziwym, męskim jedzeniem też by tego nie nazwał. Z drugiej strony nie

przypuszczał, by ucisk, jaki czuł w żołądku, był wynikiem odniesionych obrażeń czy głodu.

Obdarzył pielęgniarkę i anioła stróża w jednej osobie najpiękniejszym ze swych uroczych, zniewalających uśmiechów.

- Na pewno nikt o mnie nie pytał?

Kobieta skrzyżowała ręce na piersi i pokręciła głową.

- Nie. Ale paru dziennikarzy chętnie by się z panem spotkało nawet w tej chwili.

Mitch aż zacisnął zęby.

- A co z kobietą, która przyjechała tu ze mną?

- Panie Taylor, w tej karetce był tylko pan. Natychmiast zabrano pana na salę operacyjną i pozszywano.

- A ta blondynka? - warknął tracący już cierpliwość Mitch. Ta, która skradła mi serce? - Wysoka. Zbudowana... - Lewą ręką nakreślił w powietrzu idealne kształty Casey, a potem zacisnął ją w pięść. - Nazywa się Cassandra Maynard. Była ze mną w czasie napadu. Muszę ją zobaczyć.

- A my ci nie wystarczymy?

Otworzyły się drzwi, ale Mitch natychmiast stracił nadzieję, kiedy stanęli w nich Joe i Ginny. Przyjaciel wyglądał tak, jakby przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny żywił się tylko kawą. Ginny też niewiele lepiej się prezentowała.

Nie podzielił się z nimi swoim rozczarowaniem. Patrzył na nich uważnie i z wyraźną wdzięcznością.

- Jak leci?

Joe uśmiechnął się.

- Pod moimi rękami całkiem nieźle. Ty jeszcze przez jakiś czas będziesz nie do użytku, prawda?

Mitch wyciągnął rękę i uśmiechnął się. Rozumiał żartobliwą pyszałkowatość Joego i kryjącą się za nią troskę o szefa. Uścisk Joego był pewny i silny. Mitch wiedział, że komenda jest w dobrych rękach.

- Co z Merlem?

- Zmyłem mu porządnie głowę, że wyjawiał komisarzowi kryjówkę Casey.

Mimo że ta niedyskrecja była przyczyną niebezpiecznego splotu wydarzeń, Mitch nie zmienił swego stosunku do młodego policjanta.

- Młodzieńczy błąd. Wyobrażam sobie, jak stary na niego naciskał. Myślisz, że mógłby zajrzeć do tego swojego komputera i wysledzić, gdzie jest teraz Casey?

Ginny i Joe wymienili uśmiechy.

- Nie widziałeś jej? - spytała Ginny.

- Nie mogę nawet dowiedzieć się niczego na temat jej stanu. - Mitch zastanawiał się nawet, czy nie wyrwać sobie z żyły tej kroplówki i samemu nie przeszukać całego szpitala.

- Przywieźliście ją do tego szpitala, prawda? Była ranna. Siniaki, rana na twarzy. Nie wiem, co jeszcze...

- Sama wsadziłam ją do karetki - powiedziała Ginny.

- Zaraz potem, gdy zatrzymałam Iris Webster i odebrałam jej dwadzieścia pięć tysięcy. Czeka ją surowy wyrok za współuczestnictwo. Kryła komisarza od lat. Mitch kiwnął głową.

- Casey się tego domyślała. A komisarz?

- Zginął. Razem z Rainesem.

- A McDonaldownie? Ich wnuczka? Nikt więcej nie ucierpiał?

- Wszyscy są cali i zdrowi - roześmiał się Joe. - Znajdziesz to w moim raporcie, staruszku. Ja z kolei chętnie przeczytam twój.

- Nie będę niczego pisał, dopóki nie dowiem się, co z Casey. Czy coś poważnego jej się stało? Czy dlatego nikt nie chce mi nic powiedzieć?

- Nie miałem czasu, żeby się z nią zobaczyć. Pisałem raporty i walczyłem z dziennikarzami.

- Do jasnej cholery, Joe! Pielęgniarka dotknęła jego ramienia.

- Proszę się uspokoić, panie Taylor. Ciśnienie się panu podniesie albo zerwie pan szwy.

Tępy ból w boku nie był nawet w połowie tak dokuczliwy jak niepewność w jego sercu.

- Na miłość boską, kobieto! Jeśli nie przestaniesz mnie pani strofować i nie powiesz...

- Groźbami nic pan nie osiągnie. Mitch miał ochotę ją udusić.

- Widzę, że jak zwykle czarujesz damy, kuzynie.

Ktoś zastukał we framugę otwartych drzwi i na dźwięk głosu Bretta Mitch opadł na poduszki. Kuzynowi towarzyszył jego wuj i ciotka. Martha od razu podbiegła do łóżka. Pocałowała go w policzek i dotknęła czoła, jakby znów był dziesięciolatkiem i chciała mu sprawdzić temperaturę.

- Lepiej się czujesz? - spytała, krzątając się wokół niego z tą samą wprawą co pielęgniarka, ale z dużo większą serdecznością.

- Ale nam napędziłeś stracha! - rzekł wuj Sid.

Mitch był wyraźnie wzruszony całym tym zamieszaniem. Zawsze wiedział, że ma rodzinę i przyjaciół, którym na nim zależy. Dziś bardziej niż kiedykolwiek mógł świadomie przyznać, że mimo utraty rodziców, mimo zdrady i śmierci Jackie, jest jednak kochany. Był za to wdzięczny losowi i odwzajemniał miłość wszystkich tych wspaniałych ludzi obecnych teraz w jego pokoju.

Mimo to w jego sercu nadal była wielka, bolesna rana. Może Casey nie chce jego miłości, ale on kocha ją i tak. Czy teraz, kiedy Jimmy Reed i Emmett Raines już nie żyją, nie będzie jej już potrzebny? Ale ona jemu tak. Może ona nie chce go już znać, ale on chce być z nią przez całe swoje życie.

- Można się przyłączyć czy też to jakaś ściśle rodzinna impreza?

Jak za dotknięciem jakiejś czarodziejskiej różdżki w pokoju zapanowała cisza. Mitch nie widział już nikogo oprócz idącej ku niemu Casey. Wspierała się na stalowej kuli, ale mimo to szła z wrodzoną gracją. Cynamonowożłote włosy opadały jej na ramiona, a oczy błyszczały jak poranne niebo. Tylko kilka zadrapań i opatrunek na brodzie przypominały o wydarzeniach minionego wieczora.

Mitch odetchnął z wyraźną ulgą. A więc jest cała i zdrowa! Wcześniejszy strach i zniecierpliwienie, wdzięczność wobec rodziny i przyjaciół, wszystko to przestało nagle być dla niego ważne.

Kochał Casey Maynard. Gorąco.

- Nic ci nie jest? - tyle był tylko w stanie wyjąkać. Podeszła do łóżka i obejrzała go dokładnie od stóp do głów. Zmieszał się, widząc jej zmarszczone brwi. Może to z powodu jego podbitego oka? Albo bandaży na żebrach?

- Wszystko w porządku, stary.

Kątem oka zauważył, a raczej wyczuł, że Ginny szturcha Joego w bok, usłyszał śmiech Bretta, zobaczył, jak ciotka szuka torebki, a wuj Sid wyjmuje z kieszeni chusteczkę i podaje ją żonie.

Pielęgniarka potrząsnęła głową i zakomenderowała:

- Wyjdźmy stąd i dajmy panu Taylorowi odpocząć. Wszyscy goście posłusznie pożegnali się i ruszyli ku drzwiom.

- Oprócz pani. - Kobieta położyła rękę na ramieniu Casey i wskazała głową łóżko Mitcha. - Myślę, że jest pani właśnie tym lekarstwem, którego nasz pacjent najbardziej potrzebuje.

Powiedziawszy to, ona też opuściła pokój.

Mitch spojrzał na zamknięte drzwi, potem na Casey.

- Widzę, że nie mam tu nic do powiedzenia.

Zwinął w ręce róg prześcieradła i zaraz potem go rozprostował. Nie był tak zdenerwowany od... No, właśnie! Jeszcze nigdy nie był tak zdenerwowany.

Casey odezwała się pierwsza.

- Zdaje się, że dajesz się pielęgniarce nieźle we znaki. Powinieneś chyba trochę popracować nad swoim stosunkiem do ludzi.

- Ta herod - baba nie chciała mi nic powiedzieć o twoim stanie. Wiesz, na czym chciałem zacisnąć tę opaskę do mierzenia ciśnienia?

- Nic mi nie jest, Mitch. Żyję. Dzięki tobie.

- Nigdy się tak nie bałem, jak wtedy, kiedy zobaczyłem Rainesa z nożem przyłożonym do twojej szyi - mówił przez ściśnięte gardło. Głos mu się łamał.

Casey uśmiechnęła się, prawdziwie po królewsku. Odstawiła kulę, podeszła do łóżka, odsunęła tacę, zarzuciła mu ręce na szyję i mocno się do niego przytuliła.

- A więc pozwól, żebym to ja była tą, która cię tuli, kiedy się boisz.

Mitch objął ją i wciągnął na łóżko obok siebie. Czyżby jej słowa były wyznaniem miłości? Wiedział, że mógłby ją tak tulić do końca świata.

- Bałem się, że cię stracę, księżniczko - szepnął i delikatnie musnął wargami koniuszek jej ucha.

- Mówiłam ci, że przeżyję. Zawsze trzeba iść naprzód. Pozbierać się i dalej walczyć.

Słyszając jej słowa, poczuł, że odżywa w nim ta nadzieja, którą czuł od chwili, kiedy zostawił ją w tym domku nad jeziorem.

Nadzieja to cenna rzecz. Kiedyś wierzył, że rodzice cudem przeżyli napad. Miał nadzieję, że jego małżeństwo z Jackie się uda, mimo jego trudnej i absorbującej pracy. Miał nawet nadzieję, że instynkt go zawiódł, kiedy wiedział już, iż życie

Casey jest przedmiotem handlu między Jamesem Reedem a Emmettem Rainesem.

Czy odważy się mieć nadzieję, że Casey któregoś dnia zaakceptuje jego miłość? Uwierzy w miłość, którą tak bardzo chciał jej ofiarować?

Wsunęła dłoń pod jego ramię, a on próbował przekonać samego siebie, że to jest właśnie prawdziwe zaufanie. Że to coś więcej niż zwykła wdzięczność czy ulga, że im obojgu udało się przeżyć zamach na ich życie.

Casey zadrżała. Mimo ciepła, jakie dawało jej ciało Mitcha. Omal go nie straciła. Trzymała go tak mocno jak tylko mogła, by nie urazić jego rany.

- Emmett chciał, żebyś przyszedł za mną razem z Jimmym - szepnęła. - Chciał cię zabić i zająć twoje miejsce. Wolę nawet nie myśleć, co zrobiłby z twoim ciałem, żeby je ukryć.

- Tak. To było niesamowite, kiedy się na mnie rzucił. Zupełnie jakbym patrzył w lustro.

- Potem mógłby aresztować Jimmy'ego, zniszczyć jego karierę i zdobyć pieniądze, które zawsze były dla niego takie ważne.

- Wsadzić go do więzienia, gdzie komisarz policji długo by nie pożył. Zginąłby tak jak Darlene Raines - westchnął Mitch. - Od początku miałem złe przeczucia co do Jimmy'ego.

- Wiem. Szkoda, że ci nie uwierzyłam.

Musiała usiąść, żeby móc patrzeć mu prosto w oczy. Chciała wyznać wszystkie grzechy swego wuja i przekonać go, jak jest jej przykro, że przez mąż tak bardzo ucierpiał.

- Byłeś kolejnym pionkiem, który wuj wykorzystał, by ukryć swój romans z Cynthią DeBecque. Wynajął Rainesa i jego siostrę, żeby ją zabili i odzyskali kompromitujące fotografie. Kiedy sądzono Darlene, powiedział Emmettowi... - Czując napływające do oczu łzy, Casey z trudem przełknęła

ślinę. Wiedziała jednak, że musi mówić dalej. - Powiedział Emmettowi, jak ominąć wszystkie chroniące mnie zabezpieczenia. Wykorzystał wtedy biednego Stevena tak samo, jak wykorzystał teraz ciebie. Przepraszam cię. Bardzo, bardzo cię przepraszam.

Nie była w stanie powiedzieć nic więcej.

Szukała sali, w której leży Mitch, żeby zobaczyć na własne oczy, że jest cały i zdrowy. Aby go przeprosić. I powiedzieć, czego się nauczyła o sobie, czując dotyk ostrza noża Emmetta. Potem nagle zabrakło jej odwagi.

- Casey? - Mitch zmusił ją, by na niego spojrzała. - Nie jesteś odpowiedzialna za czyny Jimmy'ego czy kogokolwiek innego. Tylko za swoje własne. Uważam, że jesteś najodważniejszą, najmądrzejszą, najbardziej seksowną kobietą, jaką kiedykolwiek znałem. Przeszłość odeszła wreszcie tam, gdzie jej miejsce. Teraźniejszość sama się sobą zajmie. A przyszłość...

- Czy mamy przed sobą wspólną przyszłość? - Jej pytanie dźwięczało w ciszy, która zapadła po jego słowach.

- Ty mi to powiedz.

Powiedział jej, że ją kocha. To był pierwszy szczebel drabiny, dzięki której pokona dzielące ich mury. Może i ona powinna zdobyć się na odwagę?

Ujęła w dłonie jego twarz. Przyszła pora na pokonanie drugiego szczebla.

- Moje kalectwo nigdy nie stanowiło dla ciebie problemu, prawda?

Mitch przesunął ręką po jej plecach, ale nie przyciągnął Casey do siebie.

- Tak samo jak dla ciebie dzielnica, z której pochodzę. Dzięki tym słowom weszli na szczebel trzeci. Casey już prawie widziała szczyt muru.

Nagle zadzwonił stojący przy jego łóżku telefon.

- Taylor, słucham. Tak jest. Rozumiem. - Na jego ustach pojawił się uśmiech. - Powiem jej.

- Kto to był? - spytała, kiedy odłożyła słuchawkę.

- Agent, zajmujący się programem ochrony świadków koronnych. Twoi rodzice są w tej chwili w samolocie wracającym do Stanów. Wylądują o piątej po południu. Wyślę po nich Joego.

- Wracają do domu? - Casey rzuciła mu się w ramiona. Po jej policzkach spływały łzy. Tym razem były to łzy wielkiej radości.

- Tak jest dużo lepiej, księżniczko - uśmiechnął się uwodzicielsko Mitch.

Zamiast odsunąć się, Casey przytuliła się do niego jeszcze mocniej.

Teraz albo nigdy! Jeśli nie powie mu w tej chwili wszystkiego, być może przegra najważniejszy wyścig swego życia.

- Mitch... To, co powiedziałeś tam w domku... O miłości i odwadze...

- Nie powinienem tego mówić...

- Nie. - Uciszyła go, kładąc mu palec na ustach. - Miałeś rację. Byłam tchórzem. Wzięłam wszystko, co mi ofiarowałeś, bo tego potrzebowałam... twoje ciepło, twoje pieszczoty, twoją opiekę. Nawet miłość. A potraktowałam cię, jakbyś po prostu wypełniał swoje zawodowe obowiązki.

Na moment przygryzła wargę, zawstydzona wspomnieniem swojej głupoty i okrucieństwa.

- Popatrz na wszystko, co działo się wokół ciebie. Miałeś wszelkie prawo mi nie wierzyć.

Słuchała jego słów i kochała go coraz bardziej. Musiała mu to powiedzieć. Teraz. Natychmiast.

- Jesteś bardzo dobrym człowiekiem, Mitch. Kocham cię. Ramiona Mitcha opadły. Przez ułamek sekundy Casey

zastanawiała się, czy on przypadkiem nie zmienił zdania. Może za długo czekała z przyjęciem tego wspaniałego daru, jaki jej ofiarował?

I nagle jego ramiona objęły ją, a jego usta spoczęły na jej wargach. Posadził ją sobie na kolanach. Usłyszała gardłowy jęk ukochanego i chciała się odsunąć, ale jej na to nie pozwolił.

- Nie ma mowy, księżniczko! Nigdzie nie pójdziesz. Nie tym razem.

- Mitch?

- Tak?

- Chciałbyś osobiście poznać moich rodziców? Mitch roześmiał się.

- Co ci nagle wpadło do głowy? Ja mogę teraz myśleć wyłącznie o tym, czy rozerwałbym sobie szwy, gdybym kochał się z tobą na tym szpitalnym łóżku.

Casey, szczęśliwa jak nigdy w życiu, postanowiła jednak nie rezygnować.

- Nie uważasz, że moi rodzice chcieliby poznać mężczyznę, którego mam zamiar poślubić?

Dopiero wtedy na moment wypuścił ją z objęć i spojrzał jej prosto w oczy. Bardzo, bardzo uważnie.

- Myślisz, że sędzia chciałby mieć za zięcia chłopaka z przedmieścia?

Casey wsunęła dłonie w jego włosy i uśmiechnęła się.

- Nie mówiłam ci, że mój ojciec też pochodzi z przedmieścia?

- Żartujesz?

- Nie żartuję. Na pewno cię pokocha, Mitch. Prawie tak bardzo jak ja.

- W takim razie, księżniczko, z radością przyjmuję twoje oświadczenia.